

PRYZYSTANEK LUBLIN

1. Wojsko bez broni

Przez rok cały byłem żołnierzem 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej. Przeszedłem wiele walk, ciężkich i krwawych, sam do dziś noszę w ramieniu pocisk nieprzyjacielski. Przeżyłem mnóstwo tragicznych nocy i dni, ale jedna tylko zapisała się w mej pamięci w sposób szczególny. I tej nocy nie zapomnę nigdy. Płyną lata, mijają całe epoki, bo dziś prawie co kilka lat przeżywamy nową epokę, a ja ciągle słyszę cichy, tłumiony szloch męskich piersi, przeplatany siarczystymi przekleństwami, szepty niewielkich grupek młodych chłopców, niedawnych jeszcze – sprzed kilku godzin – żołnierzy, a teraz Bóg wie kogo? Cywilów? Bezdomnych tułaczy? Niesoszących przestępców? Niebezpiecznych czy potencjalnych tylko czyichś wrogów? Tu, po tej stronie frontu? Bo gdy odbiera się komuś pod przymusem posiadaną legalnie i w dodatku krwawo zdobytą broń, to przecież nie z obawy, by sobie ktoś niechętny nie wyrządził krzywdy. W tym nawale pytań jedno tylko było pewne: nie byliśmy zaciętymi wrogami tych, którzy nam tę broń odebrali, natomiast na pewno byliśmy wrogami systemu niesionego przez nich do naszego wolność kochającego kraju, systemu, który wszystkich czyni niewolnikami, z wyjątkiem garstki rządzących, którzy tumania całą resztę fałszywymi hasłami, kłamstwem i wsączaniem w poddanych wzajemnej nienawiści. Dlatego zapewne pozbawiono nas broni, jako tych, którzy za dużo wiedzieli, którzy mieli możliwość zetknąć się z prawdziwym obliczem wrogów, udających dziś naszych wyzwolicieli. Czuliśmy, że przeżywamy nie tylko tragedię naszej Dywizji, tych kilku tysięcy wołyńskich żołnierzy, lecz zapowiedź tragedii całego polskiego narodu. Kotłowały się w głowach leżących na ziemi chłopców najokrutniejsze myśli i przewidywania, widno oszustw, więzień, sybirskiej tajgi lub po prostu ściany śmierci pod pretekstem ujawnienia w nas "wrogów klasowych", bo całą masę podobnych przypadków oglądaliśmy przed trzema laty na Wołyniu. A nad tym tłumem pogrążonych w rozpacz ludzi szumiały ze zrozumieniem jedynie polskie sosny, bo tylko one były dziś świadkami historycznego dramatu – dramatu Polaków na polskiej ziemi, dokonanego rękami odwiecznych wrogów i otumanionych sprzedawczyków, naszych współbraci, którzy teraz bez skrępowania będą przywłaszczając sobie sławę rozbroje-

nych i pozbawionych prawa do obrony kresowych zastępów, walczących o prawdziwą Polskę. Przez kilkanaście co najmniej lat dzielić się będą kłamliwie sukcesami, które w ostatnich dniach obserwowali jedynie z głębokiego ukrycia. Późniejsze pisma i wywiady udzielane przez Grzegorza Korczyńskiego będą tego jaskrawym dowodem.

Gdy po bezsennej nocy w lesie pod Skrobowem sen zmorzył mnie wreszcie i zamknąłem na krótko powieki, Dywizja cicho odmaszerowała w nieznanym kierunku. Zbudziwszy się o wschodzie słońca zobaczyłem tylko małe grupki kolegów, którzy, jak ja, przespali chwilę odejścia dowództwa wraz ze swym bezbronnym wojskiem. Był obok mnie nieodłączny brat Gienek, a z pobliskich zarośli wychodził akurat mój stryj Antoni, za nim Piotr Podgórski, któryś z Biernackich i jeszcze paru starszych zasmycczan.

- No, Leonek, idziesz z nami? - zagadnął mnie mój stryjek. - Bo my wracamy do domu. Tu już teraz nie ma nic do roboty. Idziesz?

Wiedziałem, że stryjek ma rację, że istotnie nie było tu już nic do roboty, ale po krótkim namyśle odpowiedziałem przecząco:

- Nie, nie wiem jeszcze co zrobię, ale na razie zostaję. Pójdziemy chyba z Gienkiem do Lublina. Proszę powiedzieć w domu, że jesteśmy zdrowi, że Gienek po lekkiej chorobie już wyzdrowiał zupełnie i też zostaje ze mną, prawda? - zwróciłem się do brata.

- Jak ty zostajesz, to i ja z tobą - odrzekł bez namysłu.

Pożegnaliśmy się serdecznie i gromadka kuzynów oraz sąsiadów skierowała się ku szosie, a po chwili znikła za pobliskim zakrętem wśród przydrożnych drzew.

Patrzyłem długo za odchodzącymi; wyprzedzałem ich myślą, biegiem w kierunku Buga, a wkrótce byłem już myślą i wyobraźnią w Zasmykach, witałem się z rodzicami, rodzeństwem, oglądałem pozostawione tak dawno rodzinne kąty, podwórze, okoliczne pola i łąki. I był moment, że musiałem całą siłą woli powstrzymać się, aby nie zerwać się i nie pobiec za niknącymi w oddali mieszkańcami mojej wsi drogiej, dołączyć do nich i lecieć jak na skrzydłach ku rodzinnym stronom. Lecz coś niewytłumaczalnego każało mi zostać tu, czekać dalszego rozwoju wydarzeń, bo w podświadomości tkwiło dziwne przeświadczenie, że jeszcze będziemy tu bardziej potrzebni niż gdzieś tam, za tą smutną rzeką, "co rozdzieliła kraj nasz", jak już niedługo miało się śpiewać, że nasze miejsce znajduje się nadal tam, gdzie są nasi dowódcy - "Kowal", "Jastrząb", "Sokół" i inni, gdzie kole-dzy z drużyny, kompanii, batalionu, słowem - gdzie pozostaje nadal cała prawie Dywizja... Może ten zły sen prędko minie? Czekajmy!

Wróciliśmy do lasu i siedli na miękkim igliwiu.

W plecakach znalazło się jeszcze co nieco jakichś resztek "żelaznych porcji", otrzymanych wczoraj w Kamionce przed ostatnim wymarszem batalionu w pełnym rynsztunku. Podjedliśmy trochę, bez zwykłego żołnierskiego apetytu, potem zabrawszy parę potrzebniejszych drobiazgów do małego chlebačka, zostawiliśmy wysłużone plecaki i ruszyliśmy także w drogę. Miejsce, w którym żołnierze bez karabinów spędzali ostatnią tragiczną noc, opustoszało. Ostatnie grupki znikły już na leśnych drożynach i ścieżkach. Chłopcy rozchodzili się w różnych kierunkach. My z bratem wybraliśmy Lublin, sądząc słusznie, że tam pociągnie większość kolegów i na pewno wszyscy dowódcy.

Szliśmy w milczeniu, z ciężkim sercem, czując się jak rozbitkowie z zatopionego okrętu, jak ludzie wyjęci nagle spod prawa, nikomu niepotrzebni, młodzi tułacze. Wędrowaliśmy ociążałe leśnymi drózkami i śródleśnymi polnymi miedzami, na przelaj, byle na południe, bo w tamtej stronie znajdował się cel tej dziwnej, niecodziennej podróży, podróży - mówiąc szczerze - bez żadnego określonego planu. Gdzieś trzeba było iść i czekać, co czas przyniesie.

O samym Lublinie wiedziałem dotąd niewiele: że jest miastem wojewódzkim, że jest podobno duże i ładne, że znajdował się w nim obóz koncentracyjny "na Majdanku", przypomniła mi się też Unia Lubelska i znany ze szkoły powszechnej wiersz: "Sławny dzień ów pierwszy lipca w królewskim Lublinie, jak zasłynął przed wiek wiekiem, tak po dziś dzień słynie"... Coś tam słyszało się o Katolickim Uniwersytecie, o Długoszu i legendarnym śnie Leszka Czarnego. Wreszcie - najbardziej konkretny fakt - że stamtąd pochodziła nasza szkolna koleżanka z Zasmyk, Jasia Szlifierzówna, czy - jak niektórzy mówili - Szlifierczykówna, młodsza siostra ^{zżony} kierownika szkoły z pobliskich Piórkowicz, p. Szymczyka. Ale gdzie obracała się teraz nasza Jasia? Czy dotarła do rodzinnego miasta? A jeśli tak, to gdzie mieszka? O tym nie wiedzieliśmy. Do tego sprowadzała się cała nasza wiedza o mieście, ku któremu teraz zmierzaliśmy. Co tam będziemy robili, gdzie się zatrzymamy, kto nas nakarmi - nad tym nie było co się zastanawiać, ponieważ i tak odpowiedzi na podobne pytania nie znaleźlibyśmy.

Około godziny ósmej na skraju lasu zobaczyliśmy gromadkę naszych żołnierzy, przepychających przez piaszczysty bród na jakiejś małej rzeczulce czy tylko strumyku granatowego koloru osobowy samochód, z siedzącymi wewnątrz dwoma naszymi oficerami. Obok stali

dalsi dwaj wczorajsi dowódcy i udzielali pehającym jakichś uwag czy instrukcji. Poznałem ich, lecz dziś nie potrafię już odtworzyć sobie w pamięci ich pseudonimów. Jednym z siedzących w aucie był chyba mjr "Żegota". Inni? Nie pamiętam. Samochód skierował się w leśną drogę, prowadzącą w kierunku zachodnim. Po jego odjeździe żołnierze powiedzieli nam, że dowódcy usiłują dotrzeć do Warszawy i tam szukać dla nas pomocy. Prócz tego dowiedzieliśmy się, że Dywizja dziś o świcie, bez broni, ale w zwartym szyku, rozpoczęła marsz w kierunku Lublina, lecz po przebyciu paru kilometrów w miejscowości Stary Tartak zatrzymali kolumnę żołnierze Berlinga i ruscy oficerowie, a dowodzący nimi rozkazał natychmiast wszystkim rozejść się i nie próbować tworzyć pozorów wojska. Nie chcąc wywoływać niepotrzebnych incydentów oddziały nasze usłuchały polecenia i małymi grupkami lub pojedynczo chłopcy poszli każdy w swoją stronę. Niekórzy zawrócili w las, uważając, że tam będzie najbezpieczniej, bowiem z oczu i nin zatrzymujących przedstawicieli obecnej władzy nie można było wyczytać uczuć przyjaznych, czy choćby obojętnych. Najpraktyczniej było zejść im z drogi i nie spotykać ich więcej.

2. Przygoda z Berlingowcami

Pożegnawszy kolegów poszliśmy dalej wolnym krokiem, bo śpieszyć się nie było powodu, a upał zapowiadał się niezwykle. Przed południem wstąpiliśmy do jakiejś stojącej na uboczu zagrody i poprosili o wodę. Gospodyni wyniosła na podwórze wiadro i kubek, postawiła na trawie i powiedziała:

- Wyciągnijcie sobie, panowie, ze studni świeżej, pręcej zaspokoicie pragnienie - i poszła do swoich zajęć gospodarskich.

Przyjemnie było usłyszeć miłe słowa gościnniej gospodyni. Napiiliśmy się świeżej, orzeźwiającej wody i siedli na chwilę w cieniu drzewa rosnącego w rogu podwórza. Upał był już niesamowity. W powietrzu panowała absolutna cisza, a słońce nie przysłonięte najmniejszą nawet chmurką prażyło ziemię jak rzadko kiedy.

Bardziej jednak niż pragnienie i stan pogody uwagę naszą zwracał od początku żołnierz stojący z karabinem przy progu mieszkania oraz kilku innych kręcących się po podwórzu, wychodzących lub wchodzących do izby. Od wczoraj mundury "Berlingowców" zaczęły w nas budzić rodzaj niechęci. Bo wcześniej myślałem o nich z uznaniem, z zadowole-

nien, wiedzieliśmy bowiem, że są to ludzie wywiezieni niedawno do Rosji, deportowani z Kresów Wschodnich po wrześniu 1939 roku, często potomkowie dawnych zesłańców, którzy nigdy nie znaleźliby drogi do Polski, gdyby nie zaciąg do wojska. Musieli być wśród nich i żołnierze września, z których większość poszła wcześniej na Bliski Wschód z generałem Andersem, ale dużo przecież zostało, czekając z utęsknieniem okazji powrotu do kraju. Rzuceni w odludne i bezkresne obszary sybirskiej tajgi czy Kazachstanu nie dowiedzieli się w porę o werbunku, a potem było już za późno. Nieraz w ostatnich dniach rozmawialiśmy na ten temat, jednak po wczorajszym dniu odebrania nam broni przez ich mocodawców i zwierzchników - Rosjan - mimo woli zakradło się do serca coś jakby pretensja, że idą razem, ramię w ramię z naszymi przecież nie przyjacielami, bo ci nigdy nimi naprawdę nie byli, a tylko znakomitymi specjalistami od pustych frazesów i ludzających obietnic, którymi potrafili czarować naiwnych. W dodatku wartownik nie mógł oznaczać nic innego jak tylko to, że w domu muszą przebywać starsi stopniem oficerowie. Uznaliśmy więc, że lepiej tu za długo nie siedzieć, lecz poszukać sobie innego miejsca na odpoczynek. Odpocząwszy więc nieco i otarłszy pot ściekający z czoła wstaliśmy i skierowali się ku furcie. Ledwie jednak zrobiliśmy kilka kroków, wartownik zawołał:

- Stać! Wracać na dawne miejsce!
- Dlaczego? - spytałem zdziwiony i zaniepokojony jednocześnie.
- Siadać! Dowiedcie się potem!

Z uczuciem lęku wróciliśmy w cień koło płotu. Nie mieliśmy pojęcia co o tym sądzić. Jest wojna, front niedaleko, każdego należy sprawdzić, wylegitymować, ale dlaczego nie uczynili tego od razu po naszym wejściu na podwórze, tylko dopiero teraz, gdy zamierzaliśmy odejść? Do serca zaczęła zakradać się dziwna obawa: od wczorajszego dnia, t.j. od chwili rozbrojenia Dywizji, odczuwało się głęboki żal do wszystkich - i Sowietów, i Berlingowców za to, co się stało, ale potem zaczęły budzić się obawy, czy nie zechcą pójść dalej i czy nie zaczną się rozprawiać bardziej radykalnie z wczorajszymi uzbrojonymi Akowcami? Czyżby tak rzeczywiście miało być? Mówiąc szczerze każdy ma teraz prawo nas zatrzymać, może każdego z nas aresztować, sowieckim zwyczajem może nas bez pytania postawić "pod ścianką". Jesteśmy nie tylko bezbronni, nie mamy też żadnych dokumentów tożsamości i w razie jakichkolwiek zajść z obecnymi "władzami" nie mamy nawet czym się wylegitymować. "Sowieckuju własć" mieliśmy okazję dobrze poznać na początku wojny, a w rękę tej "własci" przecież jeste-

my. W tej sytuacji wszystkiego można się spodziewać.

Po niedługim czasie wezwano nas przed drzwi domu. W progu stał jakiś oficer. Śpiewnym trochę głosem zapytał kim jesteśmy i co tu robimy. Odpowiedzieliśmy zgodnie z prawdą, niczego nie tając, o rozbrojeniu nas i rozejściu się żołnierzy Wołyńskiej Dywizji w różnych kierunkach. My udajemy się do Lublina.

- Dokumenty macie, a? - zapytał. - Jak mam uwierzyć, że jesteście "partizany"?

- Nie mamy. W partyzantce nie nosi się dokumentów, a dopiero wczoraj zabrano nam broń - odpowiedziałem.

- I nijakich rozpišek wy nie strzymali, co wy byli partizany?

- Nie, nie otrzymaliśmy żadnych zaświadczeń. Któż by był w stanie wystawić zaświadczenia dla kilku tysięcy ludzi w ciągu jednego wieczora? Nikt zresztą nie spodziewał się, że zostaniemy pozabawieni broni.

- Nu, tak wy, znaczy się, nie wiadomo kto?

- Wiadomo. Powiedzieliśmy przecież kim jesteśmy.

- Tak, wy powiedzieli, a to za mało.

Oficer zakończył badanie i poszedł do izby.

W tym właśnie momencie przypomniałem sobie nagle, że mam w chlebaku zeszyt - pamiętnik - w którym notowałem od wczesnej wiosny wszystkie ważniejsze zdarzenia. Krzyknąłem więc głośno do oficera, sięgając jednocześnie ręką do przewieszzonego przez ramię chlebaka.

- Mam dokument, tylko zapomniałem o nim! O! Partyzancki pamiętnik! Niech pan sprawdzi!

Oficer wziął zeszyt do ręki, przerzucił kilka kartek i nie próbując nawet czytać, oddał mi go z powrotem.

- Eto nie dokument - rzucił krótko i zniknął za drzwiami. Odniosłem wrażenie, że pewnie nie bardzo orientuje się w polskim słowie pisanym, a kazać sobie komuś przeczytać nie bardzo mu widocznie wypadało. Jeszcze bardziej niespokojni wróciliśmy znowu w cień koło płotu.

Po kilkunastu minutach z izby wyszedł młody żołnierz z peposzą w ręce i paskiem pod brodą. Zrobił lufą ruch wzywający nas do podjęcia ku bramie.

- Maszerować naprzód - rzekł sucho, bezbarwnie. - Jakakolwiek próba ucieczki - kula w łeb! - Ostatnie słowa wypowiedział tonem wyraźnej groźby.

- Dokąd nas pan prowadzi? - zapytałem.

- Milczeć i maszerować! No, już!
Ruszyliśmy. Dobrze, że nie kazał podnieść rąk w górę, co przy panującym upale byłoby paskudnie uciążliwe, a przy tym przykre i upokarzające. Bez słowa już, nie oglądając się w prawo ani w lewo weszliśmy na wąską drożynę, wiodącą między dojrzałymi już zbożami, łąkami ziemniaków, dużymi obszarami pachnącej koniczyzny i wśród cichego brzęku owadów. Poza tym panowała wokół absolutna cisza, a powietrze zdawało się drgać w południowej spiekocie. "Dokąd nas prowadzi ten żołnierz?" - chodziło nam po głowie. Nie próbowałem zagadywać o cokolwiek Gienka, żeby nie drażnić lubiącego widocznie rygor naszego konwojenta i nie narażać się na niemiłe zwracanie uwagi lub ostrzeżenia. "Pewnie ubiorą nas w mundury berlingowskie i wyślą na front, bo cóż innego mogą uczynić z dwoma wyrostkami? Do zamknięcia na dłuższy czas nie mają chyba powodów, chociaż u nich wszystko jest możliwe. Oficer, który nas badał, na pewno nie jest Polakiem. Pomijając już samą mowę, to sposób stawiania pytań, mina i spojrzenie żywo przypominały postawę rosyjskich urzędników, zapamiętaną z czasów, gdy trzeba było w ich biurach załatwić jakieś sprawy. A skoro tak, to i cały wojskowy system panujący w szeregach Kościuszkowców nie ma pewnie wiele wspólnego z normalnym systemem, jaki na przykład panował w naszej Dywizji. Zresztą co gorszego może nas spotkać od tego, co zdarzyło się wczoraj pod Skrobowem?".

Długo szliśmy wąską polną drogą wśród łąków zbóż, zmęczeni, zdrożeni i dobrze już głodni. Pot ściekał kroplami po czołach, koszule poprzyklejały się do skóry, a opiekun ponaglał co chwila:

- Szybciej, szybciej ruszać się!

Doszliśmy wreszcie do szerokiej szosy, prowadzącej z północy na południe. Łatwo było domyśleć się, że jest to główna droga z Lubartowa do Lublina. "Pewnie lepiej było iść tą drogą", pomyślałem. "Nikt nie zwróciłby uwagi na jakichś tam młodych podróżnych, bo szosą chodzą przecież różni ludzie i różnie ubrani, w polskie mundury też. A gdzieś w dalekich podleśnych zagrodach każdy obcy rzuca się w oczy i wydaje się podejrzany".

Nie czas jednak było teraz żałować i rozmyślać nad przeszłością sprzed paru godzin. Teraźniejszość absorbowowała nas o wiele bardziej.

Przemaszerowaliśmy szosą kilkanaście czy może kilkadziesiąt kroków i konwojujący nas żołnierz polecił nam skrócić w drogę odchodzącą od szosy w lewo, szeroką i obsadzoną wysokimi drzewami. Prowadziła prosto na wachód. Po paru dopiero latach miałem się dowiedzieć, że to droga do Leonowa, dziś znanego z wielkiego ogrodniczego gospodarstwa, a wtedy jeszcze niewielkiej wioski pod Lublinem. Dalej na

wschód rozciągały się rozległe jawidzkie lasy. Na tej więc drodze szło się nieco lżej, bo drzewa rzucały cień na całą jej szerokość. Po przebyciu 200, może 300 metrów zobaczyliśmy idącą w naszym kierunku z naprzeciwka młodą dziewczynę w żołnierskim mundurze.

- Stać i nie odwracać się! - zawołał nasz konwojent, gdy zrównaliśmy się z nadchodzącą dziewczyną. Ta obrzuciła nas badawczym spojrzeniem i podeszła blisko do żołnierza. Zaczęła się rozmowa prowadzona półszepceniem, tak, że początkowo niewiele można było z dolatujących do nas pojedynczych słów zrozumieć. Oboje młodzi znali się widocznie weselej i pozostawali ze sobą w dobrej komitywie, skoro mówili sobie jakieś widocznie sekrety. Lecz w pewnej chwili zacząłem nasłuchiwać pilniej, a po plecach przeleciały mi ciarki. Wstrzymałem prawie oddech. Usłyszałem całkiem wyraźnie słowa dziewczyny, niecierpliwie i pełne dezaprobaty:

- Mówię ci, daj spokój! Nie bierz ich na swoje sumienie!

- To rozkaz - odszepnął żołnierz. - Co mi tu będziesz wyjeżdżała z sumieniem?

- A jaką mają pewność, że to szpieczy? Sam mówisz, że żadnych dowodów nie znaleźli. Mówię ci, zaprowadź najpierw do sztabu!

Spojrzałem ukradkiem na dziewczynę. Nie nosiła żadnych odznak oficerskich, tylko mundur wyglądał na lepiej skrojony i w lepszym gatunku. Musiała pełnić jakąś wyższą funkcję, skoro miała prawo w ten sposób rozmawiać z żołnierzem. Ale niewiele to znaczyło wobec słów, jakie usłyszeliliśmy: nię mniej ni więcej tylko idziemy pod ścianę! A ściślej mówiąc nad jakiś leśny wądół! Nie trudno wyobrazić sobie nasze miny na samą myśl o tym. Robiło się dziwnie słabo, a krew odpływała od serca i tętniła w skroniach. Tątych dwoje tymczasem przeszło na cichy zupełnie szepc, domyślając się zapewne, że usłyszeliliśmy coś z ich rozmowy i znieruchomieliśmy jak posagi. Opanowywał mnie na przemian to paraliżujący myśli lęk, to znowu napływała pewność, nie wiem na czym oparta, że nic złego nie może nam się zdarzyć, że byłoby czystym nonsensem, gdyby ów młodzieńcy żołnierz, wyglądający na wyrostka młodszego chyba od nas, miał posiadać po naszych plecach serię ze swej pepeszy lub oddać nas w ręce innych egzekutorów.

Wreszcie zwyciężyła pewnie argumentacja dziewczyny, bo rozmowa urwała się i młody żołnierz zwrócił się do nas o wiele łagodniejszym głosem:

- Zejdźcie w lewo na tę dróżkę.

Ruszyliśmy we wskazanym kierunku. Na nogach jakby z waty, z

wschód rozciągały się rozległe jawidzkie lasy. Na tej więc drodze szło się nieco łatwiej, bo drzewa rzucały cień na całą jej szerokość. Po przebyciu 200, może 300 metrów zobaczyliśmy idącą w naszym kierunku z naprzeciwka młodą dziewczynę w żołnierskim mundurze.

- Stać i nie odwracać się! - zawołał nasz konwojent, gdy zrównaliśmy się z nadchodzącą dziewczyną. Ta obrzuciła nas badawczym spojrzeniem i podeszła blisko do żołnierza. Zaczęła się rozmowa prowadzona półszepceniem, tak, że początkowo niewiele można było z dolatujących do nas pojedynczych słów zrozumieć. Oboje młodzi znali się widocznie weześnie i pozostawali ze sobą w dobrej komitywie, skoro mówili sobie jakieś widocznie sekrety. Lecz w pewnej chwili zacząłem nasłuchiwać pilniej, a po plecach przeleciały mi ciarki. Wstrzymałem prawie oddech. Usłyszałem całkiem wyraźnie słowa dziewczyny, niecierpliwie i pełne dezaprobaty:

- Mówię ci, daj spokój! Nie bierz ich na swoje sumienie!

- To rozkaz - odszepnął żołnierz. - Co mi tu będziesz wyjeżdżała z sumieniem?

- A jaką mają pewność, że to szpieczy? Sam mówisz, że żadnych dowodów nie znaleźli. Mówię ci, zaprowadź najpierw do sztabu!

Spojrzałem ukradkiem na dziewczynę. Nie nosiła żadnych odznak oficerskich, tylko mundur wyglądał na lepiej skrojony i w lepszym gatunku. Musiała pełnić jakąś wyższą funkcję, skoro miała prawo w ten sposób rozmawiać z żołnierzem. Ale niewiele to znaczyło wobec słów, jakie usłyszeliliśmy: nić mniej ni więcej tylko idziemy pod ścianę! A ściślej mówiąc nad jakiś leśny wadół! Nie trudno wyobrazić sobie nasze miny na samą myśl o tym. Robiło się dziwnie słabo, a krew odpływała od serca i tętniła w skroniach. Tątych dwoje tymczasem przeszło na cichy zupałanie szepc, domysłając się zapewne, że uslyszeliliśmy coś z ich rozmowy i znieruchomieliliśmy jak posagi. Opanowywał mnie na przemian to paraliżujący myśli lęk, to znowu napływała pewność, nie wiem na czym oparta, że nie złego nie może nam się zdarzyć, że byłoby czystym nonsensem, gdyby ów młodziutki żołnierz, wyglądający na wyrostka młodszego chyba od nas, miał posiadać po naszych plecach serię ze swej pepeszy lub oddać nas w ręce innych egzekutorów.

Wreszcie zwyciężyła pewnie argumentacja dziewczyny, bo rozmowa urwała się i młody żołnierz zwrócił się do nas o wiele łagodniejszym głosem:

- Zejdźcie w lewo na tę dróżkę.

Ruszyliśmy we wskazanym kierunku. Na nogach jakby z waty, z

lekkim szumem w głowie, kroczyliśmy polną drogą, "wracając z bardzo dalekiej podróży", jak by powiedział sprawozdawca sportowy, tylko teraz zacząłem wyobrażać sobie to jakąś jamę, nad którą ustawia nas młodzieniec z karabinem, to gęsty las, to znów po prostu tu puste rozległe pole, gdzie nie prędko, gdzie nie prędko zdołałby ktokolwiek odkryć nasze ziemskie szczątki. I nie bardzo wiedziałem, czy wszystko to zaliczyć do koszmarnych widziadeł sennych, czy do najprawdziwszej rzeczywistości.

Tym razem marsz trwał krótko. Spoza zielonych sadów ukazały się najpierw szare stodoły, ciągnące się nieregularnym szeregiem z zachodu na wschód, a za nimi białe wiejskie domki, otoczone opłotkami i ozdobione rabatami kwiatów. Gdy podeszliśmy nieco bliżej, dostrzagliśmy wśród sadów różnego kalibru działka, zamaskowane tak dokładnie zielonymi gałązkami, że wyglądały nawet z niewielkiej odległości jak podłużne kępy gęstych krzewów, wyrastające między wyskokopiennymi drzewami owocowymi. Na podwórzach i między stodołami, umajone w podobny sposób, stały samochody wojskowe i lekkie tankietki. Gdzie niegdzie kręcili się koło nich żołnierze w porozpinanych mundurach, niektórzy bez czapek i bez żadnej broni.

- Nie rozglądać się! Patrzeć prosto przed siebie! - krzyknął znowu ostrym głosem nasz opiekun, widząc, że odwracamy głowy w stronę stojących obok drogi wojskowych pojazdów.

- Na pewno bierze naszą mimowolną ciekawość za objaw szpiegowskich przyzwyczajzeń - przeknęło mi przez głowę. - To potwierdza tylko ich domysły! Przewrażliwieni na punkcie swej czujności! - ale spełniłem natychmiast polecenie, żeby nie budzić licha i nie przysparzać sobie kłopotów, których i tak już nie brakowało.

Weszliśmy na pierwsze podwórze. Stały tam mały amerykański willis i duży samochód ciężarowy, naturalnie także ubrane w zieleni gałązek. Kręcący się obok wózków w samych tylko wojskowych spodniach żołnierz wytłumaczył, gdzie nieści się kwatera sztabu. Jeszcze kilkadziesiąt kroków krętą ścieżką wijącą się między domami i zatrzymaliśmy się przed większymi od innych zabudowaniami, wśród których przechadzał się wartownik z karabinem na ramieniu.

- Zamelduj, że przyprowadziliśmy jakichś podejrzanych - zwrócił się do niego nasz konwojent, każąc przedtem nam stać i nie ruszać się.

- Idź, zamelduj! powiedział wartownik do siedzącego pod ścianą na ławce kolegi.

Ten wstał ociężale, powiódł po nas obojętnym raczej wzrokiem, wszedł do wnętrza, a po chwili ukazał się znowu we drzwiach:

- Proszę, wchodźcie do środka - zaprosił nas uprzejmym tonem. Znaleźliśmy się w dużym prostokątnym pokoju z oknami od zachodu i północy. Na środku stał wielki stół zarzucony papierami, a obok talerz z kawałkami kiełbasy, parę kromek chleba, otwarta puszka z konserwą. Na środku kilka szklanek w kupie z nie dopitym na dnie płynem. Sądząc z zapachu musiał to być samogon. Na krzesłach i na łóżku ustawionym w rogu pokoju siedzieli oficerowie. Najstarszy stopniem, o ile pamiętam - pułkownik, młody jeszcze i przystojny, zwrócił się do nas:

- Coście za jedni i co tu robicie?

Mówił dobrą polszczyzną, zaliczając tylko nieznacznie akcentem wschodnia.

- Jesteśmy rozbrojenymi wczoraj żołnierzami 27 Wołyńskiej Dywizji. Wracamy do rodzin.

Uważałem, że takie wyjaśnienie celu naszej wędrówki powinno być najbardziej wiarygodne, mimo że o powrocie do domu jeszcze nie myśleliśmy.

Siedzący przy stole i na łóżku spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się dyskretnie, nie wiem - z zażenowaniem, czy może z ulgą, że nie muszą przeprowadzać dłuższych badań i namyślać się nad sprawiedliwym wyrokiem. A może 27 Dywizja była akurat przedmiotem ich rozmowy? Postanowili jednak sprawdzić moją prawdziwość:

- W czym byliście batalionie? - pytał dalej najstarszy stopniem.

- U "Jastrzębia" - odpowiedziałem w sposób powszechnie praktykowany we wszystkich naszych oddziałach. Nie mówiło się bowiem w zwykłych żołnierskich rozmowach o batalionach, lecz "u kogo?" To nam wystarczało i było bardziej zrozumiałe.

- Kto był dowódcą waszej dywizji? - badał dalej oficer.

- Przez ostatnie miesiące major "Żegota", ale w tych dniach podobno przyszedł ktoś nowy. Nie znamy jeszcze jego pseudonimu.

- Znaście jakichś innych dowódców batalionów w waszej dywizji?

- Naturalnie. "Sokoła", "Czymba", "Trzaska", "Korda", "Hrubego"...

- A wyższych oficerów? - przerwał pułkownik.

- Majora "Kowala", przedtem "Lubonia", "Cstoję", "Pogroma".

- A gdzie was rozbrojono?

- Między Lubartowem a Kozłówką. Mniej więcej w połowie drogi.

- Nazwy Skrobowa jeszcze wtedy nie znam.

- W porządku! - zakończył krótkie śledztwo sztabowiec. - Możecie iść gdzie tam zamierzaliście. Jesteście wolni.

Ciężki kamień spadł nam z serca. Ruszyliśmy kilka kroków w kierunku sieni, ale zawróciłem jeszcze:

- Panie pułkowniku, czy jakiś żołnierz mógłby odprowadzić nas przynajmniej do szosy? Bo znowu ktoś gotów nas zatrzymać i ciągnąć nie wiadomo po co. Na szosie może będziemy już bezpieczniejsi.

- Dobrze, zaraz dam wam kogoś - zgodził się bez słowa oficer.

W chwilę później w towarzystwie przydanego nam na przewodnika żołnierza szliśmy tą samą co przed kwadranssem drogą wśród sadów i obok stojących dział, dalej zieloną aleją aż do szosy, lecz już w nastroju zupełnie innym, jakbyśmy odnieśli jakieś ważne zwycięstwo, wolni od uzbrojonego konwojenta, który gdzieś znikł i nie pożegnał się nawet z nami, nie powiedział nawet "przepraszam" za pomyłkę; wolni też od podejrzeń i w pewnym sensie dumni, że tu, w sztabie jakiejś ważnej jednostki wojskowej "Berlingowców" znają tak dobrze naszą Dywizję i jej dowódców. Wynikało z tego, że działalność wołyńskich katalionów musiała tu być głośna i komentowana przez oficerów, a może i ich żołnierzy. Coś jednak byliśmy warii!

Odprowadzający nas przewodnik podszedł jeszcze razem z pół kilometra szosą, po czym pożegnał się z przyjaznym uśmiechem i wrócił do swej jednostki, a my ruszyliśmy na południe w stronę Lublina. Szliśmy teraz żywiej, nie odczuwając nawet głodu, a i upał zmniejszył się nieco, można więc było przyspieszyć kroku. Nadszpiewanie szybko ujrzelśmy przed sobą wyłaniające się spoza wzgórz wieże kościołów i dachy kamienie. Miasto rozciągało się szeroko i wyglądało malowniczo, barwnie ukształtowane na kilku pagórkach i ich łagodnych zboczach.

3. Pierwsze dni na lubelskim bruku.

Przed samymi rogatkami Lublina spotkaliśmy starszych kolegów z Zasmyk: Bazylego Zamościńskiego, Zygmunta Śladowskiego i Michała Dondalskiego - starych, nierozłącznych przyjaciół. Szli wolnym krokiem w tym samym co my kierunku. Dołączyliśmy do nich radośnie, podniesieni na duchu, że mamy oto rozważnych i doświadczonych kolegów, zasmyczan, którzy na pewno lepiej niż my orientują się, co robić i gdzie się obrócić.

Zaczynało się już prawie miasto, gdy Bazyl dostrzegł na słupie pie ogłoszeniowym świeżo przyklejony plakat. Jeszcze klej dobrze

nie wysechł i tworzył gdzieś niegdzie ciemniejsze zaciski.

- Zaczekajcie chwilę, zobaczę co to za ogłoszenie? - zwrócił się do nas "Tumry", bo taki pseudonim wybrał sobie Bazyli na pamiątkę granej niegdyś roli Tumrego w "Chacie za wsią". Ruszył szybkim krokiem do słupa ogłoszeniowego. Zbliżyliśmy się także.

- Widzicie? - Bazyli wskazał głową na plakat. - Mamy nowy rząd, zafundowany nam na pewno przez Moskwę. Cholera... - Był wyraźnie poruszony i zdenerwowany. Zmarszczył czarne brwi i wpatrywał się w ogłoszenie.

Zaczęliśmy czytać: "Manifest i pierwsze dekrety Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Dekret Krajowej Rady Narodowej o utworzeniu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego..." Przebiegliśmy wzrokiem treść. W pięknie brzmiących słowach kryła się zapowiedź rządów, które natychmiast skojarzyły się nam z takimiż w "Zapadnej Wikrainie" po wkroczeniu Sowietów na Wołyń we wrześniu 1939 roku. Znaliśmy aż nadto dobrze te sformułowania o reformach, o ziemi dla chłopów oraz fabrykach, które teraz staną się własnością klasy robotniczej, o najsprawiedliwszym na świecie państwie - "Sowietskim Sojuszu" itd.itd. I wtedy, w latach 1939 - 1941 brzmiały bardzo obiecująco wszystkie te górnolotne słowa, tylko że za nimi kryła się rzeczywistość najzupełniej od nich różna, brutalna i okrutna, czyniąca z owej klasy robotniczej parawan dla kłamliwej polityki zagranicznej i dla własnej arystokracji partyjnej, wszechwładnej i stojącej ponad wszelkim prawem. Nawet pomniejsi sekretarze we wspomnianych latach zapytani dlaczego nie stoją w kolejkach jak wszyscy inni, odpowiadali, że za prześladowania "za Polszczy" należy im się słuszną nagrodą w postaci prawa nabywania wszystkiego poza normalnymi formami, czyli całonocnym wyczekiwaniem na chleb, cukier, mąkę. A przecież wtedy jeszcze Sowietci wojny nie prowadzili, powinno więc było dla wszystkich starezyć przynajmniej podstawowych produktów. Mieli je tylko partyjni funkcjonariusze, dla nas pozostawała ciężka, katorżnicza praca i nieustanne wielogodzinne "ogonki". A wkrótce potem Sybir albo Kazachstan w okropnych bydłących wagonach. Nie dziwnego, że wierności komunistycznym ideom dotrzyмали tylko nieliczni ukraińscy postępowcy, którzy z racji pełnionych urzędów nie zdołali poznać na własnej skórze dobrodziejstw nowego systemu. Cała reszta już po paru tygodniach otrząsnęła się ze złudzeń i przeszła na pozycje bardziej wrogie wobec Sowietów niż ktokolwiek inny. Z nich potworzyli się później najbardziej zgorzali nacjonalisci - sadystyczni mordercy, jakby dla powetowania sobie doznanych rozczarowań. Bo z obiecanej "Zapadnej Ukrainy" wyłącznie dla Ukraińców otrzymali nasi współmiesz-

kańcy Wołynia, Podola i innych ziem wschodnich wyłącznie papierowe obietnice. A prócz tego drwiny całej reszty z łatwowiernych słuźalców Moskwy. Byliśmy już wtedy przekonani, że nie inaczej będzie i z Polską "robotniczo-chłopską", czyli taką, w której robotnicy oraz chłopci będą harowali, a garść bezkarnych rządców będzie wygłaszała podniosłe mowy i tuczyła się krzywdą swych współbraci. I za to wszystko nowi arystokraci będą żądać dla siebie hymnów pochwalnych z ust zagonionych i zdeorientowanych przedstawicieli klasy robotniczej. "Klasy eksploatowanej przez kapitalistów i obszarników". Zналиśmy to aż nadto dobrze.

Zasepiły się nam miny. Patrzyliśmy to na tekst "Manifestu", to w bruk ulicy, nie mówiąc do siebie ani słowa. Od kilku dni coś takiego wisiało w powietrzu, nie sądziliśmy jednak, że tak prędko, że już zamieni się w rzeczywistość. Wydawać się mogło, że Sowietci najpierw będą usiłowali uporać się z Niemcami, może wejdą w jakieś rozmowy z naszym krajowym rządem podziemnym, a może i londyńskim, że zechcą upozorować przynajmniej jakiś kompromis dla pozyskania sobie polskiego narodu. Tymczasem ów PKWN z nazwiskami Wasilewskiej, Hanemana, Radkiewicza czy Berlinga nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że będzie usiłował zostać naszym bezwzględny panem i władcą, mającym po swojej stronie Stalina i jego czołgi. Nie tego spodziewaliśmy się. Tyle lat udręki, tyle krwi przelanej, bezprzykładnego bohaterstwa i poświęceń tylu najznakomitszych Polaków - teraz wszystko to zostanie przekreślone i zestanie pewnie splugawione, ośmieszona w taki sposób, jak to się działo w początkach wojny na Wołyniu pod rządami dzisiejszych wyzwolicieli /ł/ i niewątpliwie twórców "najsprawiedliwszego ustroju...". Czuło się już wtedy, że rosyjski i stalinowski imperializm stłamsi każdą wolną myśl i każdą próbę samodzielnego życia. Nie darmo wmawiali w nas od września 39 roku, że cały świat musi być komunistyczny, bo takie jest prawo historii i żadna siła nie będzie w stanie temu zapobiec. Taką jest kolejność ustrojów. A Moskwa musi stać się stolicą świata, świata komunistycznego, ponieważ tam narodził się ów superpostępowy system i tam są dziś siły napędowe historii. Ostatnie wydarzenia zdawały się owe teorie potwierdzać.

Nasza ciężkie myśli przerwał Bazyli:

- Musimy iść! Stanie tu całą gromadą z minami skazańców może być niebezpieczne. Tylko nie wszyscy razem. Wy dwaj - zwrócił się do mnie i do Gienka - zostaniecie, a po jakimś kwadransie pójdziecie za nami. Tylko ostrożnie. My tymczasem rozejrzemy się trochę po mieście i gdzieś tam na was poczekamy.

Po chwili Michał z Bazylim i Zygmuntem wmieszali się w tłum przechodniów i znikli w biegnącej pochyło w dół ulicy. My zostaliśmy, rozglądając się wokół, to znów udając, że czytamy w dalszym ciągu plakat z tekstem "Manifestu". Przechodzili obok nas coraz to inni ludzie, nie zwracając na szczęście uwagi na dwóch stojących na brzegu chodnika obcych młodzieńców. Wiadomo - duże miasto, ludzie się nie znają, nie to co na przykład w naszym Turzysku, Kupczowie czy nawet Kowlu, gdzie o wiele trudniej byłoby ująć wzroku ciekawych obserwatorów. Spoglądaliśmy w twarze przechodniów. Nie było widać zbytnej radości, której należałoby oczekiwać w kilka dni po "wyzwoleniu", gdyby było ono prawdziwym wyzwoleniem. Czuło było, że wszystkich ogarnia niepokój, co przyniosą najbliższe wydarzenia, jak potoczy się przysłowiowe "koło historii". Ta wielka niewiadoma nie pozwalała w pełni cieszyć się z ucieczki niemieckich okupantów, winnych wszystkiego, co było nam dane przeżywać w czasie wojny. Bo jeśli nastąpi tylko zmiana okupanta?...

Odczekawszy około 20 minut ruszyliśmy i my w kierunku centrum. Kilkadziesiąt kroków i oto znaleźliśmy się między murami kamienia ulicy Lubartowskiej. Od razu poczuliśmy się dziwnie mali, zupełnie zagubieni w dużym nieznanym mieście. Dwu, trzy, a nawet czteropiętrowe domy ciągnące się prawie nieprzerwanym murem robiły wrażenie czegoś w rodzaju olbrzymiego kamiennego wąwozu, osaczającego nas ze wszystkich stron. Istna "dolina bez wyjścia". Także sam chodnik napełniony gęsto ciągnącymi w jedną i w drugą stronę przechodniami nie wpływał dodatnio na nasze samopoczucie. Przyzwyczajeni do ulic Kowla, gdzie przeważały domy parterowe i jednopiętrowe, rzadko tylko wyższe, patrzyliśmy na Lublin jak na olbrzymią metropolię, w której człowiek znaczy tak niewiele, przytłoczony ulicznym ruchem i ogromem budowli. Te wrażenia potęgował jeszcze fakt, że przez ostatni rok żyliśmy w ogóle z dala od większych siedzib ludzkich. I wydało mi się, że znalazłem się tu zupełnie bezprawnie, że każdy ma prawo zatrzymać mnie, spytać jakim prawem chodzę po tych ulicach, poważnych i prawie dostojnych, a gdyby chciał ktoś nawet aresztować nas i uwięzić, pewnie nie znalazłbym nic na swoją obronę.

Ulica biegła prosto jak strzelił najpierw w dół, potem pod górę i tworzyła stąd, od rogatek, bardzo malowniczy widok. A domy ciągle wyglądały na olbrzymie. Dopiero prawie pod wierzchołkiem widocznego od początku wzniesienia odsłoniła się z prawej strony wolna przestrzeń, widocznie targowisko, ze straganami i jakąś niską wydłużoną budowlą po środku. W dali, przy ulicy biegnącej o wiele ni-

zej, wznosił się kościół, również wciśnięty między przylegające do niego budowle. Jeszcze kilkadziesiąt kroków i znaleźliśmy się na niezbyt obszernym placu z potężną bramą z lewej strony, a z prawej ze zrujnowanym gmachem, pewnie będącym jakimś ważnym urzędem lub dworem, o czym świadczyły grube kolumny i wysokie, też potłuczone schody. Za zrujnowanym gmachem widać było wieżyczkę kościoła, niewielkiego i przylegającego ściśle do ruin, a dalej ulicę biegnącą w prawo w kierunku zachodnim. Zawahaliśmy się chwilę, którądy iść? W prawo, czy na wprost? Wybraliśmy ten drugi kierunek. Przeszliśmy przez wybrukowany ładną kostką plac i lekkim półkolem w lewo znaleźliśmy się przed dwoma kościołami: po prawej, tuż przy ulicy, prawie nie tknięty wojennymi działaniami i z lewej ~~widok~~, po przeciwnej stronie dużego prostokątnego placu okazała świątynia z obaloną jedną wieżą i pogruchotanym frontonem, z potłuczonymi kolumnami, z których tylko jedna cała podtrzymywała część wysuniętego do przodu jakby poddasza czy balkonu. Dopiero po kilku dniach mieliśmy się dowiedzieć, że ta druga świątynia - to lubelska katedra, najważniejszy kościół w mieście. Obok niej, po przeciwnej stronie wąskiej, opuszczającej się również półkolem w dół uliczki wznosił się ciężki, przysadzisty budynek w formie dworku - pałac biskupi, jak się później dowiedzieliśmy.

Łatwo się było zorientować, że znajdujemy się w centrum miasta, bowiem takie zagęszczenie kościołów, placów i reprezentacyjnych budowli wyraźnie na to wskazywało. Z tego wniosek, że idąc dalej w tym samym kierunku zaczniemy zmierzać ku peryferiom miasta. Zatrzymaliśmy się na moment, obejrzelik wokół i, ruszyliśmy dalej przed siebie. Dlaczego? Któż to wie? Jeśli zajdzie jakaś potrzeba, to najwyżej zawrócimy. Ledwie jednak zrobiliśmy kilka kroków, gdy spośród przechodniów wyłoniły się sylwetki dwóch naszych kolegów, nie pamiętam już dziś których. Spyтали nas, dokąd idziemy? Nie potrafiliśmy nic na to odpowiedzieć. Po prostu przed siebie.

- A wy? - spytałem.

- Wracajcie z nami - rzekł cicho jeden z naszych. - Tylko idźcie kilka kroków z tyłu. Zaprowadzimy was na ulicę Narutowicza. Tam jest punkt zberny. Tylko się nie zgubcie! - ostrzegł na koniec i ruszyli obaj w stronę, skąd dopiero co przyszliśmy.

Krocząc za kolegami nie rozglądaliśmy się już zbyt na boki, z obawy przed zgubieniem się, o co w tłumie nie było trudno. Ucieszyliśmy się tylko, że tak niespodziewanie znalazł się w tym nieznanym mieście jakiś punkt oparcia, że ktoś o nas pomyślał i wido-

oznie ma jakieś dla nas zadania, może rozkazy, polecenia? W każdym razie nie jesteśmy już zdani na łaskę losu.

Wąziutką uliczką w lewo weszliśmy na plac z potrzaskaną wieżą ciśnień po środku i zrujnowanymi obok kamienicami. Na jezdni leżało pełno potłuczonej cegły, pogiętych blach, rupieci. Widać było, że nie uprzątnięto jeszcze ulic po niedawnych działaniach wojennych - bombardowaniu lub ostrzeliwaniu artyleryjskim. Chodnikami pojedynczo lub po kilku spacerowali rosyjscy żołnierze, również po jezdniach poruszały się sowieckie wojskowe pojazdy, wypełnione po brzegi wojskiem. Od czasu do czasu pojawiali się także cywile z karabinami i czerwonymi opaskami na rękawach. "Pionierzy Milicji" - jak poinformowano nas później. Polskich żołnierzy nie było widać. Widocznie na kwatery w mieście jeszcze sobie nie zasłużyli.

Minąwszy plac i duży kościół po lewej stronie oraz wspomniany szkielet wieży ciśnień znaleźliśmy się obok całej ulicy leżącej w gruzach. Biegła prostopadle do tej, którą szliśmy. U jej wylotu ruch był jeszcze większy niż tu, na Narutowicza. Domyśliłem się, że to ulica prowadząca do tamtej, którą mijaliśmy wcześniej na wysokości bramy, pewnie główna arteria komunikacyjna Lublina.

Potem jeszcze jedna przecznica z kikutami dawnych budowli, jeszcze jeden kościół także po lewej stronie i ślady zniszczeń znikły. Po obu stronach wznosiły się wysokie, okazałe domy, bez przerw, tylko z bramami wjazdowymi, ciągnące się nieprzerwanym sznurem. Po paru minutach nasi koledzy zatrzymali się i wskazali nam drzwi, do których mamy wejść.

Wewnątrz było już sporo naszych chłopaków z różnych oddziałów i batalionów. Jedni stali przy ścianach w małych grupkach i prowadzili całkiem spokojne rozmowy, inni siedzieli przy stołach nad talerzami z parującą zupą.

- Siadajcie - zwrócił się do nas jeden z naszych przewodników. Zaraz zjecie obiad, tylko chwileczkę trzeba będzie poczekać - dodał rozejrzawszy się po sali, w której wszystkie miejsca były zajęte. Wkrótce podszedł do nas także Bazyli.

- Kiedy zdążyłeś oblecieć miasto i znaleźć tę jaskółczynię? - spytałem. - Przecież poszliśmy wkrótce za wami.

- Miałem już wcześniej adres, tylko musiałem się upewnić, czy nie spalony - Bazyli używał nadal słownictwa okupacyjnego. - I wyglądaliśmy was, ale musieliście przejść niezauważeni. Poza tym spotkałem znajomego, który objaśnił mi, że już zorganizowano nam wyżywienie, tymczasową opiekę itd. Wszystko to dzieło lubelskiej konspiracji. Ale na ulicy trzeba bardzo uważać, być ostrożnym, bo

wiecie, że na pewno mają nas na oku i mogą zacząć łapankę. Chodzić pojedynczo, najwyżej po dwóch i mieć się ciągle na baczności.

Nie podniosło nas to na duchu i nie nastroiło optymistycznie, ale i nie zdziwiło. Bazyli za chwilę odszedł, a my zaczęliśmy się rozglądać naokoło.

Lokal składał się z kilku sal i, jak nam później powiedziano - należał do znanej w Lublinie działaczki społecznej, p. Grygowej, która po wybuchu wojny w 1939 r. cały swój pokaźny majątek przeznaczyła na pomoc ofiarom wojny, żołnierzom, więźniom obozów, członkom Armii Krajowej będącym w potrzebie, a teraz bezinteresownie karmiła nas, Wołyniaków. Cieszyła się w Lublinie powszechnym szacunkiem i szczerą wdzięcznością tych wszystkich, którym przychodziła z pomocą. Teraz i my stawaliśmy się jej dłużnikami. Współpracowała z nią inna społeczniczka i konspiratorka, oddana całkowicie sprawie walki o wolność, p. Machłowa, którą już niedługo mieliśmy poznać osobiście i nawet się z nią zaprzyjaźnić. Opuściła potem Lublin, przeniosła się aż do Cieplie, gdzie ją też odwiedzałem, wreszcie poważnie zachorowała, została przewieziona do Warszawy i odtąd straciliśmy z nią kontakt. Dopiero na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych doszła nas wieść, że nasza "Mateczka", jak ją nazywaliśmy, przebywa w przytułku w Lubartowie, prowadzonym przez jakiś zakon żeński. Pojechaliśmy do niej w odwiedziny całą grupą: pp. Tosia i Michał "Sokołowie", "Pola" Majewska i my z Alą, t.zn. moją żoną. Odnaleźliśmy chorą staruszkę a naszą dobrodziejkę; z łatwością nas sobie przypomniała, szczególnie Polę, którą znała najbliższej. Opiekowała się też Zosią Lemińską - "Poziomką", młodziutką dziewczyną, która sama tylko ocalała z całej rodziny wymordowanej przez banderowców w Budach Ossowskich na Wołyniu, a u której mieszkał por. "Jastrząb" - Władysław Czernański, dowódca mojego batalionu. I ją wraz z mężem spotkaliśmy kilka razy w Lubartowie u p. Machłowej, bo jeździliśmy potem jeszcze kilka razy w odwiedziny. Po mniej więcej roku od odnalezienia staruszki dobra nasza opiekunka opuściła ten świat.

Po spożyciu posiłku któryś z kolegów wskazał nam przy tej samej ulicy pod numerem chyba 35 dom o kilku pokojach, pustych zupełnie, gdzie urządzono nam miejsca noclegowe. Zastaliśmy tam pełno naszych chłopaków. Niektórzy, przebywający tu już od kilku godzin, czuli się prawie gospodarzami i wskazywali nowoprzybyłym, gdzie mogą się jeszcze ulokować. Nie były to, rzecz jasna, warunki luksusowe, nie hotel ani inny dom noclegowy. Zwykle sienniki rozłożone na podłodze i stare koce do przykrycia stanowiły całe wyposażenie pomieszczeń,

lecz dla nas po przejściach wołyńskich, poleskich i ostatnio lubelskich, szczególnie po wczorajszej tragedii, nawet takie pomieszczenie wydawało się wspaniałe.

Nazajutrz, we wtorek 27 lipca, zanim skończyliśmy śniadanie, ktoś niespodziewanie zawiadomił nas, że mamy pójść na ulicę Peowinów obok teatru /obecnie Pstrowskiego/ pod taki i taki numer, ponieważ odbędzie się we wskazanym lokalu ważne spotkanie. Pośpieszyliśmy natychmiast. Jakaż była nasza radość i zaskoczenie, gdy w wyznaczonym domu zobaczyłem "Jastrzębia" i jeszcze kilku naszych oficerów. Rzeczywiście czekali na nas. Każdy z dowódców wyglądał przede wszystkim żołnierzy ze swego batalionu. Zebrała się wokół por. "Jastrzębia" spora gromadka jego podwładnych. Nasz dowódca zachowywał się swobodnie, uśmiechał się, nawet dowcipkował i pytał z zainteresowaniem co robimy i jak się czujemy? Dowiedzieliśmy się też, że dziś lub jutro otrzymamy zaświadczenia upoważniające nas do poszukiwania rodzin. Będziemy mogli poruszać się swobodnie po terenach wolnych od Niemców. A już za kilkanaście minut zostaną nam wydane robocze ubrania i bielizna, żebyśmy nie rzucali się w oczy swymi wojskowymi czy prawie wojskowymi mundurami. Por. "Jastrząb" powiedział nam też, że możemy jakiś czas przebywać spokojnie w Lublinie, ale potem niech każdy kto może, ~~niech~~ na własną rękę próbuje dostać się do Warszawy. Nie należy traktować tego jako rozkaz, bo na razie nie jesteśmy jeszcze wojskiem, ale dobrze by było, gdybyśmy mogli tam dotrzeć. Oficerowie również wkrótce się tam udadzą.

Spotkanie z dowódcami, ich spokój i opanowanie, a przede wszystkim widoczna troska o nas, połączona z zaleceniem marszu do stolicy, podbudowały nas niezmiernie. "Nie wszystko jeszcze stracone" - zdawały się mówić miny naszych dowódców, a i my podzielaliśmy już teraz taką opinię. Wszak wojna jeszcze nie skończona i wiele może się wydarzyć. Byłe tylko nie urządzono wcześniej łapanki na nas...

Następnego dnia mieliśmy już obiecane zaświadczenia i odzież. Z pewnym żalem zdjąłem z siebie rzucający się w oczy i mocno już podniszczony mundur, uszyty jeszcze w domu w Zasmykach, a włożyłem szarą roboczą bluzę i także spodnie. Jediną zaletą nowego ubioru była jego świeżość, czystość, lecz na czas chłodnych dni i nocy nie bardzo się nadawał, bo wszystko to było cieniusieńkie, prawie przewiewne. Tylko koszula wyglądała elegancko - biała, w drobne ciemne paseczki. Tak mi się spodobała, że żałowałem jej wkładać od razu na siebie i nosić na co dzień. Uznałem, że zostawię ją na dzień świąteczny, a do tego czasu pochodzę sobie jeszcze w starej. Do niedzieli już blisko.

Tego jeszcze dnia wyruszyłem po raz pierwszy na dłuższą prze-

chadzkę po mieście. Uważałem, że moja "szarość" nikogo już nie zainteresuje i mogę bezpiecznie zwiedzać stary nadbystrzycki gród. Owinąłem koszulę w papier, zrobiłem małą paczuszkę i skierowałem się w stronę zachodnią Lublina. Po krótkim czasie znalazłem się na ulicy biegnącej obok cmentarza, znanej ulicy Lipowej. Okazało się, że tylko w samym śródmieściu uprzątnięto już ślady niedawno stoczonych tu walk. Ulica Lipowa wyglądała tak, jakby działania wojenne ustały tu dopiero co. W okolicy cmentarza leżały na środku jezdni porozbijane samochody wojskowe, różne inne pojazdy, tu i ówdzie trupy końskie z rozdętymi brzuchami, pełno śmieci, papierów, kawałki potrzaskanych mebli itp. Dopiero po dojściu na róg Krakowskiego Przedmieścia i alei Racławickich zastałem jaki taki porządek. Tu jezdnia była już oczyszczona i ruch panował na niej ożywiony, większy niż na wszystkich innych ulicach. Domy od gmachu Sądu poczynając aż do ulicy Szopena stanowiły puste, poszczerbione mury, bez dachów i sufitów. W jednej z kamienic ocalała jedna klatka schodowa. Postanowiłem spojrzeć na miasto z góry. Wszedłem po ocalałych choć mocno poszczerbionych schodach na najwyższe piętro i spojrzałem w dół. Ciekawie wyglądała ulica: jechały w kierunku zachodnim ruskie samochody wojskowe, niektóre wypełnione żołnierzami w pełnym uzbrojeniu, śpiewającymi "Katuszę", "Taczankę" lub "Jeśli Zawsza wajna", maszerowały niewielkie oddziały krasnoarmiejców z niedbale zawieszonymi na szyi "finkami", przechodnie w milczeniu przyglądali się nowym panom lubelskiej ulicy, zadzierali głowy na wysokie potłuczone mury, na których stałem, rozmawiali ze sobą, nie okazując żadnego entuzjazmu nową sytuacją.

Długo wpatrywałem się w ruch uliczny. Chwilami ścisnęło coś za serce, bo przecież obiecywaliśmy sobie niedawno także maszerować ulicami polskich miast, jak to było przed paru dniami w Lubartowie, gdzie witano nas kwiatami i oklaskami, bo choć nie "jastrzębiacy" zdobywali to miasto, ludność nie rozróżniała tych, którzy bili się przez całą noc w rejonie dworca kolejowego i wiaduktu od tych, co przyszli tam dopiero rano po odpędzeniu Niemców z kursującego wzdłuż grodu pociągu. Myśmy trafili tylko na uchodzących z Lubartowa niedawnych panów Europy i po krótkiej wymianie strzałów wzięli kilkunastu do niewoli, zdobyli trochę karabinów i z tym łupem przybyli do wolnego już miasta. Któż mógł wtedy przypuszczać, że w niespełna tydzień później będziemy stanowili gromadę wylęknionych i niepewnych jutra ludzi na własnej polskiej ziemi, wśród rodaków myślących podobnie jak my i oczekujących tej samej wolnej Polski, a którzy tylko półoficjalnie, jak na przykład pani Grygowa

czy Machłowa, będą próbowali nam pomóc w trudnym okresie po tragicznym rozbrojeniu. Nie myślałem nigdy, że będę czuł się tu zbyt czyny, nikomu niepotrzebny, w drelichowej bluzie zamiast munduru, bez przyszłości, bez prawa do spokojnego poruszania się po lubelskiej ulicy.

W pewnej chwili zauważyłem po przeciwnej stronie jakiś sklep. Ludzie wchodzili, wychodzili, wynosili jakieś pakunczki. Postanowiłem pójść tam i zobaczyć ten przejaw normalnego życia, jakiego dawno nie oglądałem. Przeszkadzała mi trochę trzymana pod pachą koszula. Niewygodnie. Jedna ręka stale zajęta, w dodatku drętwiejąca czasem po niedawno wyleczonej ranie. Niewiele myśląc schowałem zawiniątko w owym rozwalonym domu pod leżącą wśród gruzów deskę, lekko zamaskowałem i zszedłem na dół. Powoli zbliżyłem się do sklepu. Nie było tam niczego rewelacyjnego, ot, coś niby ciastka, cukier i parę innych artykułów spożywczych. Nie miałem pieniędzy na kupno czegokolwiek, mimo że czułem chęć na ciastka, nie wyglądające wprawdzie na normalne, przedwojenne, ale mimo wszystko przypominające dawne dobre czasy. Od iluż to miesięcy nie miało się czegoś podobnego w ustach... Wprawdzie głęboko w kieszeni tkwił banknot pięciodolarowy, otrzymany w Skrobowie od por. "Jastrzębia", ale ten chowałem na czarną godzinę, a poza tym wydawał mi się przede wszystkim cenną pamiątką tragicznej chwili, że nie wiem, czy odważyłbym się wydać go nawet na bardzo ważną i bardzo potrzebną rzecz. Wszyscyśmy otrzymali wtedy po takim "papierku" na drogę, lecz, jak się orientowałem, nikt jeszcze swego skarbu nie naruszył. Pospacerowałem więc jeszcze trochę po Krakowskim Przedmieściu, pooglądałem domy i ich ruin, pogapiłem się na przechodniów i pierwsze ubogie sklepiki, które tu i ówdzie zaczęły się pojawiać i zawróciłem, by zabrać z rozwalonego domu paczuszkę z koszulą. Wdrapałem się ostrożnie na górę po drgających lekko schodach, podniosłem deskę i... stanąłem o-niemiały: pakunczku ani śladu! Stałem przez chwilę nieruchomo, po czym rzuciłem deskę. Upadła wzniesając tuman kurzu. Odskokczyłem na bok, żeby nie zabrudzić czystej bluzy i spodni, zafasowanych dopiero co. A gdy pył opadł, zacząłem rozglądać się w nadziei, że może pomyliłem klatki schodowe, może jest tu wśród gruzu jakaś inna deska?... Niestety, ni z lewa, ni z prawa niczego podobnego do tej "komnaty" nie było. Ktoś musiał mnie podglądać, gdy chowałem zawiniątko, albo zauważył, że wychodzę z ruin z pustymi rękami i wykorzystał natychmiast nieobecność właściciela. Żal mi było niezmiernie nowiutkiej, jeszcze nie używanej koszuli. Od tak dawna nie miałem na sobie naprawdę czystej, świeżej bielizny!... w Rzędce Kijańskiej, gdzie odpo-

czywaliśmy po dołączeniu do Dywizji i po wielodniowym brodzeniu po poleskich bagnach, gospodynie robiły nam czasem drobne "przepierki", czasem sami próbowaliśmy uporać się z tą trudną czynnością w warunkach polowych, lecz niedostatek mydła, brak możliwości wygotowania "łaszków" sprawiły, że prawdziwie czystą bieliznę wspominaliśmy jako coś bardzo odległego, z zaszyckich czy kupieczowskich jeszcze czasów, gdy stojąc z oddziałem w pobliskich wioskach otrzymywaliśmy z domów dość regularnie przesyłki dostarczane nam przez rodzinę albo znajomych. Ale to było tak dawno. Ponad rok temu. I teraz ta wielka nadzieja na włożenie na skórę czystej koszuli znikła w jednej krótkiej chwili. Pocieszała tylko myśl, że może sprawca kradzieży był w podobnej sytuacji. Może i dla niego owa szmatka oznaczała skarb nieoceniony? Trzeba było jakoś się uspokoić i przestać myśleć o stracie. Źle nam przecież nie było. Mieliśmy co jeść, gdzie spać, w kieszeniach tkwiły zaświadczenia, że byliśmy więźniami na Majdanku i udajemy się na poszukiwanie rodzin, jaki taki więc dokument mógł w razie czego przy powierzchniowych indagacjach władz wystarczyć, nie było więc większego powodu do narzekań. Przed wieczorem wróciłem na Narutowicza, gdzie zagęszczenie stało się o wiele większe niż wczoraj, bo ciągle przybywali nowi "konbatanci".

Naradzaliśmy się tymczasem kiedy wyruszyć do Warszawy, którą, w jaki sposób i z kim spośród starszych, choćby podoficerów, ale jakoś trudno było zdecydować się. Zbyt mało znaliśmy ludzi, nie byliśmy przyzwyczajeni do samodzielności, nie znaliśmy wcale kraju ani sposobów poruszania się w warunkach trwającej wojny. Ogarniał nas lęk przed Rosjanami, do których ani rusz nie mogliśmy nabrać zaufania, chociaż gazety głośno trąbiły o wiecznej przyjaźni, o wspólnej walce, braterstwie broni itd. Doświadczyliśmy tego braterstwa jeszcze na Wołyniu i Polesiu, potem w Skrobowie. Porwano i wywieziono do Rosji wspaniałego dowódcę dużego partyzanckiego oddziału kpt. "Bombę" - Władysława Kochańskiego, zamordowano podstępnie por. "Drzazgę" - Jana Rerutko, zginęło wielu innych oficerów i żołnierzy naszej Dywizji, w tym dowódcę zgrupowania włodzimierskiego - "Osnowy" - kpt. "Garda" - Kazimierz Rzaniak, o którym puszczono w obieg wersję, iż zginął podczas przeprawy przez Prypeć, podczas gdy są świadkowie na to, że cały i żywy dostał się w ręce naszych "sojuszników". A ilczę razy podczas różnych spotkań emal nie dochodziło do strzelaniny, ponieważ "przyjaciele" prowokowali spory i chwytały za broń, lecz widząc naszą zdecydowaną postawę uspokajali się i nawet przepaszali za "oszybkę". Pamiętaliśmy zbyt dobrze lata 1939 - 1941 i nieustanne transporty rodzin wojskowych jadące na wschód, osadników, urzęd-

ników, a potem kogo popadło, kto się nawinął, jak na przykład nana ciocia Kurzydłowska z mężem i siedmiorgiem dzieci /najmłodsze dwutygodniowe/, porwana w dniu 16 sierpnia 1941 r.². Ani zamożni, ani wojskowi, ani urzędnicy czy "kułacy". Zainscenizowano poprzez przekupionego młodego chłopaka coś w rodzaju podziemnej organizacji, aresztowano najstarszego syna, a potem całą rodzinę. Najzwyczajszą prowokacją. Wajek zmarł w Kazachstanie z wyliczenia, aresztowany wcześniej Heniek nigdy już nie ujrzał wolności. Były tylko wieści, że został również wywieziony do rosyjskich kazamat. Także młodsza od niego siostra nie wytrzymała katerzniczych warunków i zmarła w głuchych kazachstańskich stepach. Reszta rodziny wróciła, długo nie mogąc dojść do psychicznej równowagi po okropnych przeżyciach. Trudno więc było dziwić się nam, Wołyńskom, że nie mogliśmy uwierzyć choćby w cień szczerości, gdy padały słowa podniosłe i wiele obiecujące.

Większa jeszcze konsternacja zapanowała wśród nas, gdy rozeszła się wieść o wybuchu w stolicy powstania. Chciało się tam być jak najszybciej, ale bardziej doświadczeni wstrzymywali nasze zapędy, słusznie twierdząc, że w takiej sytuacji Sowietci jeszcze bardziej będą pilnowali dostępu do Warszawy. Przyszłość pokazała, że mieli rację. Nie mogąc się więc zdecydować na radykalny krok szlifowaliśmy lubelskie bruki, zataczając coraz to większe kręgi po wszelkich zakątkach miasta.

Któregoś popołudnia w pierwszych dniach sierpnia szliśmy z Bazylią bez żadnego określonego celu ulicą Narutowicza, gdy niespodziewanie ujrzelśmy, że wszystkie drzwi do gmachu teatru miejskiego są otwarte, ludzie pojedyn⁴czo i grupkami wchodzi do wnętrza, a spory tłumek stoi na chodniku, jakby uważając, że jeszcze za wcześnie iść na widownię.

- Jakieś zebranie, wiec, czy co? - zainteresował się mój starszy kolega.

- Wejdźmy, popatrzmy, co się tam dzieje? - powiedziałem zaglądając do pierwszych drzwi, przy których nie było widać żadnego kontrolera czy odźwiernego.

W obszernym holu stali także grupkami ludzie w różnym wieku i prowadzili ożywione rozmowy. Nie wyglądali na spędzonych tu członków PPR, co łatwo było rozpoznać z ich wesołych min i spokojnych spojrzeń. Nie śmieliśmy pytać o przyczynę zgromadzenia, a ciekawi byliśmy, co się tu będzie działo? Nie widać było, aby ktoś sprzedawał bilety, nikt nikogo nie zapraszał ani kontrolował wchodzących. Po jakimś czasie zebrani ruszyli tłumnie w kierunku widow-

ni. Hol zaczął pustoszyć.

- Na pewno będzie jakieś przedstawienie - domyślił się Bazyl. Mój towarzysz lubelskich wędrówek był czołowym aktorem w naszym zamyskiem amatorskim teatrze, występował w wielu rozmaitych rolach, dramatycznych i komediowych i wykazywał niezaprzeczalny talent aktorski. Nie dziwnego, że nadzieja obejrzenia sztuki teatralnej na prawdziwej scenie zaczęła wabić go z nieprzepartą siłą. Postanowił wejść na salę za wszelką cenę. Tylko ta właśnie cena stanowiła największą przeszkodę. Bo na nasze robocze bluzy nie zwracaliśmy wcale uwagi.

- A za co kupimy bilety? - zaniepokoiłem się, gdy Bazyl kroczył już w kierunku schodów.

- Najwyżej nas wyproszą, ale choć trochę popatrzymy - uśmiechnął się łobuzersko. - Toż to przecież prawdziwy teatr! Chodźmy!

Widownia była już prawie pełna, a tłum płynął nadal bez przerwy. W rękach nie widać było u nikogo biletów, nikt nie usiłował znaleźć swego miejsca, lecz siadano tam, gdzie było komu wygodniej, gdzie siedzieli znajomi i wzywali przybywających do siebie, lub gdzie można było znaleźć jeszcze wolne krzesło. Znaleźliśmy i my dwa krzesła z brzegu sali i oczekaliśmy z niepokojem dalszego rozwoju wydarzeń.

- Wiess, Bazyl? - odezwałem się do przyjaciela. - Pewnie bilety będą sprzedawać w przerwie chodząc między rzędami, jak u nas.

- Możliwe - zgodził się bez zastrzeżeń.

Jeszcze parę minut i sala wypełniła się po brzegi. Podobnie było w łóżach, na balkonach i galerii. Wszędzie panował półmrok, bo gdzieś z boku świeciła jedna tylko żarówka. Słychać było przyjemny szmer, jaki bywał nieraz w naszej szkole, gdy miało zacząć się przedstawienie. Teraz już wszystko kojarzyło mi się i kojarzy nadal z drogimi Zosmykami.

Uplłynęło parę chwil i odezwał się głośny gong, a po nim kurtyna uniosła się wolno w górę. Scena była prawie pusta, jedynie z kilkoma stylowymi mebelkami i kawałkiem jakiejś ściany, okna, schodków. Wyżej widać było ciemne kotary osłaniające scenę ze wszystkich stron. Widownia umilkła.

Spektakl wciągnął nas już od pierwszych chwil. Nie znałem tej sztuki, byłem jednak urzeczony jej treścią. Raz po raz widzowie wybuchali głośnym śmiechem i takimiż brawami. Bo też toczący się w "pokoju" dialog zasługiwał na to. Perypetie dwóch młodych par oraz starszego stryja i również nie młodej ciotki były przekonujące i jak nam się wydawało - grane znakomicie. Im bardziej rozwijała się akcja

ęja, rosła w nas ciekawość, a wraz z nią niepokój i żal, że jeśli zażądają kupna biletów, będziemy musieli opuścić widownię. Już nawet pomijaliśmy kwestię nieprzyjemnego incydentu. Szczęście ciem nikt z biletami i puszką lub kapeluszem w ręku, jak to bywało u nas, nie pokazał się i szczęśliwie pozostaliśmy do końca spektaklu. Było to pierwsze po wojnie przedstawienie w lubelskim teatrze, a graną sztuką była komedia Al. Fredry "Śluby panięskie" w wykonaniu zespołu Wojska Polskiego.

To pierwsze widowisko, udane bardzo i tak niespodziewane, sprawiło w dużym stopniu, że stałem się później stałym bywalcem lubelskiego teatru, a na niektóre widowiska chodziliśmy z kolegami i po kilka razy. Naturalnie zawsze na galerię, gdyż na lepsze miejsca nie mogliśmy sobie pozwolić. Tylko czasami popełnialiśmy przestępstwo: gdy w pierwszym akcie zauważyliśmy, że na dole jest większa ilość wolnych miejsc, schodziliśmy podczas przerwy na parter i z duszą na ramieniu siadaliśmy blisko sceny, by z większą korzyścią obejrzeć wykonywaną sztukę.

Spektakl "Ślubów panięskich" był jedną z najjaśniejszych chwil w całym lubelskim okresie pierwszych powojennych miesięcy.

Innego rodzaju przeżyciem w tym samym czasie był udział w uroczystościach ku czci pomordowanych w obozie zagłady na Majdanku. Więść o mającym odbyć się ważnym wydarzeniu podała wczesniej prasa, były zdaje się również ogłoszenia i plakaty na terenie miasta. W dniu 6 sierpnia od samego rana ludzie śpieszyli w tamtym kierunku. Poszedłem także, ponieważ Majdanka jeszcze dotąd nie widziałem, a przecież legitymowałem się zaświadczeniem jako więzień tego obozu. Lecz nie tylko to było powodem chęci uczestniczenia w uroczystości. Po prostu ciągnęła mnie tam zła legenda tego okrutnego miejsca, gdzie tyle tysięcy niewinnych ludzi straciło życie i to w przerażających warunkach. Czytałem o Majdanku w podziemnej prasie jeszcze w domu w Zasmykach. Uważałem za swój najzwyczajniejszy obowiązek zobaczenia tego miejsca kaźni i mówienia choćby krótkiej modlitwy na olbrzymim cmentarzysku XX wieku.

Koszmar jaki zobaczyłem, wydał mi się mało prawdopodobny. Straszne cuchnące baraki, wypełnione podartymi siennikami, z których wysypywała się zmięzwiona i na pół zgniła sieczka, porozsuwana także po podłogach i posadzkach, brudne, poszarpane koce, w niektórych barakach wielopiętrowe prycze, obskurne i odrażające, jak wszystko w tym niesamowitym lagrze. Ludzie chodzili w milczeniu i tylko czasem coś sobie szeptem objaśniali i dzielili się wrażeniami.

Jeszcze okropniejszy widok przedstawiały okolice krematorium i same piece. Popiół z ludzkich ciał leżał porozsypywany pod paleniskami, swąd dobywał się z nich odrażający, a dalej, w głębokim rowie i na rozległym wysypisku bielili się niedopalone kości, czaszki ludzkie, zwęglone piszczele. Lęk ogarniał, gdy się obok tego przechodziło. Odnosiłem wrażenie, że wszędzie gdzie stąkam, ziemia musi być przesiąknięta ludzką krwią, a w powietrzu niemal słychać było jęki i krzyki bitych i katowanych. Potem okazało się, że nie tylko mnie prześladowały podobne przeżycia.

Wysoki ołtarz usytuowany na wielkim placu, w miejscu widocznym dobrze ze wszystkich stron, wydawał się tu czymś niezwykłym, niesamowitym. Jego majestat, blask, czystość stały w nieprawdopodobnej sprzeczności z brutalnością otoczenia, ale jednocześnie nasuwał skojarzenia i budził przekonanie o znikomości tych, którzy w swym zaślepieniu mianują się panami świata i ufają swym bombom, samolotom, sile militarnej. Majdanek wskazywał ponad wszelką wątpliwość, jak łatwo rozsypuje się w proch i w pył każda potęga oparta na ludzkiej krzywdzie, na ludzkim cierpieniu. Liche są podstawy państwa i ustroju, jeśli jedynie płacze i skargi płyną po ich drogach.

Dziwiła, zresztą nie tylko mnie, obecność na nabożeństwie całej świty rządowej z Bolesławem Bierutem na czele. Dostojnicy siedzieli w pierwszych rzędach z twarzami jakby zasępionymi, poważnymi i nie miało się pewności, czy pozorują pobożność, skupienie modlitewne, czy może rzeczwiście tli się jeszcze w ich duszach iskra wiary. Przyszłość miała te złudzenia rozwiązać z całą bezwzględnością.

W połowie nabożeństwa nadleciał nad zgromadzony tłum samolot, zrobił kilka okrążeń, obniżył się tuż nad głowy zgromadzonej rzeszy i zrzucił na stos popiołów w pobliżu krematorium ogromny wieńiec. Wierni przyjęli ów gest z głęboką aprobatą, jako wyraz hołdu należnego ofiarom hitlerowskiego bestialstwa i jako memento wszystkim tym, którzy odważą się kiedyś wprowadzać podobny system polityczny i stosować ludobójstwo choćby pod nie wiadomo jakim szyldem. Mieliśmy się wkrótce przekonać, że niewiele nauk wynieśli z uroczystości ci, co siedzieli na eksponowanych miejscach, ponieważ czuli za sobą i swoją ideą potęgę obcych czołgów i samolotów.

Wiele jeszcze razy w późniejszych czasach wspominaliśmy tę niecodzienną majdanekową uroczystość.

MARSZ DO WARSZAWY

1. Od Lublina pod Mińsk Mazowiecki

Decyzja o wyjeździe z Lublina i próbie przedostania się do Warszawy zapadła nieoczekiwanie dla nas samych i dokonała się pośrednio z powodu metod postępowania "wyzwolicieli". Któregoś sierpniowego dnia wracając z przechadzki po mieście dowiedziałem się o "łapanie" w naszym "hotelu". Ostrzegł mnie jeden z kolegów. Oznajmił mi, że przed mniej więcej godziną pod naszą kamienicę podjechały ciężarówki i wygarnęły wszystkich chłopców, którzy się tam znajdowali. Załadowani pod plandeki pojechali w niewiadomym kierunku. Zawróciłem więc, odszukałem Gienka i po krótkiej naradzie postanowiliśmy wyruszyć do Warszawy.

O trwającym w stolicy od kilku już dni powstaniu nie wiadomo było nic konkretnego. Gazety początkowo rozdierały szaty i podkreślały bohaterstwo młodych powstańców, lecz w miarę upływu czasu zmieniały ton na coraz to bardziej obojętny, aby przejść pod koniec miesiąca do ataków na przywódców powstańczego zrywu "za nieuzgodnienie zamiarów z dowódctwem Armii Czerwonej". Czytało się owe komunikaty i komentarze z żalem i oburzeniem, bo czuć w nich było głos absolutnie nie polski - zdecydowanie obcy. Postanowiliśmy więc spróbować dostać się tam i wziąć udział w walce. Przysnąć należy szczerze, że z powstaniem i jego ewentualnym zwycięstwem wiąaliśmy duże nadzieje. Wydawało się, nie tylko nam, że los całego kraju zależy od spodziewanego zwycięstwa.

Był jeszcze jeden moment, który przyspieszył naszą decyzję. Od przyścia do Lublina oglądaliśmy w niektórych miejscach rozplakatowane ogłoszenia o sprawowaniu władzy przez delegata Rządu Rzeczypospolitej Polskiej Władysława Cholewę. W większości ogłoszenia te były pozrywane, ale tu i ówdzie trzymały się jeszcze na słupach i tablicach i budziły cichą nadzieję, że może gdzieś tam w ukryciu toczy się cicha walka między obu rządami: prawowitym i przysłanym z Rosji. Może akurat wygra ten pierwszy. Tymczasem pod koniec pierwszego tygodnia sierpnia dotarła do nas wieść, że konspiracyjne władze polskie, które ujawniły swoją obecność w Lublinie, zostały aresztowane. Wszystko więc przepadło. Nie było już na co liczyć, jedynie na stolicę.

Wszystko zresztą było teraz anormalne. Gazety wypisywały horrendalne bzdury o AK jako współpracownika okupanta, podnosiły do entej potęgi waleczność oraz odnoszone sukcesy AL i GL, których, mówiąc szczerze, nie było dotąd widać, a teraz okazywało się, że myśmy "stali z bronią u nogi", a walki toczyli tylko oni - lewica komunistyczna. Jakaż szkoda, że dziennikarze z "Rzeczypospolitej" czy innych pism nie byli w kwietniu w rejonie Kowla, Lubomla i Włodzimierza i nie widzieli frontowych działań naszej Dywizji! Że nie oglądali tej lawiny ognia, jaka lała się nieprzerwanym strumieniem na nasze oddziały i nie spojrzeli na nasz szpital polowy w lesie ziemlickim, gdzie na wozach, pod gołym niebem, leżało około 300 rannych żołnierzy! a ileż mogił kryły już wtedy owe ziemlickie i mosurskie lasy oraz okoliczne wsie i chutory! Partyzancka dywizja, z niewielką ilością broni maszynowej, z kilkoma lekkimi działami i moździerzami, z kilkoma rusznicami przeciwpancernymi, złożona z samych prawie młodych chłopców, którzy z bronią zetknęli się po raz pierwszy dopiero w szeregach samoobrony, z oficerami w większości wywodzącymi się z rezerwy, nie zawodowymi, a naprzeciw nich czołgi, samochody pancerne, artyleria wszelkiego kalibru, lotnictwo i doborowe formacje niemieckie, bo przeciwnik rzucił przeciwko nam słynne bataliony SS Wiking itp. I trzeba było widzieć ile to razy Niemcy uciekali w popłochu przed naszymi atakami, a pod ogniem celnych rusznic ich czołgi raz po raz zatrzymywały się bezradnie z poszarpanymi gąsiennicami i tylko obsługa "salwowała się ucieczką", jak by powiedział pan Zagłoba. I teraz słuchamy i czytamy bajki o "staniu z bronią u nogi".

Albo ta "nędza klasy robotniczej", ten "wyzysk przez obszarników i kapitalistów", te "krzywdy" doznawane na każdym kroku, ten brak szkół, to "nauczanie burżuazyjne", ten "kler", który tyle złego wyrządził narodowi itd. itd. Co tytuł to większa brednia. A rzecz bardzo zaskakująca - owa bezczelna propaganda, jak się zdołałem przekonać, coraz to znajduje posłuch, Jakby ludzie zapoznawali całkowicie o wczorajszym dniu. Co pewien czas można było usłyszeć rozmowy aprobujące owe bajdy, a mimo że nie były to przypadki liczne, to jednak były. Inaczej niż u nas na Wołyniu, gdzie od najmłodszego do najstarszego nikt od początku w sowiecką propagandę nie wierzył. Ani mówioną, ani pisaną. A w Lublinie pewna część społeczeństwa brała ją za dobrą monetę. Nie wróżyliśmy tym ludziom radosnej, "świetlanej" - jak pisano - przyszłości. A niebawem miało się okazać, że istotnie nic się od 39 roku w ustroju sowieckim nie zmieniło. Ta sa-

ma propaganda i taka sama rzeczywistość.

Ale wracajmy również do rzeczywistości.

Już w pierwszych dniach sierpnia szeregi szarych bluz na lubelskich ulicach przerzedziły się bardzo. Chłopey znikali niepostrzeżenie. Jednych porywały nowe władze, inni sami udawali się w obranym kierunku. Nie wiem jak wyjeżdżali, czym, dokąd? W dzień czy w nocy? Raczej w dzień, bo od początku obowiązywała godzina policyjna. W tej sytuacji 7-go albo 8-ego sierpnia wyruszyliśmy i my. Na zachód!

Po mieście jeździły wtedy wyłącznie samochody sowieckie. Kierowcy nie przestrzegali żadnych przepisów. Jeździli szaleńczo, najczęściej w stanie nietrzeźwym, ale zabierali chętnie przygodnych pasażerów. Za parę złotych, a jeszcze chętniej za butelkę wódki mogli zawieźć każdego pod sam front. Postanowiliśmy z tego skorzystać. Tego jeszcze dnia we dwóch z bratem pożegnaliśmy pozostających w Lublinie najbliższych kolegów, przewiesiłem przez ramię chlebaczek z drobnymi manatkami i udaliśmy się pod restaurację "Europa" obok placu Litewskiego, gdzie kierowcy rosyjscy najczęściej zajeżdżali na posiłek i wódkę. Zwróciliśmy się do pierwszego, który w doskonałym humorze wychodził z lokalu, ale trzymał się jeszcze o własnych siłach. Zdarzało się bowiem często, że "szefiory" zataczali się po całej ulicy i mimo to siadali za kierownicę. Ten szedł jeszcze dość równo. Zgodził się bez targów zabrać nas z sobą. Na pytanie jak daleko jedzie, oświadczył, że pod sam front. Powiedziałem mu wtedy, że tak daleko nie chcemy, wystarczy jeśli zawiezie nas w okolice Puław. Chodziło mi po głowie, że gdzieś tam niedaleko tego miasta mieszkają rodzice jednego z najbliższych moich kolegów z zasmyckiej szkoły, Cześka Rybaka. Nie wiem jak to się stało, że zapamiętałem nazwę miejscowości: Żerdź. Spodziewałem się zastać tam kolegę i zasięgnąć informacji do dalszego poruszania się w przyfrontowym terenie. Puławy - to przecież Wisła i front na linii tej rzeki. Nyle więc na drugą stronę, reszta wydawała nam się bagatelką.

Jazda z ruskim kierowcą była szalona. samochód pędził na pełnym gazie, w dodatku po całej jezdni. Szosa warszawska biegła wtedy na przestrzeni kilkunastu kilometrów dość znacznymi pagórkami, jak po maglownicy, co sprawiało, że przy tej szybkości, jaką rozwijał nasz "bojce", miało się wrażenie lotu małym samolotem wśród szalejącej burzy. Biliśmy w strachu pięściami w kabinę, krzyczeliśmy z całej siły, żeby się zatrzymał, bo chcemy wysiąść, lecz takie nasze zachowanie wprawiało brawurowego i podpiętego kierowcę w jeszcze lepszy nastrój, dodawało pewnie fantazji, usiłował więc popisać się przed

spłoszonymi "Połaczkami" i szalał jeszcze bardziej. Daliśmy wtedy spokój i oddawszy swój los w ręce Opatrzności, czekaliśmy co z naszej jazdy wyniknie. I, dojechaliśmy szczęśliwie. Na wysokości Żyrzyna zapukałem lekko w kabinę i samochód stanął. Szofer był bardzo zadowolony z siebie, widząc nasze niepeune miny. Pożegnaliśmy go uprzejmie, życzyli szczęśliwego powrotu do domu "na rodzinu" i skierowaliśmy się w stronę Żerdzi. Droga była niedaleka. Ludzie pokazali nam przejście na skróty, ale już w pierwszej chałupie dowiedzieliśmy się, że nikt we wsi o podanym przeze mnie nazwisku nie mieszka. Podeszliśmy bliżej środka miejscowości. To samo. Owszem, słyszeli o tym, że byli w okolicy tacy, co to na ileś tam lat przed wojną wyjeżdżali na Wołyń, ktoś nawet pamiętał nazwę "Piórkowicze", bo miał tam swego znajomego czy kuzyna, ale o Rybakach nie słyszano. Okazało się potem, że pomyliłem nazwę miejscowości rodzinnej przyjaciela z adresem kogoś innego i w ten sposób niepotrzebnie znaleźliśmy się w nieznannej miejscowości, wśród obcych ludzi, nie wiedząc co dalej robić ze sobą, zwłaszcza że zbliżał się wieczór. Na wszelki wypadek poprosiliśmy naszego rozmówcę o udzielenie nam miejsca w stodole na nocleg. Gospodarz wypytał ze szczegółami cośmy za jedni, wydawał się trochę podejrzliwy, ale usłyszawszy, że wracamy z Majdanka do pozostawionej pod Warszawą rodziny, zgodził się bez dalszych targów przyjąć nas pod swój dach. Poczęstował nawet skromną kolacją. Na temat możliwości przedostania się w okolice Warszawy nasz gościnnie gospodarz niewiele umiał powiedzieć. Uważał jednak próbę takiego przedsięwzięcia za mało prawdopodobną, ponieważ wszędzie wzdłuż Wisły jest pełno wojska i legitymują bardzo szczegółowo każdego, kto tamtędy przechodzi lub przejeżdża. Uznaliśmy więc, że musimy zmienić kierunek: nie pójdziemy drogą najprostszą, lecz na wszelki wypadek skierujemy się bardziej ku północy, gdyż nasze zaświadczenia mówiły, że rodzina nasza mogła znajdować się też w Broku - małym miasteczku nad dolnym Bugiem. Nie było to dalekie od prawdy. Stamtąd wywodzili się nasi przodkowie, pradziadkowie z linii ojca. Mieliśmy nadzieję, że jeżeli nie uda nam się dotrzeć do Warszawy, to spróbujemy odszukać kogoś z krewniaków w tej właśnie miejscowości. Nie znaleźliśmy tam nikogo poza jednym wujkiem, który we wrześniu 1939 roku przyjechał do naszego domu w Zasmykach jako uciekinier. Wiedział jak nazywa się zabużańska wieś, do której wyjechała niegdyś część rodziny i okazało się, że trafił dobrze. Może więc trafimy i my. Może i ów wujek żyje i uda się nam go odszukać? Byłoby to najszcześniejsze rozwiązanie naszej trudnej sytuacji, ponieważ zapamiętałem go jako

bardzo energicznego i mądrego człowieka, pomógłby nam na pewno. Byłem przekonany, że jeśli wrócił szczęśliwie do domu, musiał pracować w szeregach Polski podziemnej i jest zorientowany w sytuacji ogólnej. Spróbujemy udać się właśnie tam.

Rano wyszliśmy na szosę prowadzącą w kierunku Kocka i Łukowa i posuwając się powoli do przodu usiłowaliśmy zatrzymać przejeżdżające wojskowe samochody. Długo machaliśmy rękami bez żadnego skutku. W końcu jakiś uczynny szofer zatrzymał się. Wziął nas do skrzyni nie żądając nawet zapłaty. Dojechaliśmy z nim aż w pobliże Siedlec. Czuliśmy, że szczęście zaczyna nam sprzyjać i może tak będzie już do końca.

Bez żadnych przygód dobrnęliśmy do miasta. Pomyślałem sobie wtedy, że najlepiej będzie skierować się w stronę Węgroma. Po pierwsze - wydawało mi się, że tamteży prowadzi najkrótsza droga do Broku, a po drugie - przypomniało mi się, że gdzieś tam mieszka rodzina mojego kierownika szkoły z Janówki, pana Nowickiego. Opowiadał nam kiedyś o tamtych stronach. Zachęcał, byśmy, gdy dorośniemy, spróbowali je poznać, bo są bardzo piękne, malownicze. A nuż uda się spotkać mojego kierownika, dla którego żywiłem wiele szacunku jako dla ^{wspaniałego} nauczyciela, wychowawcy i człowieka. Zresztą pan Nowicki też był żołnierzem naszej Dywizji i mogłem domyślać się, że po rozbrojeniu wrócił do swej rodziny.

Po całodziennym jednak marszu zmieściliśmy zdanie. Droga była zła, ludzi mało, a głównie-uświadomiłem sobie, że przecież nie znam nazwy wai, gdzie więc będę szukał swego dawnego wychowawcę? Odnieśliśmy też wrażenie, że chyba oddaliśmy się od celu naszej podróży - i Warszawy, i Broku. Po krótkim namyśle pierwszą drogą skręcającą w lewo poszliśmy na południowy zachód. Postanowiliśmy wyjść na szosę z Siedlec do Warszawy przez Mińsk Mazowiecki. Gdyby nie udało się dostać do stolicy, stamtąd postanowiliśmy skierować się na Brok.

Większą część drogi przeszliśmy pieszo, kawałek podjechaliśmy i znaleźliśmy się na głównej drodze do Mińska. Ruch tu był ogromny. Bez przerwy jechały wozy ciężarowe ze sprzętem albo żołnierzami, ciągnęły działa, taczanki, szło wojsko w szyku zwartym, a częściej luźnymi rzędami po obu stronach drogi. Żołnierze byli zmęczeni, spoceni, poczerniali od kurzu i pyłu wzniesanego przez pędzące pojazdy. Na samochodach, czołgach i działach artyleryjskich widniały napisy porobione kredą lub białą farbą: "Hitler kaput", "Dobit zwiera w jego sobstwiennom barlogie", "Na Bierliu", "Za rodzinu, za Stalina" itp. Wmieszani w ów tłum wojska i gromadki cywilów nie zwracaliśmy na siebie niczyjej absolutnie uwagi. Można było iść tak

pewnie aż pod samą linię frontu. Szliśmy więc cierpliwie mimo upału i zmęczenia, patrząc nieustannie na tę rzekę stali i żelaza, na nie kończące się szeregi wojska, które chwilami robiło wrażenie śmiertelnie zmęczonego, jakby oklapniętego, idącego z musu i ostatnim wysiłkiem, ale niektórzy zachowywali się buńczucznie, pokrzykiwali do cywilów, grali na "harmoszkach" lub nucili wojskowe piosenki. Parę razy udało nam się podjechać wojskowym samochodem po kilka lub kilkanaście kilometrów, lecz większą część drogi odbyliśmy pieszo. Nazajutrz po noclegu w jakiejś przydrożnej stodółce ruszyliśmy w dalszą drogę. Dzień ten w niczym nie różnił się od poprzedniego. Przed wieczorem znaleźliśmy się kilkanaście kilometrów od Mińska. Należało znowu poszukać noclegu. W odległości kilkuset metrów od szosy w kierunku południowym widać było rozrzuconą nieregularnie wieś. Udaaliśmy się tam i wstąpili do pierwszej lepszej chaty.

- A skąd to i dokąd panowie idziecie? - spytała ciekawie gospodyni. - Teraz czasy niespokojne, blisko front, trzeba wiedzieć, kogo się pod dach przyjmuje.

Wyjaśniliśmy cel swej podróży: rozstanie z rodziną, Majdanek, poszukiwanie swoich w Warszawie a może w Broku nad Bugiem. Pokazaliśmy zaświadczenia. Kobieta obejrzała je uważnie. Druk maszynowy, podpisy i pieczęcie przekonały ostrożną niewiastę.

Lokum do spania wskazała nam na brogu, stojącym nieopodal zagrody. Miejsce było doskonałe, luźne, dużo świeżego powietrza, a że noc po upalnym dniu również była ciepła, cienki koc dany nam przez gospodynię w zupełności wystarczył. Całodzienna męcząca podróż w skwarze dnia sprawiła, że spaliśmy jak zabici.

Rano gospodyni zaprosiła nas na śniadanie, w czasie którego dowiedzieliśmy się, że przedostanie się w obecnej sytuacji do Warszawy jest absolutnie niemożliwe. Sowieci najdokładniej sprawdzają każdego, kto się znajdzie w strefie przyfrontowej i badają skąd pochodzi, jakimi legitymuje się dokumentami, po co idzie i zawracają, choćby ktoś był stałym mieszkańcem Warszawy i wyszedł stamtąd przed paru tygodniami. Również na północ w kierunku Bugu i Narwi nie ma w tej chwili przejścia. Wszystkie drogi obstawione wojskiem. Musimy wracać, albo poczekać tu na ewentualną dalszą ofensywę, o której do niedawna mówiło się bardzo głośno. Gdy front ruszy, można będzie pójść także i odszukać swoich.

- Ale co będziemy robili do czasu spodziewanej ofensywy? gdzie zamieszkamy? Z czego będziemy żyli? - niepokoiliśmy się.

Gospodyni uspokoiła nas natychmiast:

- Możecie panowie zatrzymać się u mnie. - Mówiła swobodnie, z uśmiechem, jak by chodziło o rzecz najnormalniejszą w świecie i jakbyśmy znali się od lat. - Są teraz żniwa, roboty w polu i w zagrodzie ca niemiara. Jestem sama. Mąż w niewoli. Pomożecie w pracy ile będziecie mogli i chcieli, dostaniecie za to mieszkanie i z głodu nie zginiecie, zapłacę nawet jak należy.

Chętnie przystaliśmy na propozycję. Było to nam bardzo na rękę. Poznamy dobrze okolice, zorientujemy się w sytuacji, znajdziemy może jakichś przewodników i przy najbliższej okazji udamy się do Warszawy. Niestety, nie dane nam było zrealizować swych planów.

Po spożyciu posiłku miła gospodyni zaproponowała nam na początek pójście za nią do pracy przy budowie lotniska wojskowego w pobliżu za wsią, na rozległych, równych polach w kierunku Mińska. Każdy mieszkaniec wsi miał wyznaczoną ilość dniówek do przepracowania i musiał odtobić je sam lub wynajmując kogoś za siebie. Władza istniała dopiero ~~ca~~ niewiele więcej ponad dwa tygodnie, a już potrafiła mocno chwycić w garść społeczeństwo i zmusić je do wykonywania swych poleceń.

- Sama nie mogę pójść - mówiła samotna kobieta - bo dom, dzieci, gospodarstwo, nie mogę tego wszystkiego zostawić nawet na godzinę. Tłumaczenia nie ma. Musiałabym szukać kogoś na swoje miejsce, co także wcale nie jest łatwe w okresie żniw, bo wszystkich pędzą na ten ich "aerodrom". Jeśli będziecie panowie zechcieli pójść i przepracować chociaż do południa, wyświadczylibyście mi w ten sposób wielką przysługę. Na obiad przyjdźcie około pierwszej, będę czekała. - Uśmiechnęła się zadowolona, widząc, że jesteśmy już prawie gotowi do roboty.

Po kilkunastu minutach z łopatami w ręku stanęliśmy przed kierownikiem budowy. Otrzymaliśmy polecenie wyrównywania piasku, przywożonego tu furmankami przez gospodarzy i zrzucanego na kupy. Zabraliśmy się żywo do pracy. Ludzi tu było mnóstwo, co najmniej kilkaset. Wszyscy ruszali się dziarsko, nikt się nie ociągał, mimo że była to praca przymusowa. Nie widać było, by ktoś wyglądał przerwy obiadowej lub wypatrywał dozorców, a nie widząc ich w pobliżu odkładał łopatę. Były to czasy, gdy pojęcie "humelanetwa" nie było jeszcze znane i każdy uważał, że skoro przyszedł do roboty, to nie po to, by tylko zaliczyć dniówkę. Taką postawę klasy robotniczej miał dopiero przynieść "najszcześliwszy z ustrojów - socjalizm". Wtedy, w sierpniu 1944 roku żyliśmy jeszcze nawykami sprzed wojny, z czasów "kapitalistycznych", które zaczynało dopie-

ro obrzydzać i ukazywać w karykaturalnej postaci. Zналиśmy dobrze te piosenki i wszelkie inne wywody nowych ideologów. Bardzo dosadnie ale chyba bez pudła kwitował wszelkie takie wywody nasz tata: "breszą jak sobaki", mawiał po powrocie z zebrania, wiecu czy innego mitingu, na które wypędzano zwykle całą wieś. W chwilach większego napięcia emocjonalnego, gniewu, zdenerwowania lubił posługiwać się słowami i zwrotami pół polskimi, pół rosyjskimi, przyswojonymi sobie jeszcze w latach caratu, gdy służył w ruskim wojsku. Myśmy także wiedzieli, że "breszą". Ale ludność centralnej Polski nie znała jeszcze dobrze naszych "wyzwolicielei". I teraz równając ziemię na lotnisku słyszeliśmy rozmowy, z których wynikało, iż obietnice głębokich reform społecznych, równości, sprawiedliwości itd. na wielu robią dobre wrażenie i znajdują aprobatę. Większość była odmiennego zdania i ci próbowali tłumaczyć łatwowiernym ich błędne rozumowanie. Uśmiechaliśmy się do siebie słysząc owe rozmowy. Nie zabieraliśmy głosu. Byliśmy jeszcze zbyt młodzi, a poza tym obcy w tantejszym środowisku i nie chcieliśmy zwracać na siebie uwagi, bo mogłoby to źle się dla nas skończyć. Wierzyliśmy zresztą, że prędzej czy później ockną się wszyscy, bo prawda i tak na wierzch wypłynie.

Zbliżało się już południe, gdy wtem zobaczyliśmy idącego na przelaj przez budujący się "aerodrom" rosyjskiego żołnierza. Zatrzymywał się przed grupkami pracujących ludzi, o coś lub o kogoś pytał, robotnicy coś mu pokazywali i tak powoli posuwał się coraz bliżej w naszym kierunku. Tknięty jakimś złym przeczuciem pomyślałem nagle, że pewnie idzie po nas. Tylko dlaczego? Z jakiego powodu?

Nie pomyliłem się. Żołnierz podszedł do grupy, w której pracowaliśmy i spytał, którzy to są nietutejsi i nocowali dziś "u grazdanki" na sianie?

- My, ja i mój brat - wskazałem na Gienka.

- Ruki w wierzch! - zakomenderował nagle sowiet i wyciągnął nie rewolwer, lecz szablę z pochwy. - Ruki w wierzch i w pierod! - krzyknął głośniejsz z groźną miną. - Szach w lewo, szach w prawo i pula w łob! - klepnął się po zwisającej u pasa kaburze.

Jeszcze nie zdążyłem podnieść rąk, jeszcze usiłowałem pytać o co chodzi, dlaczego chce nas aresztować, kiedy poczułem na kręgosłupie między łopatkami ostrze stali. Żołnierz w błyskawicznym ruchu znalazł się za mną.

- A nu, w pierod! - wrzasnął już ze złością bojec.

Ruszyliśmy posłusznie w kierunku wsi.

Ręce trzymaliśmy nad głową, a niespokojnym wzrokiem biegaliśmy po twarzach patrzących na nas podejrzliwie i ze zdziwieniem tutejszych mieszkańców. Ci przerwali pracę i przyglądali się niezwykle widowisku. Niektórzy szeptali coś sobie z cicha, na pewno na nasz temat. Raz dobiegło mnie ciche: "Szpiegów pewnie szkapali". Wiadomo, front był tuż, tuż, nit nas nie znał, nie wiadano, skąd się tu wzięliśmy, bo nikomu się nie przedstawialiśmy, mogli więc ludzie myśleć Bóg wie co? Czekałem tylko, że muszę być cały pasowy ze wstydu, bo nie należało do przyjemności być obiektem takiego zainteresowania i podejrzeń o to, co jest absolutnym absurdem, a nie móc tego ludziom wytłumaczyć. Wzdłuż całej drogi przemarszu budziliśmy sensację wśród budowniczych lotniska i tylko czekaliśmy, czy ktoś nie rzuci w któregoś z nas kamieniem, co mogło się przecież łatwo przydarzyć. Nienawiść do Niemców i tych, którzy im służyli była w narodzie polskim żywa i bardzo silna.

Odprowadzani ironicznym wzrokiem zebranego tłamu znaleźliśmy się wreszcie na podwórzu naszej gościnniej gospodyni. Zauważyliśmy, że ona patrzy na nas inaczej, z niepokojem, jakby przepaszając za to, co się stało. Ale nie odezwała się ani słowem.

Jakiś starszyna spytał nas, gdzie spaliśmy. Odpowiedziałem, że na brogu i wskazałem głową miejsce.

- Czego wy tam mieli? Kakijs oruzio? - pytał dalej Rosjanin.

- Nic nie mieliśmy. Gospodyni widziała, że przyszliśmy bez niczego. - odpowiedziałem zdziwiony dziwnym pytaniem.

- Nu, pasmotrim - mruknął groźnie i kazał nas zamknąć do piwnicy znajdującej się na podwórzu.

Weszliśmy do ciemnego i chłodnego wnętrza, nieco poniżej poziomu podwórka. W górze przez małeńki otwór w drzwiach wstępowało się nieco światła. Piwnica była duża, całkiem pusta i wyglądała ponuro. Nie mieliśmy pojęcia, czego od nas chcą, o co nas oskarżają? O jakie "oruzio" pytał Rosjanin? Ktoś rzucił na nas jakieś bezpodstawne podejrzenie? Prowokacja? Czy może po prostu widząc obcych młodych ludzi sami sąsiedzi chcieli się nas pozbyć? Może przez jakąś złość na naszą gospodynię? Żadna sensowna odpowiedź na dręczące pytania nie przychodziła nam do głowy.

Przesiedzieliśmy tak kilka godzin. Przed zachodem słońca drzwi otworzyły się i ten sam żołnierz, który nas arosztował, kazał nam wyjść na zewnątrz. Przed domem na ławce siedział sowiecki oficer. Patrzył na nas uważnie, ale bez specjalnej podejrzliwości. W sercach błysnęła iskra nadziei na pomyślnie zakończenie złej

przygody. Gdy podeszliśmy bliżej, oficer spytał, cośmy za jedni, co tam robimy, dokąd idziemy, sprawdził zaświadczenia z RGO o poszukiwaniu rodziny, oddał je nam bez słowa i kazał iść na dalsze poszukiwanie. Byliśmy wolni.

Podeszliśmy do gospodyni przyglądającej się z progu naszej rozmowie.

- Co to wszystko oznacza? Dlaczego nas zamknęli? O co chodzi?

Okazało się, że bróg był przyczyną wszystkiego złego. Po naszym pójściu na budujące się lotnisko wszedł tam rosyjski żołnierz i postanowił się przespać. Był trochę podchmielony. Ledwie jednak ułożył się na posłaniu, zobaczył za krowią wciśnięty tam granat - zaczepny "tłuczek". Natychmiast chwycił go do ręki i popędził do swego kamandira. Ten wszczął alarm. Przybiegło ich kilku do domu gospodyni, zaczęli wypytywać kto tu zatrzymywał się, kto ostatnio spał na brogu. Wystraszona gospodyni powiedziała, że my. Dopiero dowiedziawszy się o przyczynie całego szumu, przypomniała sobie, że przed nami spał tam jej kuzyn, dowódca partyzanckiej grupy z kilkoma swoimi chłopcami. Widziała u nich takie właśnie granaty. Podała adres kuzyna. Sowieci bezzwłocznie sprawdzili. Kuzyn przyznał bez wahania, że istotnie spał tam i przez nieuwagę zapomnieli zabrać zza strzechy pozostawionego granatu. Opisał jego wygląd. Wszystko się zgadzało. W ten sposób zostaliśmy uratowani.

Przenocowawszy jeszcze jedną noc w tym samym miejscu, rano ruszyliśmy w dalszą drogę. Nie chcieliśmy przebywać dłużej w miejscowości, gdzie wszyscy widzieli nas prowadzonych przez rosyjskiego żołdaka i brali nas za szpiegów. Wytłumaczyliśmy to gospodyni. Próbowano nas zatrzymać, twierdząc, że skoro wszystko się wyjaśniło, nikt nie będzie nas już o nic podejrzewał, ale jednocześnie rozumiała także nasze położenie, dała więc spokój dalszym przekonywaniom.

Mniej pewni niż poprzednio poszliśmy dalej na zachód, nie bardzo już wierząc, że uda się nam przedostać przez linię frontu. Warszawa, o której walkach dochodziły coraz to smutniejsze wiadomości, jakby oddalała się od nas. Próbowano jednak należało.

Wszystkie drogi i dróżki, jak nas informowano wcześniej, pełne były wojska, sprzętu, nawet wojskowych koni. Wszędzie panowało podniecenie i jakieś gorączkowe oczekiwanie. Sądziliśmy, że to może oznaczać tylko zbliżającą się ofensywę. Jednocześnie wydawać się mogło, że w miejscach stacjonowania większych jednostek wojskowych, w jakimś nieopisanym tłoku, każdy porusza się według własnego widzi-

misie, że panuje tam kompletny chaos, rozgardiasz, wzajemne "ruganie" się. Gdy jednak zdarzyło się cośkolwiek nie po myśli wszechwładnego wojska, pojawił się jakiś drobny nawet podejrzanym ruch, natychmiast znajdowali się odpowiedni strażnicy porządku i bezpieczeństwa i sprawa nabierała określonego wojennymi przepisami biegu. Przekonaliśmy się o tym już w dzień później. Zdarzenie to położyło kres naszym dalszym próbom przedostania się do stolicy.

Było to gdzieś w okolicy miasteczka Mrozy. Zboczyliśmy nieco z głównej drogi, ponieważ ujrzelśmy nieopodal piękny park z okazałym pałacem po środku. Wyglądał o wiele dostojniej niż wszystkie dwory ziemia^Mskie, znane nam dotychczas z Wołynia. Owiładnęła nami nieprzoparta chęć obejrzenia dokładnie tego interesującego obiektu, a poza tym chcieliśmy odpocząć spokojnie w cieniu parkowych drzew. Posiedzieliśmy około pół godziny, a potem postanowiliśmy obejrzeć pałac ze wszystkich stron. Ruszyliśmy więc cionistymi alejkami, okalającymi gazony i kwietniki i patrzyliśmy z zachwytem na wspaniałe mury, duże, piękne okna z misternymi obramowaniami i wszystkie inne ciekawostki oglądane po raz pierwszy w życiu. Wprawdzie miałem okazję widzieć w lipcu, jeszcze przed rozbrojeniem piękny zabytkowy pałac Zamojskich w Kozłowie koło Lubartowa, lecz ten tu, w okolicach Mrozów, był zupełnie inny i wydał się nam ciekawszy od kozłowieckiego. Nie mogliśmy przypuszczać, że w pałacu umieściło się wyższe dowództwo sowieckie i że od początku jesteśmy pilnie obserwowani przez strażników. Widzieliśmy z daleka na ganku żołnierza z karabinem, ale stali oni wszędzie wzdłuż trasy naszego marszu, nie przyszło więc nam na myśl, że ten pilnuje sztabu wyższych oficerów. Kiedy więc znaleźliśmy się w alejce od tyłu pałacu, wyrósł nagle przed nami uzbrojony żołnierz i bez pytania o cokolwiek kazał nam iść przed sobą, naturalnie z "rukami w wierzch". Zatrzymał nas przed głównym wejściem, a po chwili podeszło ku nam jeszcze paru podobnie uzbrojonych "bojcow", z których oczu nic dobrego nie można było wyczytać. Któryś z nich rzucił tylko jakieś szpetne przekleństwo, przeplecione z wyrazem "szpiony", a potem kazali nam siadać na ziemi i nie odzywać się do siebie.

Było już blisko zachodu słońca. Gdy zapadł mrok, podjechał do nas jakiś chyba podoficer na koniu i polecił naszerować w kierunku niewielkiej kępy drzew, gdzie oczekiwała większa grupa wojskowych, robiąca wrażenie nie liniowych żołnierzy, lecz jakiegoś oddziału do "specjalnych poruczeń". Niektórzy byli na koniach, inni piesi. Po krótkiej przytłumionej rozmowie wzięto nas do środka i cały konwój ruszył pełną drogą w kierunku północno-wschodnim. Co chwila przyna-

glano nas do pospiechu w sposób daleki od grzecznego. Przez cały czas o nic nie pytano, nie żądano żadnych dokumentów ani wyjaśnień. Wszystko to nie robiło najlepszego wrażenia.

Po mniej więcej godzinie marszu w zupełnej już ciemności oddziałek zatrzymał się w niewielkim przydrożnym lasku na postój. Żołnierze rozłożyli się pod drzewami dla wypoczynku, niektórzy zaczęli coś tam jeść, nam zaś polecono położyć się w środku między nimi na ziemi twarzą na dół i nie ruszać się z miejsca. Z rozmów prowadzonych półgłosem przez naszych opiekunów wynioskowałem, że zanoszą się na coś bardzo niedobrego. Jeżeli nie zaraz to w najbliższym czasie rozprawią się z nami jak z każdym "wrogiem sowieckiego naroda", a takie oświadczenie nie wymagało żadnych komentarzy, zwłaszcza w warunkach wojny i na najbliższym zapleczu frontu. Zaczęłam w myśli robić sobie wyrzuty z powodu lekkomyślności zachcianki zwiedzania przypadkowo spotkanego pałacu. "Po kiego licha szliśmy tam, myślałam, na drodze nikt by nas nie zaczepił, a teraz za takie głupstwo można oddać głowę jak nie! Do za brak rozsądku, ostrożności!" Całe tylko szczęście, że w tamtych czasach nawet podobne rozważania nie przyprawiły o trwogę, paniczny lęk, bo do igrania ze śmiercią było się aż nadto przyzwyczajonym. Dziś zachowywałbym się na pewno inaczej.

Odpooczynek nie trwał długo. Komandir zarządził przygotowanie do odmarśtu i cała grupa w szyku jak poprzednio ruszyła naprzód z nami po środku. Przed północą doszliśmy do jakiejś wioski. Konwojenci kazali nam wejść do na pół rozwalonej szopy czy stodoły, zamknęli drzwi na kłódkę, postawili strażnika i kazali czekać ostatecznego rozstrzygnięcia. Ta zwłoka z rozprawieniem się z nami dodała nieco nadziei, trochę nas uspokoiła. Nie spaliśmy jednak. Nie było na czym, a i senność jakoś się nas nie miała. Przesiedzieliśmy noc na jakichś drewnianych pniakach, rozrzuconych po całym pomieszczeniu.

Rano, już po wschodzie słońca, przyniesiono nam kawałek suchego chleba i miskę czegoś, co miało być - nie wiem - zupą czy kawą i kazano czekać na przyjazd "aficera NKWD". Na dźwięk tych słów znowu poczuliśmy się bardzo nieswojo. Wiedzieliśmy dobrze, co takowe oznaczają. Nie tknęliśmy podanego jedła. Chleb oddaliśmy psu, którego buda była tuż przy drzwiach, a przez szeroką szparę między deskami szopy można było bez wysiłku precyzyjnie suchą kromkę. Pies wyglądał na zabiedzonego i natychmiast zabrał się do chrupania twardego pieczywa.

W miarę upływu czasu zaczął wracać poprzedni niepokój. Czeka-

liśmy finału sprawy bez złudzeń, znając rzeczywisty stosunek wschodnich sąsiadów na naszego narodu.

Około godziny ósmej przyjechał oczekiwany oficer. Wyprowadzono nas z szopy.

- Katoryj choczet pierwyj atwieczat? - spytał NKWD-zista.

Zgłosiłem się jako starszy. Brat został na podwórzu pod opieką wartownika, mnie zaś oficer odprowadził na pole ziemniaczane, usiadł na grządce, mnie polecił siąść naprzeciwko siebie i zaczęła się rozmowa. Muszę przyznać, że mój "rozmówca" zachowywał się wyjątkowo kulturalnie. Nie unosił się, nie groził, przypominał tylko, że mam mówić wyłącznie prawdę, bo i tak nie zdołam niczego ukryć ani "omanić" ruskawo oficera, ponieważ oni potrafią natychmiast każdego kłamcę rozszyfrować. Przytakiwał głową, lecz wiedziałem, że nic innego prócz wyuczonej historyjki mówić nie mogę. Zaczęłem więc opowieść o Majdanku, wymyśliłem jakąś informację o wcześniejszym pobycie na przymusowych robotach w Niemczech, za co dostałem się do obozu, wreszcie o wyzwoleniu i poszukiwaniu rodziny.

Oficera zainteresowała kwestia przymusowych robót. Kazał sobie opowiedzieć więcej szczegółów o tym. Złakłem się, ale w miarę spokojnie zacząłem kompenować relację. Słyszano się wiele o przeżyciach wywożonych na roboty. Wymyśliłem jakąś niemiecką nazwę miejscowości "kilkadziesiąt kilometrów przed Berlinem". Patrzył na mnie podejrzliwie i słuchał z uwagą. Czekałem tylko, kiedy zaskoczy mnie jakimś podchwytliwym pytaniem. Bałem się tego, bo przecież o codziennym życiu w Niemczech wiedziałem nie więcej niż o życiu na księżycu. Łada pytanie mogło mnie zdemaskować i wykryć całą improwizację.

- Kakije nacyjki rabotali w Germanii? - zapytał nagle śledezy.

- Przede wszystkim Polacy, ale i inni też.

- A ruskije byli? A?

- Naturalnie, byli, mniej niż Polaków, ale byli.

- A kak obraszczalio Germanij k'ruskim? Tak kak i k'Polakam?

- Nie - powiedziałem bez chwili wahania. - Ruskich Niemcy traktowali znacznie gorzej. Wyznaczali im najgorszą pracę i najwięcej na nich krzyczeli, czasem nawet bili.

Wyrecytowałem te słowa jednym tchem i dopiero po zakończeniu wypowiedzi zaniepokoiłem się, czy przypadkiem nie naraziłem się oficerowi. Taka relacja może go zdenerwować, wprowadzić we wściekłość i zechce ukarać nas za swych rodaków. Lecz stało się zupełnie odwrotnie. Rosjanin zamyślił się przez chwilę, popatrzył gdzieś w dal, a potem powiedział do mnie o wiele łagodniejszym głosem:

- Nu, ty pravdu skazał. Ruskim wszędzie było najgorzej. Ale my

odpłacimy za to Germanom, ukarzymy ich, jak na to zasłużyli i to już niedługo. A czto ty chcesz ciepier dzieła? - Odezwał się całym innym tonem. - W armiju chceszz postąpić?

- Jeżeli nie znajdę rodziny, to chciałbym, ale nie wiem, jak to zrobić, jak załatwić? Bo chciałibyśmy wstąpić do polskiego wojska, a nie orientujemy się gdzie ono jest, jak do niego trafić?

- Ja wam skazę: - oficer stał się niezwykle łagodny, miły. - Stupajcie w Siedlec! Tam stojitsja polskaja armija. Skażytie, czto ruskij oficer iz fronta, od Mińska Mazowieckawo was tam naprawił. Prijmūt was w mieste i pajdiom bić wraga do samawo Bierlina! - W ostatnich słowach brzmiała wyraźna pogróżka.

- To możemy iść już zaraz do Siedlec? - spytałem.

- Da, możotie siejezas tam napravitsja. Wy uże swobodnyje. Wstał, a za nim podniosłem się i ja. Wszliśmy na podwórko.

- Idziemy do Siedlec, do polskiego wojska - zawołałem do Gienka, który niecierpliwie czekał końca rozmowy i swojej kolejki na danię.

- To bardzo dobrze, będziemy razem wojować - odpowiedział chyba ze szczerą radością, mój brat.

- Nu, szczęśliwego! - pożegnał nas oficer i podał każdemu rękę. Na taką uprzejmość nie byliśmy przygotowani.

2. Wracamy do Lublina

Po raz drugi w dwudniowych odstępach udało nam się. Byliśmy znów wolni. Az trudno było uwierzyć, że wszystko skończyło się tak pomyślnie. Po kilku minutach, choć głodni i nie wyspani, kroczyliśmy tą samą drogą, którą przyszliśmy tu dzisiejszej nocy. Postanowiliśmy w ogóle wracać tą samą trasą i przy okazji wstąpić do naszej niedawnej gospodyni, u której spotkała nas pamiętna niefortanna przygoda. Wyprawa do Warszawy skończyła się całkowitym niepowodzeniem. Dobrze przynajmniej, że wynieśliśmy całe głowy.

Szliśmy w kierunku Siedlec, ani myśląc zgłaszać się ochotniczo do wojska. Decyzja była krótka: wracamy do Lublina i albo zabieramy się do pracy, albo będziemy próbowali przedostać się za Bug do rodziny, już tej prawdziwej. Wszystko bowiem wskazywało na to, że wojna jeszcze potrwa, a rządy Rosji za pośrednictwem PKWN-u mogą również trwać nie wiadomo jak długo. Przypomniało nam się powtarzane często zdanie ruskich agitatorów, wygłaszane nawet w prywatnych

rozmowach, że "gdzie Sowietki Sojuz raz postawi swoją stopę, stamtąd już żadna siła go nie ruszy". Wyglądało na to, że tak będzie i z naszym krajem. Wprawdzie w 1939 roku i dwu późniejszych ^{Rosjanie} usiłowali wtłoczyć nam do głowy, że Polska przepadła raz na zawsze, że nigdy już nie powstanie, bo sojusz i braterstwo między Związkiem Radzieckim a III Rzeszą Niemiecką są nierozdzielne i wieczne /"Polskę możecie zapić zimną wodą"/, tymczasem ów nierozdzielny sojusz nie tylko pękł, lecz zamienił się w krwawą i okrutną wojnę, w nieludzkie traktowanie jeńców niedawnego sojusznika, może więc i z innymi pennikami będzie podobnie. Lecz w tej chwili mogliśmy jedynie rozmyślać na te tematy, bo głośno nawet mówienie było niebezpieczne.

W Siedlecach natknęliśmy się znów na naszych rodaków z Zasznyk, tych samych nierozłącznych przyjaciół, których spotkaliśmy w lipcu przed Lublinem: Bazylego, Zygmunta i Michała. Wracali skądś spod Sokołowa czy Węgrowsa i też szukali pana Nowickiego, z którym żyli w bliskiej przyjaźni. Nie pamiętam już, czy go odszukali, dość że wracali również do Lublina. Wcześniej zorientowali się, że dostanie się do Warszawy po wybuchu tam powstania było absolutnie niemożliwe, ponieważ nasi sojusznicy dokładnie obstawili wszelkie przejścia, a i Wisła stanowiła przeszkodę nie do pokonania. Bo na Pradze panowali Rosjanie. Teraz więc postanowiliśmy iść razem, przynajmniej jakiś czas, żeby trochę odpocząć psychicznie wśród swoich.

Pochodziliśmy trochę po Siedlecach. Obejrzeliśmy jakiś na pół zburzony kościół, i kilka pustych prawie ulic z zawalonymi kamieniami, parę innych nie tkniętych działaniami wojennymi. Jeźdźcami poruszały się, jak wszędzie, rosyjskie wojskowe pojazdy, przechodziły wojskowe patrole, snuli się nieliczni zresztą mieszkańcy miasta. Nie było nic szczególnego do zwiędzenia.

Kilka, może kilkanaście kilometrów w kierunku Łukowa, na szerokim gościńcu, zobaczyliśmy niespodziewanie wychodzący zza zakrętu w szyku dwójkowym jakiś oddział partyzancki, w cywilnych przeważnie ubraniach, z bronią na ramieniu lub "na psie". Szli dziarsko, nucąc niezbyt głośno jakąś wojskową piosenkę. "Ponnie AL lub GL" powiedział któryś z naszej grupki. Jakież było moje zdziwienie, gdy idący na czele dowódcę oddziału zatrzymał się nagle, a potem, zatrzymawszy również swe wojsko, rzucił się ku mnie z otwartymi szeroko ramionami. Poznałem go natychmiast: był to Janek Paul, syn dzierżawcy niewielkiego majątku z Tahaczynie w naszym powiecie, niedaleko Zasznyk. Przyjaźnił się z nim i jego starszą siostrą Konusią, ponieważ moja babcia pełniła w ich dworku funkcję kucharki. Z tego względu przebywałem często w ich komnatach, bawiliśmy się jako dzieci w

przeróżne gry i zabawy, a potem, po wybuchu wojny w 39 roku spotykaliśmy się już rzadziej, ponieważ państwo Paulowie znikli gdzieś przed Czerwoną Armią, a po ucieczce wschodnich okupantów cała rodzina pojawiła się w Kowlu, a Wacław Paul, ojciec Janka, został tłumaczem w żandarmerii czy w jakimś innym urzędzie niemieckim. Pomagał Polakom, udzielał im rad, wskazówek, wyciągał czasem z aresztu schwytych na ulicy, a Janek był później żołnierzem 27 Wołyńskiej Dywizji AK. Zdziwiłem się, widząc że broni nie złożył. W czasie krótkiej i chaotycznej rozmowy powiedział mi, iż w dniu 25 lipca nie doszedł do Skrobowa, zawrócił zobaczywszy co się dzieje i walczy dalej, tylko już na dwa fronty. Także myśli o przedostaniu się do Warszawy, ale na razie ma tu coś do załatwienia. Proponował mi wstąpienie do swego oddziału, lecz odmówiłem. Nie miał mi tego za złe. Pożegnaliśmy się serdecznie i każdy ruszył w swoją stronę. Więcej już o swym koledze z Tabaczyna nie słyszałem.

Wkrótce dogoniłem kolegów i przez cały dzień szliśmy razem. Przed koniecznością znalezienia noclegu rozdzieliliśmy się i ze względu na większą możliwość znalezienia dachu nad głową i ze względu na bezpieczeństwo. Większa grupa młodych ludzi rzucała się łatwo w oczy, zwracała uwagę niepożądanych osób, zwłaszcza przedstawicieli władzy. Zostaliśmy więc we dwóch z Gienkiem i po spędzeniu nocy w pierwszej lepszej stodole ruszyliśmy rano "na kierunek", byle na południe. Nie znaliśmy terenu, nie mieliśmy, jak wspominałem, mapy, trzeba było kierować się według słońca, które tego lata nie szczędziło swego blasku. Jakby na przekór niedobrej rzeczywistości. Po paru dniach marszu, czasem korzystając z możliwości podjechania przygodnym samochodem, dotarliśmy do Lublina.

Nie obeszło się i w drodze powrotnej bez przykrych przygód, a nawet poważnych niebezpieczeństw.

Gdzieś w okolicach Wojcieszkowa zaczęli nas podejrzani młodzieńcy, pewnie miejscowi chuligani i usiłowali wywołać awanturę. Tylko dzięki spokojowi i przytakiwaniu im we wszystkim uniknęliśmy bójki, w której z góry byliśmy stroną skazaną na klęskę. Innym znowu razem wstąpiliśmy do przydrożnego domu, by napić się wody i nieco odpocząć. Było to chyba między Adamowem a Kockiem. Trafiliśmy na przyjęcie, pijatykę. W obszernym pokoju pełno było biesiadników. Sądziliśmy, że to uczta weselna, może chrzciny czy zrzękwiny. Okazało się, że to miejscowi działacze PPR i AL czcili swoje zwycięstwo nad "rodzimą reakcją". Raz po raz padały gromkie okrzyki i pogróżki pod adresem Akowców, obietnice, że szybko już rozprawią się ze swymi przeciwnikami i albo poślą ich na tamten świat,

albo oddadzą w ręce sojuszników, a ci będą już wiedzieli, co z nimi zrobić. Postanowiliśmy napić się wody i jak najszybciej opuścić ów "postępowy" dom, lecz w tej chwili, gdy trzymałem kubek w ręku i podnosiłem go do ust, otworzyły się drzwi od sali biesiadnej i wyszedł z niej młody człowiek, niewiele od nas starszy, mocno podpity i bezceremonialnie zwrócił się do nas:

- A to co za jedni? Pewnie reakeja? Akowcy? Co?

- Zaszliśmy napić się wody i trochę odpocząć - odpowiedziałem.

- Jesteśmy w podróży.

- W podróży? A skąd to i dokąd? Znamy takich, co to są w podróży, a tylko szpiegują i donoszą do tych z lasu. Pewnie i wy do nich należycie, co?

Mówił to jakając się co drugie słowo i zataczając się na nogach. Jednocześnie groził nam palcem przed oczami.

- Zaraz zawołam chłopaków, to się z wami rozprawią! Wyśpiwacie, coście za jedni!

Nie wiem, jak by się ta niemiła scena skończyła, gdyby nie stanęła w naszej obronie młoda dziewczyna, która też wyszła z pokoju i chwyciła pijaczkę za ramię:

- Co się ozeplasz obcych chłopaków? Napiłeś się, to idź w kąć i siedź cicho - i wypchnęła opierającego się dryblasza z powrotem do pokoju. Potem zwróciła się do nas:

- Przepraszam bardzo za tego niemądrego... Ale radzę wam odpocząć trochę i opuścić ten dom, bo może was spotkać nieprzyjemność. Za dużo tu podpitych awanturników. Nie wiem, kim jesteście, ale oni nie będą pytać, bo mają za dużo w czubach i gotowi rzucić się do bójki. Przepraszam was - powtórzyła i znikła za drzwiami pokoju.

Posłuchaliśmy dobrej rady i ruszyliśmy w dalszą drogę.

W smutnej zadumie przeszliśmy przez Kock, pamiętając, jak to jeszcze niedawno, niespełna miesiąc temu, nasi wykurzyli ^{stęcl} niemiecki posterunek i opanowali miasteczko Berka Joselewicza. Jaka radość panowała w naszych szeregach, gdy nam o tym doniesiono. Lubartów, Kock, Michów, Firlej, 27 Dywizja rozbrajała i przepędzała Niemców w całej tej części powiatu. Teraz, z niezbyt odległej przecież perspektywy czasu, wszystko to wydawało się jakąś zaskryszaną opowieścią, może snem, czymś mało prawdopodobnym. Stali tu żołnierze z batalionu "Korda" z porucznikiem "Mohortem" na czele. Dalej w kierunku Firleja, Bud inne oddziały i służby. Tyle nadziei, tyle wiary w niedaleką już wolność, koniec udręki i krwawych bojów, wyczerpujących przemarszów. Mieliśmy coraz lepszą broń, coraz więcej amunicji,

zdobywaliśmy nieodzowny ekwipunek, utracony w sporej mierze w walkach na Wołyniu i Polesiu podczas kolejnych okrążeń. Rosły szeregi Dywizji, bo miejscowi ochotnicy zasilali wszystkie oddziały. I cała nadzieja runęła pod nieszczęsnym Skrobowem, a zaczęła się tułaczka. Kroczyliśmy po bruku Kocka jak po mogiłach pobojuwiska...

W okolicach Firleja znowu niespodziewanie spotkaliśmy Bazylego Zamościńskiego. Jego koledzy, z którymi wędrował spod Siedlec, pociągnęli w stronę Lublina, on został tu, aby coś tam załatwić, czy też odwiedzić kogoś bliskiego. Ucieszyłem się z owego spotkania, ponieważ, jak chyba wspominałem, żywiłem do Bazylego głęboką sympatię połączoną z szacunkiem. Jemu zawdzięczałem przyjęcie mnie do szeregów konspiracji, przed nim składałem przysięgę, on wyznaczał mi pierwsze zadania w pracy podziemnej. Jego szczera dobroć, uczynność, rozwaga i koleżeńskość, a nade wszystko zawsze doskonały humor zjednywały mu każdego, z kim się zetknął. Szło się nam teraz o wiele raźniej i weselej.

Była niedziela. Przechodząc przez Firlej postanowiliśmy wstąpić do kościoła na nabożeństwo. Sprawdziliśmy nosiliśmy na sobie ubiory dalekie od świątecznych, - drelichowe bluzy i także spodnie, podniszczone już nieco podróżą, ale kto tam zważał na takie drobiazgi! Wmieszani w tłum wysłuchaliśmy z powagą mszy św. Ledwie jednak skończyło się nabożeństwo i ludzie wysypali się na plac kościelny, podeszło do nas trzech młodzieńców i jeden osobnik w średnim wieku z czapką z orzełkiem i czerwoną opaską na rękawie, a pistoletem u pasa.

- Pójdziecie z nami do urzędu gminnego - rzekł bez żadnych wstępów ten starszy, pewnie dowódca patrolu wyłapującego przedstawicieli "reakcji".

- Czego panowie chcecie? Co to za zwyczaje? - zaperzył się Bazyli. W podobnych sytuacjach zdenerwowany mówił szybko, zacinając się co któreś słowo.

- Wyjaśnimy potem. Tego przede wszystkim wylegitymujemy - szarpnął mnie za ramię. - My się już skądś znamy! - dodał z szyderskim uśmiechem.

Spojrzałem zdziwiony na mówiącego: nigdy w życiu go nie widziałem. Bazyli tymczasem nie dając za wygraną spytał o adres rządzącego gminą - naczelnika czy wójta - pozwolili mu pójść w asyście jednego z młodzieńców, któremu także wystawał spod marynarki nagan czy inny pistolet i gdy zabierali się w izbę urzędu do przesłuchiwania nas w sprawie "wrogiego stosunku do PPR" oraz "współpra-

cy z okupantem" zjawił się Bazyli w towarzystwie wójta, który polecił natychmiast wszystkich zwolnić. Okazało się, że Bazyli poznał się z tym urzędnikiem, gdyżśmy stali na tych terenach z Dywizją, a tamten nie był jeszcze żadnym urzędnikiem, lecz działaczem lewicowym, a nasz "Tumry" służąc w żandarmerii polowej miał okazję spotykać się z różnymi tego typu aktywistami. Wytłumaczył mu kim jesteśmy i cała przygoda skończyła się pomyślnie.

Nie na długo jednak.

W Lubartowie Bazyli zaszedł do znajomych na nocleg, my zaś poszliśmy również poszukać sobie jakiegoś spania. Przy końcu ulicy, gdzieś w okolicy dworca kolejowego, wstąpiliśmy do małego domku z parkanem i ogródkiem kwiatowym. Znajdowały się w nim dwie kobiety: jedna starsza już niewiasta, około pięćdziesiątki, druga dwudziestoparoletnia. Ta pierwsza zagadnęła nas, cośmy za jedni i dokąd idziemy?

- Próbowaliśmy dotrzeć do Warszawy i odnaleźć rodziny, ale nie puścili nas, bo tam front. Teraz wracamy do Lublina.

- A w Lublinie macie krewnych czy znajomych?

- Krewnych nie mamy, ale znajomych tak. Byliśmy na Majdanku.

- Na Majdanku? - zainteresowała się młodsza z kobiet. - Na którym polu siedzieliście? I byliście tam do końca?

Zawahałem się przez moment. Nie bardzo wiedziałem, że były tam "pola". Ale zapamiętałem co nieco z wędrówek po obozie podczas uroczystości 6 sierpnia. Przypomniałem sobie niektóre obiekty. Nie mając jednak czasu na zastanawianie się, odpowiedziałem:

- Na drugim.

- Na drugim? A w którym bloku? - dopytywała się rozmówczyni z coraz większym zainteresowaniem.

Znowu moment wahania, żeby nie powiedzieć głupstwa i nie sypnąć się, a następnie z udanym spokojem:

- W trzecim.

- Niemożliwe! - zawołała dziewczyna z iskrami w oczach. - Tam po prawej stronie tych wysokich pryzcy?

- Tak... - odrzekłem patrząc niepewnie w ziemię.

- No tośmy towarzysze niedoli! - zawołała młodsza gospodyni. - Wyobraźcie sobie, że ja byłem też w trzecim bloku, tylko moja pryzca znajdowała się przy samych drzwiach. Wiem, że wy tam z drugiej strony mieliście gorzej niż my z tym paskudnym kapo, ale czasem można było w czymś sobie pomóc albo choć porozmawiać. Pamiętacie tego wysokiego, co tak umiał "dogadać się z kapusiem? Choć kości wszystkie bolały, to wciskałyśmy twarze w brudne koce i śmia-

łyśmy się, tylko tak, żeby nie usłyszał, a ten wstętny zbój brał wszystkie słowa więźnia poważnie, kompromitując się i ośmieszając. Nie odchorowaliście potem obozu? - zaczęła już rozmowę jak z dobrymi znajomymi.

- Ja trochę chorowałem - powiedział Gienek, ale już doszedłem do siebie, a on - wskazał na mnie - zawsze znosił dobrze wszystko.

- No, ja byłam tam krótko i dlatego nie odczułam mocno skutków. Gdybym była dłużej, na pewno byśmy się poznali.

Rozmowa potoczyła się wartko, tym bardziej, że cały czas mówiła prawie sama dziewczyna, nam pozostawiając jedynie możliwość przytakiwania i śmiania się lub robienia poważnych min, w zależności od tematyki monologu. Potem napiliśmy się herbaty z smacznym domowym ciastem i ułożyliśmy się w kącie pokoju do snu. Wstaliśmy o świcie, aby niepostrzeżenie wymknąć się z domu. Na próżno. Starsza niewiasta już nie spała i krzątała się w kuchni. Ani słyszeć nie chciała o wypuszczeniu nas bez śniadania.

- Dość nagłodowaliście się i namęczyli. Teraz musicie i wypocząć, i odżywić się. Niedługo córka wstanie. Zaraz przygotuję posiłek i wtedy, syści, pójdziecie dalej.

Opuszczaliśmy gościnny dom rzeczywiście syści i w dobrych humorach, bo śniadanie było doskonałe, a monolog Ani, bo o ile sobie przypominam, takie imię nosiła dziewczyna, był również wyjątkowo interesujący. Nam pozostawało tylko operowanie monosylabami: "aha", "właśnie?", "no, no", lub śmianie się w wesołych partiach. Była więźniarka miała zresztą i doskonałą pamięć i umiała opowiadać niezwykle barwnie. Pożegnaliśmy się serdecznie. Prosiła o odwiedziny przy każdej okazji, ale woleliśmy nie prowokować losu.

Spotkawszy się o umówionej godzinie z Bazylim, pochodziliśmy trochę po mieście, obejrzeliliśmy miejsca związane z naszym tu pobytem w lipcu na cztery dni przed rozbrojeniem, wstąpiliśmy do kościoła, poszliśmy w pobliże właduktu, skąd nadjechał pociąg niemiecki po wkroczeniu do miasta naszych oddziałów i gdzie toczyła się zacięta bitwa. Kiedy późnym popołudniem szliśmy już główną ulicą ~~ulicą~~ w stronę Lublina, Bazylemu przypominało się, że powinien jeszcze odwiedzić dyrektorkę czy kierowniczkę szkoły, znajomą z czasów naszego postoju na Pojezierzu w okolicach Ostrowa: w Uścimowie, Krasnem, Drozdówce, Rutce Kijańskiej i innych wsiach. Pani dyrektor była mocno zaangażowana w pracę konspiracyjną i utrzymywała stałą łączność z naszą Dywizją. Bazyl bywał w jej domu z różnymi służbowymi sprawami. Poszedł więc i miał po kwadransie wrócić. Gienek u-

siadł na jakimś ławeczce, ja ruszyłem spacerkiem ulicą Lubelską w kierunku południowym. Dzień był piękny, słoneczny, cicho było i spokojnie.

W pewnym momencie podszedł do mnie nieznajomy mężczyzna w wieku około 35 lat, niedbale ubrany w szary wytarty garnitur i rozpoczął dziwnie przymilną rozmowę. Skąd, dokąd, od kiedy w Lubartowie i czy nie mógłby mi w czymś pomóc? Odpowiadałem utartymi i wyuczonymi na pamięć zdaniami. Tamten ~~W~~śmiechał się, przytakiwał, poruszał przyzwalająco głową, czasem zadawał dodatkowe pytania. Uszliśmy spory kawał, gdy z przeciwnego końca ulicy ukazał się podobny do mego towarzysza człowiek, tylko z opaską czerwoną na ramieniu i karabinem. Gdy dochodził do nas, mój miły dotąd rozmówca odezwał się nagle brutalnym głosem:

- Bierz go! Prowadź tam, gdzie poprzednich skurezybyków!

- Czego chcecie ode mnie? - krzyknąłem. - Co wam zrobiłem? Idę spokojnie ulicą, czekam na kolegę, a wy mi tu grozicie aresztem? Popelnilem jakieś przestępstwo?

- Jakiego kolegę? Gdzie on? - Ten z karabinem nie reagował na moje pytanie, lecz zainteresował się wymienionym ^{przez mnie} "kolegą".

Zawahałem się. Mówić o Bazylim, czy nie mówić? Uznałem jednak, że mój przyjaciel dzięki swoim znajomościom i własnemu sprytowi łatwo da sobie radę z samozwańcami zapewne stróżami porządku publicznego. Może im wyjaśni, że postępują wbrew prawu, może pani dyrektor...

- No, gdzie ten kolega!? - wrzasnął znowu ten drugi.

- Zaszedł do szkoły załatwić jakąś sprawę i zaraz tu będzie.

- Chodźmy tam! - zdecydowali natychmiast.

Bazylego spotkaliśmy w furcie. Nie zastał swojej znajomej, zatrzymał się tylko z kimś z domowników. Teraz wracał akurat do mnie.

- To ten? - krzyknął pierwszy ze spotkanych. - Brać go!

- Co to? Rozbój w biały dzień? - Bazyl był szczerze oburzony.

- Panowie zaczepiacie spokojnych ludzi na ulicy? To człowiek z Majdanka - wskazał na mnie. - Cierpiał, męczył się, a teraz go chcecie aresztować? Odpowiedzcie za to!

- Milczeć! - wrzasnął z całej siły naganiacz. - Maszerować i nie próbować ucieczki, bo kula w łeb!

Daliśmy spokój wszelkim tłumaczeniom i rozmowom. Domyśliłem się, że zdradził mnie mój ubiór. Nowe samozwańcze władze wykryły widocznie, że Akowcy z 27 Wołyńskiej Dywizji noszą takie właśnie drellichowe czy cajtowe stroje i łatwo ich zidentyfikować. Tylko co

zamierzają z nami zrobić? Zamkną w areszcie? A dalej co? Milczeliśmy obaj idąc przodem przed dwoma zapewne kandydatami na przyszłych milicjantów.

Zatrzymaliśmy się przed jakimś szarym ale dużym gmachem w jakiejś bocznej ulicy. Po wysokich schodach weszliśmy do ogromnej o wydłużonym kształcie sali. Wprowadził nas pierwszy łapacz, ten z karabinem i opaską został przed drzwiami. W sali było ciemno od dymu papierosowego, przy ustawionych długim rzędem stołach siedzieli pijani biesiadnicy, niektórzy w mundurach z gwiazdkami oficerskimi, a wszyscy mówili podniesionymi głosami, przekrzykując się nawzajem. Cały ten obraz nie wyglądał zachęcająco. Pachniało NKWD-owską lub gestapowską atmosferą, gdzie bawią się panowie i władcy, sędziowie pospólstwa.

Nasz konwojent podszedł do siedzącego nie opodal drzwi kapitana czy majora. Nie pręząc się na baczność powiedział głosem, w którym można było wyczuć rodzaj przechwałki:

- Panie /może towarzyszu czy obywatelu- nie pamiętam/ majorze! Przyprawiliśmy jeszcze dwóch! - I roześmiał się rubasznie.

Officer wstał z krzesła, podszedł do nas chwijnym krokiem, popatrzył jakoś dziwnie w oczy najpierw Bazylemu, potem mnie, machnął ręką jakby z rezygnacją i zdecydował:

- Nie będę dziś głowy sobie zawracał. Odprowadzić tam, gdzie wszyscy. Jutro z nimi pogadam. Ej, pogadam...! - dorzucił groźnie, wracając na dawne miejsce.

- Wychodzić! - konwojent wskazał głową drzwi.

Widok pijanych oficerów i cywilów, pewnie nowych dostojników miejskich, święcących, jak się domyślaliśmy, zwycięstwo "sił postępu nad wrogimi elementami reakcji przy pomocy niezwyciężonej armii radzieckiej" nie zapowiadał miłej rozmowy. Świadczyły o tym ostatnie słowa majora, skierowane chyba do samego siebie.

Po ciemnych schodach naganiacz wprowadził nas do jakiejś obskurnej piwnicy. Prostopadle do schodów biegł długi wąski korytarz, od którego w lewo i w prawo widać było w półmroku drzwi z żelaznymi dużymi zamkami. Pewnie cele więzienne. Wzdłuż korytarza spacerował strażnik ubrany w coś w rodzaju munduru o nieokreślonym kolorze, również z karabinem w ręku. Otworzył jedno z wielu drzwi i weszliśmy do środka. Zgrzytnął klucz i ciężką wrzeciądź oddzieliły nas od zwykłego świata.

- Jaki on tam zwykły? - rzekł Bazyl, gdy wypowiedziałem głośno swoją myśl.

Znaleźliśmy się w ciemnej, głuchej i, jak się nam zdawało - pustej celi. Gdy wzrok przyzwyczaił się nieco do ciemności, dostrzeżliśmy w górze na wprost drzwi niewielkie okno z grubymi kratami i wielki stos papierów czy może zwykłych śmieci w lewym kącie pomieszczenia. Podeszliśmy w tamtym kierunku.

- Chyba to będzie nasze spanie - powiedział Bazyl, wskazując na śmietnisko. - Tylko co z nami zrobią jutro? Jak długo każą nam tu siedzieć?

Zanim zdążyliśmy odpowiedzieć sobie na te trudne pytania, z kąta, bliżej drzwi, rozległ się cichy jęk, po chwili znów i znów. Nie było nic widać, bo ciemność panowała zupełna w tamtym końcu celi, ale jęk powtarzał się bez przerwy.

"Pewnie i nas czeka to samo - przemknęła mi przez głowę zła myśl. - I my możemy już jutro tak jęczeć". Bałem się tylko powiedzieć tego głośno, aby nie budzić licha. Podeszliśmy tylko obaj bliżej cierpiącego człowieka, którego rozplywającą się w mroku sylwetkę nawet z bliska ledwo było widać. Sądząc z głosu i krótkiego oddechu musiał to być mężczyzna w mocno już podeszłym wieku.

- Co panu jest? - spytał Bazyl. - Może w czymś pomóc?

- Nic... mi nie pomożecie... - jęknął leżący. - Jestem... pobity... O, Jezu...

- Kto pana pobił? Ci tu? I za co? - dopytywał się mój kolega.

- Za nic... panie..., dosłownie,.. za nic...

- Ale czegoś przecież od pana chcieli - nie ustępował Bazyl - o coś im chodziło?

- Niech mi pan... poda wody... tu... na taborecie... w kubku.

Bazyl zmacał ostrożnie ręką kubek z odrobiną wody na dnie. Podał go leżącemu. Ten przełknął i ciężko opadł na wyrko. Odpoczął chwilę, a potem zaczął przerywanym głosem:

- Mam brata... w wojsku... Poszedł na ochotnika... jak tylko nadeszło... wojsko Berlinga... Stoją gdzieś za Kockiem... Przyjechał na...przepustkę... Koło nas... niedaleko Michowa... są stawy. Łapaliśmy... ryby. Brat miał granat... Rzucił... żeby trochę... nagłuszyć... Zaraz potem odjechał... Kiedy wracałem.. do domu... z rybami... chwycili mnie... Skąd mam granaty?... Mówię im...co i jak...podaję adres... Nic nie pomaga...Biją i każą przyznać się... Gorzej od...Niemców...

- Przecież to tak łatwo sprawdzić, czy mówi pan prawdę - odezwał się. - Mogliby podjechać nawet z panem.

- Też im tak mówiłem... ale z pijanymi pan się nie dogada... Oj, Boże, nie wytrzymam!...

Jęczał coraz głośniej. Widocznie mówienie i wspomnienia doznanych tortur powiększały jeszcze ból.

- Niech pan już nie nie mówi - schylił się nad leżącym Bazyli. - Porozmawiamy jutro. Czasu nam chyba nie zabraknie. - I uśmiechnął się cicho. - Może sen trochę złagodzi ból.

- Abo to... można zasnąć?... Jak każde miejsce boli?...

Leżący w ciemności unilkł. Odeszliśmy pod okno, bliżej kupy papierzysk. Zgarnęliśmy z góry podarte, poszarpane książki i chyba gazety i sporządziliśmy sobie posłanie. Wyciągnęliśmy się, żeby wypocząć, bo o śnie też nie można było myśleć. Bazyli opowiedział mi półgłosem o rozmowie w domu kierowniczkii szkoły. Już tam ostrzegali go, żeby unikał spotkania z nowymi przedstawicielami władzy. Miał zaraz wrócić i czekać na panią dyrektorę, chciał jedynie zawiadomić mnie, że zostaje w Lubartowie, żeby się nie niepokoił. No i stało się.

Ja znów rozmyślałem bez przerwy o Gienku. Może też siedzi w jednej z sąsiednich cel? Był przecież tak samo ubrany jak i ja. Na pewno go chwycili. Co z nami zrobią? Czy tak samo pobiją, jak tego nieszczęsnego rybaka spod Michowa?

Okolo północy zasnęliśmy.

Zbudził nas pierwszy brzask. Rozejrzeliśmy się po celi. Nasz współtowarzysz leżący przy drzwiach przedstawiał okropny widok. Oczu jakby nie miał weale, tak był spuchnięty. Twarz siną obrzękała. Także na dłoniach nosił ślady pobicia. Widocznie zasłaniał się rękami przed pałką czy czymś ciężkim i stąd te ślady uderzeń. Dreszcz mnie przebiegał, gdy patrzyłem na leżącego. Spał, albo tylko udawał, że śpi, bo nie ruszał się. Robił wrażenie czkowiaka dobrane po sześćdziesiątce. Jeżeli i takiego mają odwagę torturować, to co mówić o nas!... Byłem przekonany, że czeka nas ciężka przeprawa.

Bazyli tymczasem odszedł pod okno i zaczął grzebać w papierach.

- Popatrz, kryminały! - pokazał mi zeszyty, dodatki do przedwojennych dzienników. - Masz, będziemy czytać, prędzej czas zleci.

- Czytaj w głos, posłucham.

- Dobrze. O Kartuszu chcesz?

- Może być.

Bazyli zaczął głośno czytać, jakby nie w piwnicy więziennej, lecz u siebie w prywatnym pokoju. Natrafiając na zabawne historyjki śmiał się swoim zaraźliwym śmiechem. Słuchałem, zapomniawszy

zupełnie o czekającej nas rozmowie ze ślepczymi. Nie do wiary, jak młodość potrafi przerzucać się z nastroju w nastrój. Nawet nie zauważyliśmy, jak w zamku zgrzytnął klucz i do celi wszedł strażnik.

- Śniadanie - burknął i postawił na taborecie dwie blaszane miski z jakimś płynem. Obok położył dwa kawałki chleba, zwanego w czasach okupacji "kokssem".

- A dla niego? - spytał Bazyl wskazując leżącego.

- O niego się nie martwicie - rzekł tym samym tonem strażnik znikając za drzwiami. Chrzęst klucza i znowu zrobiło się cicho.

Popatrzyliśmy na przyniesione jadlo. Nie zachęcało do konsumpcji, nawet nas, którzyśmy przeszli niedawno na Polesiu niesamowity głód, kiedy pachniał najlichszy kawałek chleba, a nadgnite kartofle smakowały jak jakiś rarytas. Mętna brzydka lura mająca być kawą i klejący się chleb, czarny i bez zapachu, może wtedy, w nadprypeckich bagnach zrobiłby inne wrażenie, ale tu? Spróbowaliśmy po małym łyku "kawy", ugryźliśmy szczyptę chleba - nie! Odłożyliśmy na stółek przyniesione porcje. A może po prostu nie czuliśmy z nadmiaru emocji głodu? Za wiele przeżyliśmy w ciągu ostatniego wieczoru i tej nocy. Tylko pobity człowiek jakby się ocknął i poprosił o kilka łyków napoju. Przełknął powoli nie mówiąc ani słowa.

Wróciliśmy pod okno do lektury. Teraz każdy zaczął czytać po cichu i tylko gdy któryś napotkał jakiś zabawny szczegół, pokazywał sąsiadowi i śmieliśmy się jak dwa wariaty, może w przeczuciu, że długo potem śmiech nie zagości na naszych twarzach. Nie myśleliśmy nawet, że takie zachowanie może sprawiać przykrość pobitemu. Wyciągaliśmy ze stosu papierzyk i śmieci coraz to nowe kartki i zachęcali się nawzajem do zapoznawania się z nimi.

Tę nienaturalną wesołość przerwał nagle powtórny zgrzyt klucza w zamku. We drzwiach ukazał się tym razem szczupły i wybladły porucznik, w czystym mundurze i ^oni jakim wyrazie twarzy. Siadł na taborecie i polecił nam zbliżyć się. Zaczął wypytywać cośmy za jedni, co robiliśmy w Lubartowie, dokąd zmierzaliśmy i po co. Odpowiedzieliśmy zgodnie z wyuczonymi formułkami.

- Dokumenty - rzekł wyciągając w naszą stronę dłoń.

Podaliśmy mu "zaświadczenie", inne papierki schowałem do kieszeni.

- Wszystko! - rozkazał.

- To moje prywatne drobiazgi. - broniłem się.

- Wszystko, powiedziałem! - rzekł tonem nie znoszącym żadnego tłumaczenia. I wpatrywał się uporeczywie w moje zachowanie się.

Oddałem trzymany w ręku mały plik papierków z pięciodolarówką włącznie, serdeczną pamiątką ze Skrobowa. Również Bazyli bez słowa podał oficerowi cały portfel. Przyglądaliśmy się, co będzie dalej, oczekując najgorszego.

Porucznik długo, powoli przeglądał papierki, wpatrywał się w niektóre ze szczególną uwagą, potem schował wszystko do teczki i wyjął czystą kartkę papieru. Zaczął pisać nasze personalia. Okazało się, że sztuka pisania nie jest jego najmocniejszą stroną. Miał spore kłopoty z nazwiskami, miejscami urodzenia, pytał co chwila: "á" z kreską czy z "i", duża czy mała litera, jakie "u"? itd. A widząc nasze porozumiewawcze spojrzenia, rzekł z ogromną powagą:

- Ja uniwersytetów nie kończyłam. Moją szkołą był las, nie zapominajcie o tym!

Ujął nas trochę tym spokojnym i szczerym postawieniem sprawy, bez złości i zdenerwowania. Nie wyglądał jednak na człowieka z lasu. raczej na kogoś, kto dopiero co wyszedł z więziennej celi lub ze szpitala po ciężkiej chorobie. Błada, prawie przezroczysta cera, smętny wzrok nie przypominały ani trochę partyzanta. Zakończywszy pisanie, przy którym setnie się zmęczył, wstał i powiedział tonem wcale nie urzędowym:

- To na razie wszystko. Później dowiecie się reszty.

W znacznie lepszym nastroju patrzyliśmy za wychodzącym. Nie mogliśmy wprawdzie przewidzieć swego dalszego losu, ale wizyta porucznika i jego zachowanie się nie zapowiadały śledztwa podobnego do naszego rybaka. Dlaczego nas jednak zamknęli? Co to wszystko znaczy? Takie łagodne wstępne śledztwo i to w dodatku tu, w celi? W duchu każdy z nas przygotowywał się na najgorsze, a tu powiało nagle optymizmem. Pewnie nas wypuszczą i powiedzą, że popełnili pomyłkę. Albo jakieś zmiany personalne w tworzących się dopiero urzędach?

Po mniej więcej godzinie, podczas której niewiele mówiliśmy do siebie, otwarły się z trzaskiem drzwi. Usłyszeliśmy również otwieranie innych, a po korytarzu poleciały gromkie głosy strażników:

- Wychodzić! Wszyscy wychodzić!

Wyszliśmy do korytarza. Przed drzwiami naszej celi stał strażnik i trzymał w ręku nasze dokumenty. Odczytał nazwiska. Podeszliśmy i odebrali wszystko, co przed godziną zabrał porucznik. Nie brakowało nawet banknotu, który uważałem już za stracony. Wyprowadzono nas na podwórze. Był to spory plac, otoczony wysokim murem.

Po jednej jego stronie stały trzy ciężarowe samochody z pudłami nakrytymi brezentem. Do pierwszego z nich już wchodził więźniowie. Po napełnieniu skrzyni zamykano klapę i kierowano aresztowanych do następnego. W pierwszej chwili odczuliśmy zadowolenie, że wydobywamy się z piwnicy, w której nie wiadomo co nas miało czekać, lecz widząc sposób załadowywania aut, pokrzykiwania strażników, popędzanie, popychanie nawet, uznaliśmy, że może lepiej nie śpieszyć się zbyt. Łatwo było zauważyć, że liczba więźniów wyraźnie przekracza pojemność samochodów, zaczęliśmy więc nieznacznie pozostawać w tyle, przepuszczając przed sobą innych, obserwując jednocześnie wchodzących do pojazdów. Niektórzy mieli na twarzach ślady uderzeń, podsiniazone oczy, drobne stłuczenia, większość była raczej zdrowa. A wszyscy młodzi, na pewno niedawni partyzanci z szeregów AK.

Gdy wszystkie trzy wozy załadowano po brzagi, reszcie rozkazano wracać do cel i czekać. Wróciliśmy.

- Może jednak lepiej było pojechać? - powiedział Bazyli. - tylko że nie wiadomo dokąd i po co ich powieźli.

- Dowiemy się niedługo, bo pewnie zaraz przyjadą i po nas. - odpowiedziałem.

Czekaliśmy bardzo krótko. Nie minęło więcej niż pół godziny, gdy otworzyły się drzwi i strażnik rozkazał nam opuszczać celę. Zdziwiło nas tylko, że reszta drzwi pozostawała zamknięta, nikt więcej nie wychodził. Spojrzeliśmy po sobie z niepokojem. Nie było jednak czasu ani możliwości na zastanawianie się nad czymkolwiek, bo strażnik przynaglał do pośpiechu. Ledwie jednak wyszliśmy na podwórze, skąd dopiero co odjechały samochody i zrobiliśmy parę kroków po wybrukowanej kocimi łbami nawierzchni, usłyszeliśmy z prawej strony męski głos:

- To ci?

- Tak - odpowiedziała stojąca obok jakiegoś oficera starsza pani. Widziałem ją po raz pierwszy w życiu.

- Dzień dobry, ciociu! - krzyknął nagle Bazyli, podbiegając do stojącej niewiasty i całując ją szarmancko w rękę. - Nie mogliśmy się już cioci doczekać.

"Ciociu"? - pomyślałem i od razu skojarzyłem sobie, że to nikt inny, tylko pani dyrektor. Ale "ciociu"? O żadnym pokrewieństwie nigdy mi Bazyli nie wspominał. Podszedłem jednak także i również przywitałem grzecznie uśmiechającą się przyjaźnie, choć widzianą po raz pierwszy panią.

- No, widzicie, ileście mi strachu napędzili? Od rana was szukam, dzwonię, dopytuję się, dopiero teraz udało mi się trafić we właściwe miejsce. Wzięto was za zupełnie kogo innego - mówiła tonem delikatnej wymówki "ciocia", uśmiechając się przy tym wesoło i przyjaźnie pogodnie.

- Więc ma pani swoich kuzynów żywych i całych, tak? - spytał uprzejmie oficer.

- Nareszcie! Dziękuję panu!

- To dobrze. Może ich pani zabierać. Dowidzenia.

Skierowaliśmy się do bramy strzeżonej przez strażnika w na pół wojskowym uniformie. Pewnie jeden z tych, którzy nas tu wczoraj przyprowadzili.

- Acha, - odwróciłem się jeszcze do oficera. - A czy nie zatrzymaliście tu wczoraj mojego młodszego brata? Miał na imię Eugeniusz. Czekał na mnie na ławce przy Lubelskiej.

- Nie, nie mamy takiego - odpowiedział mi bez namysłu. Czyż by znał wszystkich aresztowanych po imieniu? Ale nie dopytywałem już więcej.

Dopiero za bramą i za zakrętem ulicy Bazylki przeprosił naszą wybawicielkę za to bezceremonialne "ciociu" i kłopoty jej sprawione. Uśmiechnęła się tylko i wyraziła uznanie dla swego kolegi z konspiracji, Bazylego, za przytomność umysłu i szybką orientację. Nauka wyniesiona z czasów okupacji niemieckiej nie poszła w las. Opowiedziała nam też, w jaki sposób ^{nas} odnalazła. Zdziwiliśmy się, że w ogóle wpadła na pomysł szukania nas. Lecz tacy już byli ludzie konspiracji: solidni, domyślni, wierni przyjacielom, nawet znajomym. Kiedy mianowicie wróciła do domu i dowiedziała się o odwiedzinach tego pana, który przychodził tu niedawno z jakimiś "ważnymi sprawami z lasu" i kiedy mimo obietnicy rychłego powrotu nie pojawił się do wieczora, pani dyrektor była pewna, że musiało się coś złego przytrafić. A co? Nie miała wcale wątpliwości, że niemiłe przygody spotykać mogą byłych partyzantów AK tylko ze strony nowej władzy. Rozpoczęła więc poszukiwania, a że miała paru dobrych znajomych wśród lubartowskich działaczy, sięgających teraz z tytułu przynależności politycznej po ważne funkcje i urzędy, dopytała w końcu, gdzie jesteśmy. Rzecz była o tyle niecodzienna, że nie znała naszych nazwisk, ale okazało się, że wystarczyły okoliczności i miejsce aresztowania. Przez długie lata z wdzięcznością wspominaliśmy dzielną i odważną kobietę.

Tego dnia przed wieczorem byliśmy już w Lublinie.

Gienek, jak się okazało, wyszedł z Lubartowa bez szwanku. Długo czekał na nas już za rogatkami miasta na szosie lubelskiej, wreszcie zdecydował się pójść sam, sądząc, że zatrzymaliśmy się w lubartowskiej szkole na zbyt długą pogawędkę. Miał nawet żal do nas o pozostawienie go samego. Dopiero wyjaśnienie całej sprawy uspokoiło go i pozbawiło pretensji.

LUBLIN DRUGIM DOMEM

1. Druty, słupolazy i pusty żołądek

Lublin po dłuższej naszej nieobecności nie zyskał na krasie. Nie powitał nas dobrymi nowinami. Wprost przeciwnie - każda nowa informacja przyprawiała o złość i lęk, lęk o najbliższą nawet przyszłość. Od spotkanych paru kolegów, którzy jakoś zaaklimatyzowali się już w mieście, dowiedzieliśmy się, że już wielu naszych oficerów przebywa za kratami, że zamknięto obu księży kapelanów - ks. Antoniego Piotrowskiego - "Prawdźca" i ks. Antoniego Dąbrowskiego - "Rafała", wspaniałych duszpasterzy żołnierskich, kowelan, którzy zyskali sobie prawdziwą miłość i szacunek we wszystkich batalionach, że kilkunastu chłopców zabranych na początku sierpnia z gmachu przy ulicy Narutowicza wielono przymusowo do wojska, a o wielu zabranych wtedy słuch zaginął. Widziano ich wiezionych samochodami przez funkcjonującą już milicję, ale dokąd? I co się z nimi dzieje? Tego nikt nie wiedział. Pewnie siedzą w więzieniu albo też zostali przymusowymi żołnierzami, co jeszcze byłoby najlepsze. Gubiliśmy się w domysłach, nie mogąc niczego konkretnego ustalić. Czuliśmy tylko, że z każdym z nas może stać się w każdej chwili to samo.

Już w dwa dni po przybyciu do "stolicy", bo tak tylko mówiło się wtedy o Lublinie, znaleźliśmy lokum i zajęcie. Główną zasługę ponosił za to niezawodny we wszystkich trudnych chwilach Bazyli. Udał się mianowicie na pocztę, gdyż ta funkcjonowała już na całego, wdał się z kimś w rozmowę i dowiedział się, że urząd potrzebuje pilnie ludzi do pracy, głównie do zwijania porwanych i splątanych drutów telefonicznych przy szosach wychodzących w różnych kierunkach z Lublina. Dano nam także do dyspozycji duży pokój w oficynie

głównego gmachu przy Krakowskim Przedmieściu z wejściem od ulicy Peowiaków /dziś Pstrowskiego/. Wielka sala wy^{ci}cielona była grubą warstwą słomy i nie miała ani jednego najlichszego nawet sprzętu. Nie otrzymaliśmy też ani pościeli, ani roboczych ubrań, nie zawarto też żadnej oficjalnej umowy. Ot, nieznamy urzędnik popatrzył na nas, skinął z przyzwoleniem głową i wskazał stojącego obok o-tyłego trochę pana w średnim wieku:

- To będzie wasz przełożony. On pokaże, co macie robić.

Ów urzędnik także zaprowadził nas do wspomnianego lokalu i wypowiedział podobnym tonem:

- A tu możecie mieszkać.

I to było wszystko. Zamieszkaliśmy, to znaczy ułożyliśmy się na słomie i czekali jutrzejszego poranka, kiedy miał przyjść do naszego "domu" zwierzchnik i wskazać miejsce pracy.

Pokój ze słomą na całej podłodze musiał służyć niedawno wojsku, pewnie ruskiemu, może jakimś uciekinierom. Używany musiał być krótko, bo słoma była niemal świeża, wcale nie zgnieciona. Po partyzanckich przeżyciach na Wołyniu i Polesiu, a teraz po niemiłych przygodach w drodze powrotnej spod Warszawy nie czuliśmy się zbyt pokrzywdzeni. A że latą nadal było upały, nie przeszkadzał nam nawet brak pościeli i ciepłego okrycia. Fakt że jako pracownicy urzędu państwowego jesteśmy bezpieczniejsi niż dotąd, dodawał nam dobrego samopoczucia. Zresztą mój kolega znalazł zawsze sposób na rozweselenie najbardziej nawet smutnych i poważnych.

Gienek urządził się jeszcze lepiej, mianowicie znalazł pracę w placówce Polskiego Czerwonego Krzyża przy ulicy Ewangelickiej. Sytuację miał o tyle ^{wygod}korzystniejszą, że w swej instytucji korzystał z całodziennego wyżywienia, co miało w tamtych czasach zasadnicze znaczenie. A że PCK nie dysponował lokalami mieszkalnymi, został więc mój braciszek naszym współlokatorem. Nikogo nie pytaliśmy o zgodę, bo też nikt się nami nie interesował i nie zaglądał do naszego pokoju. Wkrótce nasze "mieszkanie" stało się prawie hotelem dla wszystkich przejeżdżających przez Lublin naszych kolegów, którym wypadało zatrzymać się tu na dzień czy noc. Każdy korzystał wtedy z rozścielonej słomy i przekazywał potem innym, gdzie mają w razie potrzeby zgłaszać się i gdzie szukać dachu nad głową. Naturalnie nikt z nas nie przyznawał się do swej partyzanckiej - akowskiej - przeszłości. Było to konieczne odkąd zaczęto nas wyłapywać, a zwłaszcza odkąd w prasie zaczęła się nagonka na AK. Mieliśmy wkrótce przekonać się, do jakich granic najwyższe "osobistości" zdolne są posunąć się w kłamstwach i oszczerstwach w stosun-

ku i do naszej Dywizji. Ale o tym za chwilę.

Nazajutrz rano ruszyliśmy do pracy. Nasz szef wyprowadził nas za rogatki lubartowskie i polecił związać splecione druty telefoniczne, odwiązywać je od izolatorów i wiązać w duże zwoje. Najtrudniejsze okazało się wchodzenie na słupy, naturalnie przy pomocy żelaznych skupołazów. Mieliśmy z tym mnóstwo kłopotów. Duże żelazne haki zaczepiały jeden o drugi, plątały się bez przerwy, nie pozwalały się wyjąć ze słupa i przełożyć wyżej. Męczyliśmy się okropnie. A szef, "postępowy", jak o sobie mówił /"bo ja, widzicie, jestem postępowy"/, nie starał się nam pomóc, nauczyć, lecz poganiał i pokpiwał, widząc nasze kłopoty. Lecz po kilku dniach nabraliśmy nieco wprawy, a poza tym przestaliśmy się przejmować gderaniem zwierzchnika. Stwierdziliśmy bowiem, że nie należy do ludzi, z którymi można spokojnie i rzeczowo porozmawiać lub liczyć na wyrozumiałość czy zwykłe instrukcje w kwestiach dla nas nowych. Zresztą cały urząd pocztowy nie wykazywał najmniejszego zainteresowania swymi pracownikami. Nie było żadnej stołówki, nikt nas nie pytał, czy mamy coś do zjedzenia, czy jesteśmy głodni? Zwierzchnik widział dokładnie, że pracujemy bez przerwy, nie mając ze sobą ani kawałka chleba, ani do chleba. I nie go to nie obchodziło.

- Ładnie się ta Polska Ludowa zaczyna. Przecież w tej chwili jesteśmy pełnoprawną klasą robotniczą i co? - zastanawialiśmy się z Bazylim. - To nasz, proletariacki ustrój, nie burżuazyjny. Pracujemy dla ludowego państwa, a to państwo poprzez swego reprezentanta nawet z nami gadać nie chce. Coś to za bardzo trąca "Zapadno noj Wikrainoj". Tam też socjalistyczne państwo, rządzone przez "rady robotnicze" nigdy nie zainteresowało się dolą prostego robotnika. Dopiero gdy awansował na aktywistę, zaczynał coś znaczyć. I tu będzie podobnie.

Tymczasem nasza sytuacja stawała się z dnia na dzień gorsza. Początkowo, już nie pamiętam za jakie pieniądze, kupowało się kawałek chleba i o tym kawałku żyło się cały dzień. Po kilku dniach okazało się, że w ten sposób szybko stracimy siły i przestaniemy w ogóle być zdolni do pracy. Pięciodolarówki ciągle żal mi było naruszyć. Zapowiadało się widmo głodu.

I wtedy niezawodny Bazyl, nie wiem jakim sposobem, trafił do ss. Urszulanek, które prowadziły specjalną kuchnię dla żebraków. O umówionej godzinie wszyscy żebracy spod lubelskich kościołów zostawiali swe miejsca i szli lub kuszykali do "swej" stołówki. Każdy z nich miał specjalny kwitek, na podstawie którego otrzymywał

co dzień ciepłą zupę z kawałkiem chleba. Nazywało się to nawet obiadem. A i zupa całkowicie na tę nazwę nie zasługiwała i z normalną zupą wiele wspólnego nie miała. Coś w rodzaju rosółu z pływającymi gdzieś niegdzie pojedynczymi ziarnami kaszy lub makaronu, to znów jakiś niby krupnik itp. Ale te niby-zupy były ciepłe, czysto podane i dla wyголоdniałego żołądka stanowiły niemal przysmak. Najważniejsze, że zawsze dostawało się kawałek chleba, a co jeszcze ważniejsze - wszystko otrzymywało się bezpłatnie. Przy końcu długiego korytarza na parterze ustawiony był również długi stół, dokoła niego potężne ławy, żebracy obsiadali stół naokoło, my wśród nich i poważnie, w milczeniu spożywaliśmy podaną strawę. Obsługiwała "biesiadników" starsza już wiekiem siostra Wiktoria. Niskiego wzrostu, dość otyła, o szerokiej i bardzo poczeiwej twarzy. W późniejszym czasie mieliśmy się przekonać, jak wspaniały był to człowiek. Tak więc darmowa kuchnia uratowała nas od głodu i pewnie ciężkiej doli.

Kiedy jednak "front pracy" oddalił się od miasta, gdy zwijaliśmy druty już gdzieś w Bursakach, na Sławinie lub przy linii kolejowej pod Rudnikiem, trudno było iść pieszo do śródmieścia na ulicę Narutowicza, gdzie znajdował się klasztor. Przez kilka dni znowu głodowaliśmy. Ale od czego głowa na karku? Oto przypomniało się nam, jak to kiedyś w Zasmykach w latach 1941, 1942 jeździliśmy z księdzem Michałem Żukowskim, naszym proboszczem, po kolędzie. Nasz proboszcz, świętobliwy człowiek, a także wielki Polak-patriota, wprowadził zwyczaj, że wizyta pasterska po Bożym Narodzeniu odbywała się w asyście młodych chłopców, którzy wchodzili razem z księdzem do każdego domu i rozpoczynali wizytę od zaśpiewania kolędy, czasem nawet dwóch i trzech. Po zakończeniu śpiewu, w czym pomagał także ksiądz, a niekiedy i domownicy, ksiądz rozpoczynał swoje zwykłe czynności liturgiczne, przechodził do pokoju, my zaś siadaliśmy skromnie w kuchni i czekaliśmy na zakończenie ceremoniału i rozmowy z gospodarzami, po czym na zakończenie znowu kolęda i przechodziło się do następnego domostwa. W miarę upływu czasu młode żołądki zaczynały domagać się swego, lecz gospodarze nie zawsze o tym pamiętali. Poczęstował czasem ktoś jakimś pierogiem i na tym się kończyło. Toteż pewnego razu postanowiliśmy popełnić występki, czyn bardzo niewłaściwy, ale nie miał kto nas wtedy upomnieć. Otóż wpadliśmy na pomysł, aby wysłać w imieniu księdza, naturalnie bez jego wiedzy, karteczkę do któregoś z bogatszych gospodarzy o kilka domów naprzód z zawiadomieniem, że ksiądz bardzo prosi o skromną przekąskę dla siebie i kolędników. Drżeliśmy, by sprawa się nie wydała,

bo bura i to zapewne surowa nie ominęła by nas. Może nawet musieliśmy pożegnać się z dalszym kołędowaniem, które bardzo lubiliśmy. Ale wszystko poszło wyjątkowo gładko. W wybranym domu państwo gospodarze czekali już z nakrytym stołem i to wcale nie skromnym. ~~Ksiądz~~ Ksiądz był bardzo zadowolony, że go tak gościnnie przyjmują, my jeszcze bardziej, a chyba najbardziej gospodarze, ponieważ zasłużyli sobie na pochwałę księdza, którego wszyscy szanowali i słowa jego bardzo cenili, więc wyrazy uznania za okazaną gościnność były nie lada satysfakcją. Odtąd już w każdej wsi z góry uatslaliśmy, którego z mieszkańców mamy poinformować o "prośbie księdza". Pamiętaliśmy zawsze nadmienić, że chodzi o bardzo skromny poczęstunek, lub tylko herbatkę, ale gospodarze rozumieli to po swojemu i po takiej "herbatce" dalsza kołęda przebiegała w idealnym nastroju.

Otóż i teraz wpadliśmy na podobny pomysł. Przypomniałem go Bazylemu, a ten natychmiast wprowadził go w życie. Udał się do gospodarza, którego dom i zagroda prezentowały się bardziej okazałe od innych i poprosił o przygotowanie na określoną godzinę dwu obiadów dla pracowników poczty, którzy nie mają żadnych możliwości skorzystania z restauracji, bo przerwa obiadowa jest zbyt krótka. Gospodyni zgodziła się spełnić prośbę i w ustalonym czasie zostaliśmy poproszeni do stołu. Posiłek okazał się, podobnie jak podczas dawnej kołеды, wcale nie "skromny". Przy wesołej rozmowie szybko minął obiad, a po jego zakończeniu zwróciliśmy się do pani domu z pytaniem o wysokość zapłaty.

- E, drobiazg - rzekła gospodyni głosem nieco wahającym się.
- Czy ja wiem, czy w ogóle warto brać za to pieniądze? Może nie?
Na to tylko czekaliśmy.

- No to serdecznie pani dziękujemy. Bóg wielki zapłać! Życzymy wszystkiego najlepszego! Będziemy zawsze państwa mile wspominali.

Bazyli recytował wszystkie te słowa jednym tchem, a potem najmilej jak umieliśmy zegnaliśmy zacnych gospodarzy, pełni uśmiechów i ukłonów, zresztą co tu mówić? - jak najbardziej szczerych. Również składane życzenia i obietnice pamięci były najzupełniej szczerze. Do dziś ile razy tamtędy przejeżdżam, wspominam z wdzięcznością dobrych mieszkańców i patrzę z łezką na ich dom. Może już nie żyją, bo nie byli pierwszej młodości, a jeśli tak, to niech im Bozia to pamięta.

Jaśli i następnego dnia praca wypadła przy tej samej szosie, musieliśmy uzbroić się w cierpliwość i wytrzymać głód, bo nie wypadało po raz drugi korzystać z gościnności ludzkiej, a do sąsiadów też nie można było pójść, bo by się sprawa szybko rozniosła i uzn-

noby nas za zwykłych naciągaczy, choć i tak coś z takiego miana praktyka przez nas zastosowana zawierała. Gdy jednak przerzucano nas na inną trasę, zmuszeni byliśmy zaczynać żywić się w sposób podobny do wspomnianego. Nie mieliśmy innego wyjścia. Należy też stwierdzić, że ani razu nie zawiedliśmy się na gościnności podlębelskich mieszkańców. Drżeliśmy tylko za każdym razem, by któraś gospodyni nie wymieniła od razu ceny, bo wszak żaden z nas nie miał grosza przy duszy. Szczęściem wszystko przebiegło pomyślnie.

Jednego razu pracując przy torach Lublin - Lubartów w pobliżu mostu na Bystrzycy, w czasie przechodzenia od słupa do słupa ujrzelśmy zbliżającego się ku nam kogoś znajomego. Nie potrafiliśmy tylko w pierwszej chwili uświadomić sobie, skąd tego człowieka znamy. On także nas rozpoznał, bo nagle zmienił się na twarzy, jakby obleciał go lęk. Zatrzymał się i uczynił ruch, wyglądający na próbę cofnięcia się. Pewnie dlatego, że wyglądaliśmy dość groźnie: zwoje grubego drutu na plecach, w rękę ostro zakończone żelazne słupekazy, a wokoło żywego ducha. Zbliżywszy się do nas zdjął czapkę i bardzo grzecznie nas pozdrowił. W tym momencie rozpoznaliśmy go. Odpowiedzieliśmy ze złośliwym chyba uśmiechem, bo minawszy nas podróżny przyspieszył kroku i co pewien czas oglądał się niespokojnie poza siebie. Był to ów "stróż porządku publicznego", który kazał aresztować nas w Lubartowie, udając początkowo ugrzecznionego przechodnia. Widocznie zamiast awansów do czekał się degradacji, a nas wziął za tych, co to pewnie mając znajomości, dzięki którym wyrwali się z aresztu, mogą być niebezpieczni. A i teraz mogliby - uzbrojeni w żelazną broń - mogliby odpłacić się na miejscu za lubartowską przygodę.

- Nie zaszkodziłoby mu przyłożyć z raz tym słupekazem - powiedział Bazyli - ale nich go Bóg sądzi.

I zabraliśmy się do dalszej pracy.

W ostatnich dniach września, gdy późnym popołudniem wróciłem z miasta do naszego lokum na pocznie, ^{zastąpiłem Bazylię} pochłoniętego czytaniem jakiegoś artykułu w "Rzeczypospolitej". Widać było z daleka, że ponosi go wściekłość.

- Nasz, zobacz w jakim to wojsku służyłeś i jakich miałeś dowódców!

Wziąłem numer do ręki. W miarę czytania robiło mi się coraz ciężej na sercu i ogarniało mnie przede wszystkim zdumienie. Nie potrafiłem uwierzyć, by ludzie na wysokich stanowiskach - generałowie Michał Rola - Żymierski i Grzegorz Korczyński - mogli w sposób tak bezceremonialny okłamywać zarówno obcych dziennikarzy jak i własne społeczeństwo. Dla nas, którzy dwa miesiące temu byliśmy żołnierzami 27 Wołyńskiej Dywizji, słowa wypowiedziane przez owych najwyższych wtedy dowódców!

ców opiewanego na wszelkie sposoby Ludowego Wojska Polskiego brzmiały po prostu szokująco. Jakież przyświecały im intencje w tak ohydny sposób szkalowaniu ludzi, którzy tyle przeszli, tyle przeleli krwi, tak gęsto usłali swój bojowy szlak mogiłami poległych kolegów i przyjaciół, ale wrogom jeszcze bardziej dali się we znaki. A tu nagle uważający się za bardzo poważny dziennik zamieszcza podobne brednie! Wynotowałem je później i zachowałem do dnia dzisiejszego.

Tytuł artykułu brzmiał: "Korespondenci zagraniczni na konferencji prasowej u Naczelnego Dowódcy Wojska Polskiego generała broni Roli Żymierskiego". W pewnym momencie owej konferencji jeden z zagranicznych dziennikarzy zapytał o Armię Krajową i jej udział w walce o Lublin. Na to Rola - Żymierski odpowiadał: "...Plan Armii Krajowej zawierał przede wszystkim organizację dowództw, sztabów i kadr i przewidywał walkę dopiero w czasie odwrotu armii niemieckiej i organizowanie wówczas władzy. Wskutek tego oddziały te, które nazywają się 27 dywizją itd. - były to tylko sztaby i oddziały, liczba których nie przekraczała 500 - 600 ludzi. To cośmy stwierdzili w rejonach Wilna, Lwowa, Lublina były to raczej plany wzięcia władzy w ręce i organizowania się na miejscu, a nie plany prowadzenia bezpośrednich walk z Niemcami. Tyle o metodach walki z Niemcami Armii Krajowej. Obecnie jednostki szczerze patriotyczne, stanowiące dużą część oficerów AK, stawiają sprawę w ten sposób, że raczej złożą stopnie i szarżę i wstąpią jako szeregowcy do Wojska Polskiego, bo tego wymaga chwila".

"Jeden z korespondentów: Czy były poza Armią Ludową jednostki, które walczyły o Lublin?"

Generał Żymierski: Najlepiej poinformuje panów o tym pułkownik Korczyński, dowódca oddziałów Armii Ludowej, która pierwsza wkroczyła do Lublina.

Płk. Korczyński: Pierwszymi jednostkami, które wkroczyły do Lublina, były jednostki Armii Ludowej. Na drugi dzień dało się zauważyć parę oddziałów z 27 dywizji wołyńskiej AK. Wspomniana dywizja przed przyjściem do Lublina biwakowała w moim rejonie w lasach parczewskich, trzy kilometry na południe od Parczewa, około 35 kilometrów na północny wschód od Lublina. Gdy Niemcy zaczęli przeprowadzać pacyfikację w tamtych terenach, dowódca 27 dywizji AK wydał rozkaz wycofania się całej dywizji z tamtych rejonów. Walkę przyjęły jedynie bataliony Armii Ludowej. Nastawienie dowódców 27 dywizji AK było takie: zachować siły, nie prowadzić walki z okupantem, a postępować za oddziałami Armii Czerwonej, gdy będzie ona podchodzić do Lubartowa,

Ostrowa, Lublina. Gdy zbliżali się Niemcy, - w 27 dywizji piechoty powstała panika, oficerowie AK uciekli, opuszczeni żołnierze w sile jednej kompanii przyszli do mnie.

Jeden z korespondentów: Co się stało z jednostkami 27 dywizji Armii Krajowej, które były w okolicach Lublina?

Płk. Korczyński: Część wstąpiła do Wojska Polskiego, część do Milicji Obywatelskiej...".

Odłożyłem gazetę. Bazyli siedział na słomie z głową opartą o kolana. Nie mówiliśmy już nic. Cisza, jaka zapanowała teraz, była bardziej wymowna. Tego rodzaju kłamstwa trudno było komentować.

Rozmawialiśmy nieraz w koleżeńskich grupach o naszej tragedii - tragedii wołyniaków, żołnierzy i partyzantów wypędzonych z własnej ziemi, a potem pozbawionych brutalnie, krwawo zdobytej broni, prześladowanych i więzionych. Ale mimo wszystko słyszało się w takich rozmowach głosy, że przecież ostatecznie Polacy Polakom krzywdy nie uczynią. Mają inne od nas przekonania polityczne i w inny sposób będą urządzali przyszłą Polskę. Z czasem jakoś się wszystko unormuje, dotrze, a reformy społeczne mogą okazać się potrzebne i korzystne dla narodu. Trzeba więc mimo wewnętrznych rozterek włączyć się w rytm pracy, a o doznanych krzywdach i upokorzeniach starać się zapomnieć. To co się teraz dzieje, jest niewątpliwie dziełem naszych sąsiadów ze wschodu, którzy nigdy przyjaciółmi Polski nie byli. Ale w końcu i wobec nich prawda musi zwyciężyć.

Nie podzielałem w całości owych sądów, ale nie mogłem także nie przyznać im wiele racji. Należało przecież dążyć do reform społecznych, politycznych, ekonomicznych, trzeba było oprzeć organizację Państwa na nowych zasadach, które w pierwszej chwili mogą wydać się zbyt radykalne, ale są nieuniknione. Aż tu nagle Polacy dopuszczają się podobnych oszczerstw! "500 - 600 ludzi"! Było nas w okresie największej liczebności Dywizji około 7 tysięcy. Po tragedii grupy "Osnowy" przy przekraczaniu frontu na Prypeci i ciężkich walkach na Polesiu przeszło na lewą stronę Buga około 4 i pół tysiąca. Tu dołączyło do nas sporo ochotników spośród miejscowej ludności. Pan Żymierski udawał zapewne, że o tym nie wiedział. W przewalskich lasach, kiedy zbliżali się Niemcy, nasze dowództwo proponowało Aelwcom wspólną obronę, lecz w sposób rokujący zwycięstwo. Propozycję odrzucono. Przebijaliśmy się przez pierścień niemiecki sami. Okazało się potem, że Korczyński ze swą niewielką armią drogo za to zapłacił, a pana Moczara ścigali Niemcy długo, zadając mu ciężkie straty. W planach operacyjnych daleko im było do naszych dowódców. A potem bezwstydnie pomawiali nas o ucieczkę! Do milicji ~~nie~~ poszedł

~~jak się później okazało~~ ~~nie było jeszcze w Lubartowie, Ostrowie, Kocku czy Michowie Armii Czerwonej, kiedy nasze oddziały prze-~~ ~~jechały tam w ogóle, a po drugie~~ ~~nie pan Korczyński był tam gospodarzem. Częściowo odpoczywaliśmy~~ ~~i leczyliliśmy rany wyniesione z poleskich lasów, a poza tym prowadziliśmy~~ ~~ciągłe walki i utarczki. W parę godzin po zajęciu przez nas Lu-~~ ~~bartowa pojawił się Korczyński w towarzystwie rosyjskich oficerów z~~ ~~poleceniem opuszczenia tego miasta. A potem sobie przypisywał zasłu-~~ ~~gę jego zdobycia. Mając do czynienia codziennie z tego typu lekturą~~ ~~trudno było zdobyć się na odrobinę choćby sympatii dla służalczej~~ ~~i wyręczającej w tym niecznym procederze kłamstwa Rosjan, klice "rza-~~ ~~dowej". Odbiegały nas coraz bardziej chęci do jakiegokolwiek więk-~~ ~~szego wysiłku, a uczucie krzywdy, bolesnej krzywdy zaczynało brać~~ ~~górną nad głosem usprawiedliwiania istniejącej władzy. Jakże można~~ ~~było mówić tak o naszych wspaniałych oficerach, którzy dzielili z~~ ~~nami trudy, głód, rany, ginęli tak samo jak prości żołnierze, a w~~ ~~ewnych podwładnych wszczepiali tylko dobre i szlachetne zasady postę-~~ ~~powania. I dziś pomawia się ich o tak nieczne praktyki, tchórzostwo,~~ ~~dezercję! Pod taką władzą nie sposób pracować ze spokojem i żyć nor-~~ ~~malnie. Nie różniła się ona wcale od tej, którą poznaliśmy na Woły-~~ ~~niu w latach 1939 - 1941. Te same kłamstwa, ta sama nienawiść do~~ ~~wszystkiego co dobre, prawdziwie polskie, wielkoduszne i dążące ku~~ ~~powszechnemu dobru... Ale nazajutrz wyruszyliśmy znowu do pracy od~~ ~~rana i porządkowaliśmy linie telefoniczne, wykonując swoje obowiąz-~~ ~~ki bez ociągania się i marnotrawienia czasu.~~

Pierwszego października mieliśmy otrzymać pierwszą wypłatę. Czekaliśmy tego dnia z nadzieją, że skończą się wreszcie nasze przymusowe głodówki, żebrania, ukryta pod osłoną oficjalnego zamawiania posiłków, że przestaniemy w końcu korzystać z usług sióstr Urszulanek i ich żebraczej kuchni. Otrzymamy nareszcie ponadmiesięczne zarobki i następny miesiąc będziemy żyli jak zwyczajni ludzie.

O oznaczonej godzinie, po południu, gdy skończyliśmy porządkowanie drutów na Sławini, przy szosie warszawskiej, udaliśmy się do gmachu Poczty Głównej po należną pensję. Nie wiedzieliśmy wtedy, że będzie to nasz ostatni pobyt w tym urzędzie. Jeszcze wprowadziliśmy kilka razy do pracy, ale wyłącznie dlatego, że nie mieliśmy gdzie mieszkać, konieczność więc zmuszała nas do utrzymywania kontaktu z dotychczasowym "chlebobawcą"! Boże! Co za chlebobawca!... Oto

za pięć tygodni pracy i to pracy wcale nie lekkiej, otrzymaliśmy razem - ja i Bazyli - sumę, za którą kupiliśmy w sklepie przy ulicy Kołłątaja róg Peowiaków jeden! kilogram pomidorów, pół bochenka chleba, a za resztę zafundowaliśmy sobie, na dodatek wśród ogromnego śmiechu, za którym ukrywaliśmy swoje rozczarowanie i wściekłość zarazem, po kuflu piwa... Tyle nam wypłacono! Tak się oceniało wtedy pracę! Długo potem staliśmy na ulicy i patrzyliśmy na siebie wzrokiem dwóch anormalnych ludzi, przygadując sobie nawzajem na temat pośpiechu w tym i owym dniu, solidności na tym i tamtym odcinku, nawet na poszczególnych skupach.

- A wiesz dlaczego tyle zarobiłeś? - pytał z poważną miną Bazyli. - Bo wtedy, gdy pracowaliśmy koło rzeźni, pękł ci izolator, za mocno przyciśnięty kombinerkami. Wiesz jaka to strata dla kraju? Teraz cierp ciężo...!

- A ty ponad 10 minut straciłeś pod tym kioskiem z papierosami, pamiętasz? To jeszcze większa strata! Państwo ludowe takich rzeczy nie toleruje! Pamiętaj! U nas praca jest największym przywilejem obywateli i służy dobru indywidualnemu i zbiorowemu! A ty oczekiwałeś, że ciebie uhonorują, co?

Stukaliśmy się trzymanymi w rękę kuflami i wygłaszaaliśmy powtarzane w gazetach i mowach publicznych puste frazesy, pilnując jedynie, żeby nas nie zaskoczył z nienacka jakiś milicjant lub inny mundurowy, bo nie wydawało nam się, że zwykły cywil mógłby coś przeciw naszej rozmowie mieć.

2. Niespodziewane spotkania

Wkrótce po opisanych zdarzeniach w życiu naszym nastąpiły poważne zmiany.

Któregoś dnia na początku października Bazyli wpadł do naszego "domu" na pocztę i krzyknął od progu:

- Libuszka przyjechała!

Libuszka była jego żoną. Pochodziła z mieszanej rodziny: jej ojciec był Polakiem, matka Czeską. Ojciec był cioteczynym bratem mojej mamy, stąd niezbyt dalekie pokrewieństwo, lecz nie żyliśmy ze sobą jak na rodzinę przystało, ponieważ matka Libuszki, wywodząca się z dość zamożnej rodziny czeskich osadników stwarzała sztuczny dystans do rodziny swego męża i zniechęcała wszystkich do siebie. Dzieciom - mieli pp. Frankowscy trzy córki - nadawała

imiona o brzmieniu czeskim, w domu używała też często języka swoich rodziców. Ożenek Bazylego z Libuszką, najstarszą córką bogatych gospodarzy, był swego rodzaju skandalem, bo ślub odbył się w tajemnicy przed rodzicami, co stało się powodem wydziedziczenia "wyrodnej córki", bowiem Bazyli nie należał do ludzi bogatych, a co gorsza - nie przywiązywał do dóbr materialnych żadnego znaczenia. Gdy jednak przyszły ciężkie czasy, napady i rzezie ukraińskie i rodzice Libuszki stracili wszystko, przeprosili zięcia i córkę i u nich zamieszkali. Bazyli starał się od początku nawiązać kontakt z żoną pozostającą ciągle za Bugiem, lecz wszystkie zabiegi kończyły się niepowodzeniem. Aż teraz zupełnie niespodziewanie pojawiła się tak długo oczekiwana kobieta. Ktoś jednak dotarł do niej i przekazał adres Bazylego. Dziwnym trafem oboje małżonkowie spotkali się w mieście i to w dniu, kiedy Bazyli, nosząc się z zamiarem porzucenia pracy na poczcie, znalazł mieszkanie. Małe, liचे, ale niezależne, "własne".

Libuszka przyjechała sama. Małą córeczkę pozostawiła u rodziców. Bała się zabierać dziecko ze sobą, nie wiedząc czy znajdzie męża i czy będzie miała gdzie się zatrzymać. Zamieszkali więc już w nowym mieszkaniu i oto Bazyli przybiegł powiadomić mnie o radosnej nowinie. Zerwałem się natychmiast z posłania i pobiegliśmy razem na Radziwiłłowską, gdzie mieściło się owe mieszkanko.

Libuszka była w doskonałej formie. Zawsze wesoła, pogodna, w najgorszych nawet momentach nie traciła dobrego samopoczucia. Teraz także nie widać było po niej ani trudów podróży, ani ciężkich przeżyć zabużan w ostatnim roku. Opowiadaniom nie było końca. Ale najważniejszą nowiną było, że do Lublina wybiera się nasza mama i to w najbliższym czasie. Naturalnie przez zieloną granicę, bo linia Bugu już została zamknięta i bez wymaganych dokumentów nikogo nie puszczano. Ten ktoś, nie pamiętam już kto, co powiadomił Libuszkę o miejscu pobytu Bazylego, powiedział także moim rodzicom, że jestem z bratem w Lublinie, a mama natychmiast podjęła decyzję wyjazdu do nas w odwiedziny. Tego samego wieczora zapadła w domu przy Radziwiłłowskiej inna decyzja: obaj od dziś rzucamy pracę na poczcie i obaj wprowadzamy się do nowego pomieszczenia. Mieszkanko znalezione przez Bazylego składało się z dwu izb: obszernej kuchni i małego pokoiku. Ustaliliśmy, że młode małżeństwo zamieszka w pokoiku, ja zaś będę spał w kuchni. Naturalnie, na podłodze, bo łóżek nie było. Następnego dnia mieszkałem już u pp. Bazylów.

Ucieszyła mnie wiadomość, że wszyscy w mojej rodzinie są zdrowi, czują się nieźle, podobno trochę chorowali, jak zresztą

wszyscy niemal wysiedleńcy spod Kowla podczas oblężenia tego miasta przez armię rosyjską. Było to ciężkie przeżycie dla Zasmak czy Janówki i pozostałych okolicznych polskich wsi, ale na szczęście mają już to nasi poza sobą. A zamierzony przyjazd mamy i cieszył, i napawał obawą, bo bez formalnej przepustki czy czegoś w tym rodzaju można ^{być} narazić się na poważne następstwa. Dowiedziałem się od Libuszki, że nikt z mieszkańców zabużańskich wsi nie przyznaje się do tego, że ma synów lub kogoś bliskiego tu, w Polsce centralnej, zwłaszcza jeśli ten ktoś przybył tu z oddziałami partyzanckimi AK. Takie formacje "burżuazyjne", jak je określali "towarzysze", uchodziły za wrogie, a rodziny takich parzyzantów ponosiły za to konsekwencje. Czekaliśmy więc mamy z mieszanymi uczuciami i bijącym sercem.

Nadszedł wreszcie ów szczęśliwy dzień i to dość szybko. Nie było mnie w tym czasie w domu. Ktoś powiedział mi na ulicy, że mama przyjechała. Popędziłem czym prędzej "pod trójkę", bo tak zaczęliśmy nazywać dom przy Radziwiłłowskiej, jako że nosił numer trzeci. Zastałem mamę w doskonałym zdrowiu i świetnym samopoczuciu. Nic się nawet przez ten rok nie zmieniła. Mimo pierwszej w życiu tak dalekiej podróży nie była wcale zdenerwowana i twierdziła, iż nie jest nawet zmęczona. Przez granicę przejechała naturalnie bez zezwolenia, na gapę. Po prostu dała wódki sowieckim żołnierzom i ci przedzwarcowali mamę bez żadnych kłopotów. Uśmieliśmy się serdecznie, gdy opowiadała całe to zdarzenie.

Sowieci jechali na front w okolice Warszawy. Początkowo trochę grymasili, twierdząc, że to niebezpieczne, że obawiają się narazić swoim władzom granicznym, ale prędko zmienili zdanie, kiedy z podróżnej torby mamy ukazała się butelka z alkoholem. Rozejrzeli się tylko, czy nikt z niepowołanych nie patrzy w ich stronę, potem wciągnęli mamę do wagonu, oczywiście towarowego i kazali usiąść gdzieś w kącie, z dala od drzwi. Kiedy pociąg zbliżał się do Buga, komenderujący grupą kazał mamie włożyć na siebie ruski wojskowy "szyniel" i udawać, że twardo śpi. Pokazali nawet jak ma się ułożyć, jak schować pod podany koc głowę, nogi też czymś nakryli, obok położyło się paru innych żołnierzy i wszyscy udawali, że są pogrążeni w twardym, głębokim śnie. Mama twierdziła, że nie bała się wcale, ponieważ w razie wpadki odpowiadać będą Rosjanie, bo przecież oni przemycali przez granicę obcego człowieka, może nawet szpiega i na pewno im głównie zależy, by eskapada się udała. Skoro wzięli na siebie taką odpowiedzialność, będą na pewno starali się wyjść z tego cało.

Gdy przed Bugiem wszedł do wagonu kontrolujący strażnik, dowódca gronkim głosem zameldował ilość swoich podkomendnych. Jednym ciągiem składanego meldunku zapytał, czy ma budzić śpiących? I już zrobił nawet krok w kierunku leżących.

- Nie, nie trzeba, - usłyszała spod koca mama. - Niech śpią, na froncie muszą być wypoczęci!

Świecąc latarką elektryczną, bo była noc, strażnik w głos policył leżących. Liczba podana przez dowódcę zgadzała się i to kontrolerowi wystarczyło. Przeszedł do następnych wagonów, gdzie odbywała się identyczna ceremonia, a ledwie pociąg ruszył, poderwali się jutrzejsi frontowcy ze śmiechem i hałasem i rozpoczęła się uczta, zakrapiana radośnie otrzymaną "horyką". Byli wdzięczni mamie i bardzo zadowoleni z faktu, że to właśnie do nich "Palaczka" zwróciła się z taką sprawą. W ten sposób bez żadnych przygód dojechała mama do Lublina.

Przez całe popołudnie i późny wieczór słuchaliśmy opowiadania o zdarzeniach w czasie, gdy nas w Zasmykach nie było. O początkach oblężenia Kowla, o usadowieniu się w naszym domu jakiegoś wyższego sztabu, potem o ewakuacji całej wsi aż pod Kiwerce do Mierosławki, o ciężkim tyfusie, jaki nawiedził prawie wszystkich z wyjątkiem naszego ojca, który opiekował się całą leżącą w gorączce rodziną, o wyczerpującym borykaniu się z chorobą w sytuacji gdy ani lekarza, ani leków, ani nawet dostatecznego odżywiania się. Jedyne szczęście, że przypadkowo trafił nasz ojciec do swojej stryjecznej bratowej, o której wcale nie wiedział, że tam mieszka. Było przynajmniej gdzie zgotować wody na herbatę, jakiej takiej zupy czy innego jadła. Cała okolica Kiwerce tak była zatłoczona, że często nie było gdzie umieścić furmanki i postawić koni, koczowali więc ludzie pod gołym niebem i żywili się suchym prowiantem zabranym z domu. A tyfus szerzył się w zastraszający sposób. Płacze, jęki, narzekania rozlegały się ze wszystkich stron. A potem powrót do ograbionych ze wszystkiego Zasmyk, ciężki trud utrzymania i wyżywienia rodziny, wreszcie aresztowanie naszego ojca przez NKWD i wielodniowe badanie; przede wszystkim żądano ujawnienia miejsca pobytu synów. Nasz ojciec nie przyznawał się, że poszliśmy do partyzantki. Twierdził uparcie, że Niemcy zabrali nas i wywieźli na roboty do Rzeszy. NKWD-ziści musieli jednak mieć dobre informacje od Ukraińców, bo nie wierzyli takiemu tłumaczeniu, ale trafiwszy na stanowczość i nieustępliwość naszego ojca i nie mogąc niczego z niego wydębić, wypuścili aresztowanego na wolność. Znacznie dłużej trzymali naszego najbliższego sąsiada, Bernarda Wardulińskiego, starego kawalera, który wyczerpany psychicznie

przez kilka lat nie mógł odzyskać równowagi ducha. Do końca życia pozostał zupełnym samotnikiem, mieszkając w lesie nad jeziorem w pobliżu Włodawy.

Trzeci aresztowany, Bronisław Zamościński, u którego kwatrował sztab naszego oddziału jeszcze w czasach samoobrony, tj. w lipcu i sierpniu 1943 roku, wrócił z głębi Rosji dopiero po 1956 roku i to tylko dzięki usilnym staraniom swej córki Joanny. Zniszczony organizm nie długo potrafił opierać się różnym chorobom i dolegliwościom. Mimo niezbyt zaawansowanego wieku żył jeszcze tylko parę lat.

Nasz ojciec oraz siostry, z wyjątkiem najstarszej małej/ jeszcze dziewczyny, czuły się już dobrze. Tyfus nie pozostawił na nich żadnych śladów. Mówiło się już wtedy powszechnie o wysiedlaniu Polaków za Bug, ale były to jeszcze tylko pogłoski, oficjalnie władze sowieckie nie wypowiadały się na ten temat. Nasza mama zastanawiała się co robić, gdy do takiej konieczności dojdzie. Radziliśmy, aby nie wyjeżdżali, aby wszyscy Polacy starali się pozostać na swej ojcowiznie, lecz przeżycia ostatnich miesięcy, a także wcześniejsze rzezie ukraińskie strasznie ludzi wyczerpały i dokuczyły każdemu. Mama była zdania, że gdy taki rozkaz padnie, pewnie przytłaczająca większość Polaków Wołyni opuści. Tak się zresztą stało i teraz Rosja może głosić światu, że na ziemiach tych mieszkają już sami tylko Ukraińcy, choć wydaje się, że procent rodowitych Rosjan też jest tam niemały. Stara, znana od lat metoda!

Dowiedzieliśmy się także, że nie wszyscy zasmycczanie powrócili z partyzantki do domu. Zginęło wprawdzie niewielu, lecz prawie wszyscy ci, którzy ze Skrobowa wrócili prosto do domu, zostali natychmiast wcieleni do wojska jako poddani rosyjscy, tak że na miejscu pozostały głównie kobiety, dzieci i ludzie w bardzo już podeszłym wieku. W takich warunkach trudno jest pracować, utrzymać rodzinę, myśleć o jakiegokolwiek przyszłości. To także stanowiło poważny argument przemawiający za wyjazdem "do Polski". Również nasz najmłodszy brat, Antoni, który jeszcze przed przejściem Dywizji na Polesie powrócił do domu, służy już od dawna w wojsku. Los Polaków zabużańskich był nie do pozazdroszczenia.

Z nabyciem podstawowych towarów codziennej potrzeby także są olbrzymie trudności, co męczy w równym stopniu Polaków jak i Ukraińców. Sklepy wiejskie świecą pustką i to w dosłownym znaczeniu. Kowel w gruzach, ocalało zaledwie kilk. domów. Wspaniała kościół-Pomnik, dopiero co wybudowany, też zniszczony do fundamentów. Ludzie muszą obywać się bez wszystkiego. Głodują po trosze, cierpią na

brak soli, nafty, chleba, nie mówiąc już o cukrze, herbacie czy innych artykułach, które uważa się tam teraz za luksus "jaśniepański". Co do naszego ojca to odczuwa najdotkliwiej brak tytoniu. Był zawsze namiętnym palaczem. Próbował kilka razy odzwyczaić się od tego nałogu, lecz zwasze bez skutku. A w sprzedaży były tylko t.zw. "kuryjski", czyli grubo krajane żyły z liści tytoniowych. A i tego nie można było nabyć każdego dnia i w pożądaney ilości. Toteż nasz tata prosił usilnie o kupno tu, w Lublinie, jakiegokolwiek "machorki", bo już miejsca dla siebie znaleźć nie może, tym bardziej, że życie upływa w stanie ciągłego napięcia nerwów. Przyrzekłem mamie sprawę tę załatwić pomyślnie.

Mama bawiła u nas tylko dwa dni. Chcieliśmy zatrzymać ją dłużej, pokazać Lublin, lecz śpieszyła się do domu, gdzie młodsze siostry i ojciec nie bardzo mogli dać sobie radę. Niepokoiła się także i tym, że wojna może zawsze przynieść trudne do przewidzenia niespodzianki, sytuacja jest niepewna, kto wie, co się jutro może przydarzyć. Jedyne Ukraińców już się nie bano. Prawie wszystkich miejscowych Rosjanie deportowali w głąb Rosji, a na ich gospodarstwach zaczęli osiadać ukraińscy przybysze z lewej strony Buga, a ci nie wykazywali wobec Polaków uczuć wrogich, owszem, wspominali bardzo dobrze współżycie z ludnością polską i takimi obiecali pozostać dalej. Tak jest tam już do dziś. Tylko sporadycznie można spotkać rodzinę ukraińską, która w tym samym miejscu gdzie mieszkała przed wojną, mieszka i obecnie. Wymieszano ludność tak dokładnie, że zostały zerwane wszelkie więzy rodzinne, uczuciowe, polityczne i inne. Byłem tam po wojnie dwa razy. Spotkałem jednego tylko kolegę narodowości ukraińskiej, nacjonalistę, co można było stwierdzić już po pierwszych zdaniach rozmowy, lecz wspominającego czasy polskie prawie z rozczerzeniem. Co się stało z autorami krwawych rzezi w imię "samostijnej Wikrainy" - nie wiadomo. Obawiam się, że większość z nich, którzy zdołali zachować życie, stała się już pewnie "nastojaszczymi Rosyjanami".

W drodze powrotnej odprowadziłem mamę do Rejowca, gdzie wcześniej widywałem duże plantacje tytoniu. Kupiłem sporą paczkę liści, mama nasza zapakowała je do podróźnej walizki i wsiadła do wagonu pociągu towarowego, jadącego za Bug. Jak i poprzednio pociąg obskubowali Rosjanie. Znowu za cenę jednej butelki wódki umieścili mamę w wagonie wyładowanym tarcicą, widocznie z polskich składów, zamaskowali odpowiednio, tak że strażnicy graniczni niczego nie zauważyli, a za Dorohuskim umieścili mamę w "ciepłuszce", czyli wagonie towarowym zaopatrzonym w piecyk do ogrzewania się i warzenia czaju.

Bez żadnych komplikacji i złych przygód nasza mama dojechała do Kowla, skąd do Zasmyk droga była już krótka i dobrze znana. Po kilkunastu dniach otrzymaliśmy list o pomyślnie odbytej podróży.

Któregoś dnia idąc ulicą Kołłątaja zobaczyłem zbliżającego się oficera Ludowego Wojska. Nie zwracałem początkowo uwagi na niego, bo po ulicach Lublina kręciło się w tym czasie mnóstwo różnych sztabowców. Lecz gdy był ode mnie kilka kroków, zatrzymał się nagle. Ja też przystanąłem, ponieważ oficer był moim dobrym znajomym. Ale w mundurze wyższego oficera? Tu? Przyznam się, że trochę zbaraniałem.

Przechodniem w mundurze był Stefan Smarżewski ze Stefanówki, ze wsi należącej do naszej zasmyckiej parafii. Od początku należał do oddziału "Jastrzębia" w stopniu plutonowego. Był starszy ode mnie o kilka lat. Cieszył się względami naszego dowódcy, spełniał różne ważniejsze funkcje, robił wrażenie dobrego żołnierza i Polaka. Gdy jednak przyszły ciężkie chwile na Polesiu, gdy przycisnął głód, a nieprzyjacielskie kule gwizdały nad głową bez przerwy, nasz "Sztacheta", bo taki pseudonim nosił ów żołnierz, nagle zniknął. Nikt nie przywiązywał do tego większej wagi, ponieważ co kilka dni ktoś nie wytrzymał nerwowo i ulatniał się z Dywizji w poszukiwaniu chleba albo bezpieczniejszego miejsca. Nigdy nie przybrało to charakteru masowego, ale bywało. Dziwiłem się tylko, że i on nie wytrzymał, bo byłem zdania, że jest twardym człowiekiem. Później, kiedy przeszliśmy na Lubelszczyznę, niektórzy wracali do swych jednostek, ale o "Sztachecie" było głucho. Nie pojawił się do samego rozbrojenia. I oto teraz...

Chwilę patrzyliśmy na siebie ze zdziwieniem. Podszedłem bliżej i wyciągnąłem rękę:

- Witam pana, panie Stefanie! - powiedziałem. - Co za spotkanie po tak długim czasie! To pan nadal w wojsku?

- Tak. A ty co robisz?

Patrzył mi badawczo w oczy, to znów przenosił wzrok na moje podniszczone już nieco szare robocze ubranie. Widać było, że nie ucieszył się z tego spotkania.

- Szlifuję lubelskie bruki - uśmiechnąłem się. - Cóż teraz można robić innego?

- Nie szkoda ci czasu? - powiedział z wyrzutem pan major, taki bowiem stopień widniał na naramiennikach. - Czemu nie przyjdiesz do nas, do wojska?

- Nie mam już ochoty wojować. Zresztą zamierzam pójść do szkoły, gdy tylko nauka ruszy. Myślę, że to będzie lepsze.

- Nie bądź głupi, chodź do nas! - strofował mnie starszy kole-

ga. - Na naukę, jak będziesz chciał, znajdziesz czas po wojnie. A teraz nie trać czasu. Pomogę ci i prędko będziesz oficerem, a potem przekonasz się, że nic lepszego nie możesz zrobić. Wykorzystaj okazję, bo druga taka może się nie przytrafić!

- A pan gdzie przebywa stale, tu? W Lublinie? - spytałem zamiast odpowiedzi. - Gdybym się zdecydował, to gdzie pana szukać?

- Tego ci nie powiem - mówił jakby urażony. - Jeżeli chcesz, to od razu możemy pójść gdzie należy. A jak nie, to nie!

Nie zgodziłem się. "Sztacheta" odszedł prawie ~~urazony~~ zagniewany. Myślał pewnie, że jego propozycję przyjmę z entuzjazmem i wyrazami wdzięczności. Wcale jednak tej decyzji nie żałowałem. Po prostu nie miałem do tego człowieka zaufania. Potem okazało się, że miałem rację. Poszedł na obcą służbę. Z wojska wyszedł w randze pułkownika. W Zasmokach nie wyglądał na kandydata do takiej rangi, tym bardziej, że nie liczył nawet szkoły średniej. Tylko mimowolnie wypowiedziane słowa o zamiarze pójścia do szkoły zaczęły odtąd mnie prześladować. Nikomu o tym nie mówiłem, ponieważ nie widziałem żadnej możliwości, głównie z powodów materialnych, ale już myśli o nauce nie wyzyłem się.

W niedługi czas po tym niezbyt miłym spotkaniu, przyszło następne, o wiele ciekawsze i jeszcze bardziej niespodziewane. W dodatku prawie w tym samym miejscu. Nie wiem dlaczego lubiłem spacerować ulicami Kołkåtaja, Peowiaków, Narutowicza. Może dlatego, że przypominały mi niedawne czasy, gdy było tu sporo kolegów oraz byłych dowódców, może cisza i niewielki ruch, jaki panował na ~~tych~~^{tych} ulicach, pozwalał na spokojne rozmyślanie w wolnych godzinach o wszystkim, czym wtedy żyliśmy. Dość że idąc raz obok bramy prowadzącej na podwórze i do gmachu, gdzie mieściło się dowództwo armii polskiej, mijając już prawie wartownika obejrzałem się jeszcze na niego i stanąłem jak wryty. Miałem przed sobą ni mniej ni więcej, tylko swego najmłodszego brata - Antosia, tego, który poszedł do domu tuż po rozbiciu batalionu "Siwego" i opuszczeniu żołnierzy przez dowódcę. Do zdarzyło się, że dwaj oficerowie, dowódcy batalionów, w najtrudniejszym momencie odeszli od swego wojska. Była to jedyna plama na naszej Dywizji. Porucznicy "Siwy" i "Olgierd" zasłużyli sobie wtedy na sąd polowy i chyba najwyższy wymiar kary. Brat mój wraz z grupą swych kolegów udali się za Turie na stronę radziecką i, jak mówiłem wyżej, zostali natychmiast zmobilizowani do Kościuszkowców. Nic o nim nie wiedziałem. Nagle zobaczyłem go na warcie przed sztabem. Był dość mizerny, raczej smutny jak na żołnierza i zdziwił się nie mniej ode mnie. Wiele razy przechodziłem tamtędy i dopiero dziś... Funkcja

przez Antosia pełniona nie pozwoliła na specjalne czułości powitalne: przez bramę ciągle wchodzili i wychodzili różni oficerowie i nawet nie bardzo bezpiecznie było rozmawiać dłużej z wartownikiem. Umówiliśmy się na spotkanie w jakimś spokojnym miejscu, gdzieżby jeśli nie "pod trójką"? W każdym razie radości było dużo. Późniejsze spotkanie już na neutralnym gruncie potwierdziło pierwsze spostrzeżenie, że mianowicie samopoczucie wojaka nie jest najlepsze. Antos był zawsze pełen dobrego humoru, roześmiany, pewny siebie. Teraz wydawał się jakiś przygaszony, nawet niezbyt skory do zwierzeń, opowiadań o swej drodze wojskowej, wojennych przygodach. Wkrótce został odkomenderowany gdzieś dalej i straciliśmy znowu ze sobą kontakt. Zobaczyliśmy się dopiero wtedy, gdy po demobilizacji przyjechał do Lublina, aby zacząć naukę w Liceum im. Zamojskiego przy Ogrodowej. Postarałem się, by zamieszkał razem z nami w internacie, o czym zresztą będzie mowa później. Ukończył politechnikę warszawską, pracował całe życie w budownictwie, teraz odpoczywa jako emeryt w Opolu, bawiąc wnuki i spędzając wszystkie letnie dni na działce przy warzywkach i krzewach owocowych.

Skoro już mowa o spotkaniach, warto odnotować jeszcze jedno - nie wiem jak je określić - przyjemne, czy smutne? Tylko że to ostatnie zdarzyło się już znacznie później.

Było to we wrześniu 1946 roku. W Świdniku miały odbyć się pokazy lotnicze z okazji święta lotnictwa. Niewiele się namyślając postanowiliśmy w kilku pójść na ów festyn. Parę kilometrów pieszej wędrówki przyda się i dla zdrowia. Zresztą i tak nie mieliśmy tego dnia nie do roboty, była bowiem niedziela.

Przeszliśmy już chyba połowę drogi, gdy nagle nadjechał z tyłu samochód, otwarty szewrolet, w którym siedziało kilku oficerów milicji. Jakież było nasze zdziwienie, gdy wśród siedzących ujrzeliśmy byłego naszego dowódcę plutonu w 27 Wołyńskiej Dywizji, plutonowego "Chana". Zdziwienie nasze jeszcze wzrosło, gdy z naramienników "Chana" zabłysły szlify majora. W aucie zajmował centralne miejsce i widać było, że jest najwyższy rangą wśród siedzących kolegów. On też poznał nas natychmiast, ale samochód jechał dość szybko, wzniecał tumany kurzu /była to droga nie brukowana/ i trudno było o dłuższą rozmowę. Nasz niedawny dowódca zdołał wychylić się tylko w naszą stronę i krzyknąć:

- Przyjdźcie do mnie do Komendy Milicji! Przy 3-go Maja! Pogadamy! - I wóz potoczył się dalej.

Po paru dniach, mimo pewnego dreszczyku, udaliśmy się pod

wskazany adres. Wspaniałe gabinet, puszyste dywany, eleganckie biurka i fotele. Na ścianach portrety nowych dostojników oraz dyplomy uznania dla "Towarzysza Borysa Warfołomiejewa", głównie za skuteczną walką ze zbrojnym podziemiem. Komendant Wojewódzki MO, tę bowiem funkcję pełnił plutonowy "Chan", rozmawiał z nami nad wyraz przyjaźnie, tłumaczył, że jego tu obecność jest potrzebna także i nam, prosił wreszcie, by śle o nim nie myśleć, gdyż warunki kazały mu tu się znaleźć. Oświadczył także, że gdybyśmy czegoś potrzebowali, możemy zawsze liczyć na jego pomoc. Opuściliśmy wytworny gabinet nie bardzo wiedząc, co o tym wszystkim myśleć. Nie łatwo jest przecież poznać wnętrze duchowe człowieka.

Dziś kolega Borys, już od lat emeryt, działa w naszym Środowisku AK i cieszy się dobrą opinią współpracowników.

3. Pozostało tylko imię...

Już pod koniec sierpnia 1944 roku gazety podały wiadomość o tworzeniu II Armii Wojska Polskiego. Jej dowódcą mianowany został generał Karol Świerczewski. Nowa armia miała powstać z zmobilizowanych paru roczników na terenach wyzwolonych spod niemieckiej okupacji. Nie było jednak wiadomo, które roczniki będą podlegały mobilizacji. Życie biegło więc normalnym trybem.

Ten normalny tryb nie był jednak całkowicie normalny. Stałe z prasy i radia dowiadywaliśmy się coraz to nowych bredni o AK. Zaczęły pojawiać się obraźliwe plakaty, ukazujące żołnierzy Armii Krajowej jako współpracowników Hitlera, "stanie z bronią u nogi" obmierzło już do ena, najróżniejsze kłamliwe epitety uderzały bez przerwy w naszą godność Polaków i żołnierzy. A za kratami siedzieli najlepsi nasi oficerowie i podoficerowie, niektórym, najbardziej zasłużonym, groziły poważne wyroki. A obok tego "zapłutego karła reakcji" rozklejano plakaty sławiące na wszelkie możliwe tony armię sowiecką i Ludowe Wojsko Polskie. "Nie matura lecz chęć szczerą zrobi z ciebie oficera" miało być główną zachętą do wstępowania w szeregi tworzącej się II Armii. Biłem się z myślami, co zrobić, gdy przyjdzie kolej i na mój rocznik? Zgodzić się spokojnie z losem, czy też szukać jakiegoś wyjścia? Wpajano w nas przez lata przekonanie o potrzebie służenia Ojczyźnie, oddania jej wszystkiego, z krwią własną włącznie. I tak dotąd robi-

liśmy. Niemało krwi przelalała 27 Wołyńska Dywizja, oznaczyła gęsto swój bojowy szlak mogiłami poległych. Ale teraz sprawa przyjęła nowy zupełnie obrót, zaczęto wdeptywać nas w błoto, a służbę w nowej armii zaczęto zalecać jako rodzaj rehabilitacji za dotychczasowe błędy. Trudno było znieść tego rodzaju poniżenie. Nic dziwnego, że myśl o służbie wojskowej w miarę upływu czasu stawała się coraz bardziej obca, niemila.

Gdy jednak przyszła kolej na mój rocznik, niewiele namyślając się poszedłem do wyznaczonej Komendy. Niech się dzieje wola nieba. I tu stwierdziłem ogólny bałagan. Nikt nie wie, gdzie się ma stawić, kiedy, o której godzinie? Zaczęto wzywać niektórych imiennie, spisywać personalia, zwalniać, innych brano na komisję, ale dlaczego postępowano w ten sposób, jakimi kryteriami kierowano się dokonując takiej selekcji - nikt nie był w stanie odgadnąć. Pospacerowałem z godzinę po holu, pozaglądałem do różnych drzwi, obejrzałem wiszące plakaty o bardzo ideowej treści, wyszedłem potem na plac, wreszcie, sam nie wiem dlaczego, skierowałem się do bramy i poszedłem do miasta. Widziałem zresztą, że przede mną robiło to wielu innych. Gdy już byłem na Krakowskim Przedmieściu, wmieszany w gęsty tłum, podjąłem decyzję: nie wracam już do urzędu werbunkowego. W dodatku spotkałem któregoś z kolegów, który myślał tak samo jak ja, tylko miał już gotowe wyjście:

- Wiesz? Od dziś nazywan się... - i tu wymienił swe nowe nazwisko, którego i tak nie znałem, bo przecież znaliśmy się tylko z pseudonimów. - Zapamiętaj też sobie, że urodziłem się o cały rok później - dokończył z uśmiechem i poszedł w swoją stronę. Pamiętam do dziś, że było to przed gmachem restauracji "Europa", skąd odjeżdżaliśmy kilka miesięcy temu w kierunku Warszawy.

"Trzeba zrobić tak samo jak on", pomyślałem, a od pomysłu do jego wykonania było wtedy niezmiernie blisko. I natychmiast zacząłem szukać w myśli stosownego nazwiska. Chciałem koniecznie, żeby coś znaczyło, albo coś mi przypominało. Wtedy wpadła mi do głowy melodia śpiewanej często w szkole w Zasmakach^(Pieśni): "Pamiętam ciche, jasne, złote dni" i jej autor. A czemuż by nie? Nigdy nie będę pisał pieśni, ale zawsze myślą będę tam... Zawsze będę pamiętał te ciche, jasne dni. Nazwisko kompozytora, noszone na co dzień, przypomni mi w najcięższych nawet chwilach rodzinną wieś, zamkniętą w symbolu tej melodii. I tak zostało.

Bez chwili namysłu udałem się na poszukiwanie nowego zajęcia i nowego dachu nad głową. Na szczęście zarejestrowany byłem tylko na

poczcie. "Pod trójką" wcale się nie meldowałem, ale kto wie, czy nie przyjdzie komuś do głowy szukać mnie tam? Lepiej gdzieś oddalić się. Tylko dokąd się udać? Należy znaleźć takie miejsce, żeby móc pracować spokojnie, gdzie co nieco będę znał się na pracy. I udałem się za rogatki lubartowskie, bo tę część lubelskich przedmieść znałem najlepiej, a poza tym widziałem tam kiedyś kilka gospodarstw ogrodniczych. Ogrodnicy zawsze potrzebują ludzi do pracy, nawet po główną sezonie. Mają szklarnie, czynne przez cały rok. Dlaczego nie mógłbym tam znaleźć zatrudnienia?

Nie wiem dlaczego opuściłem kilka widocznych z daleka obiektów, jakich poszukiwałem i wstąpiłem dopiero do niepozornego domu, wprawdzie z cegły, ale patłerowego, ginącego w pnączach dzikiego wina, z małą szklarenką w lewym rogu podwórza. Właściciel o ś szczerą, dobrej twarzy, wysoki i lekko pochyłony, spojrzał mi badawczo w oczy.

- Pracy pan szuka? I aż tak daleko od miasta? Przecież niedługo ruszą fabryki, potrzeba ludzi w urzędach, a pan do ogrodu?

- Lubię ogrodnictwo. Nawet miałem przed wojną zostać ogrodnikiem - odpowiedziałem. - W ogóle lubię pracować w roli, ze wsi pochodzę i pewnie dlatego.

- A co pan robił do tej pory?

- Najpierw byłem na Majdanku - zacząłem znaną piosenkę - potem szukałem rodziców, trochę pracowałem na poczcie, ale to nie dla mnie. Dopóki nie będę mógł odszukać rodziców, coś muszę robić.

Kiedy skończyłem, gospodarz wpatrując mi się ciągle w oczy, powiedział nagle:

- A czy nie uważa pan, że lepiej byłoby powiedzieć mi tak: byłem w AK, zostałem rozbrojony, boję się przebywać w mieście i szukam jakiejś bezpiecznej meliny. No, niech pan powie szczerze.

Po chwili milczenia odezwałem się nieśmiało:

- Tak, ma pan rację. - I zamilkłem. Nie wiedziałem, czy dobrze robię przyznając się do "grzechu" nieznanemu człowiekowi, lecz cofnąć się już nie mogłem. Niech się dzieje, co chce...

- No, widzi pan! Tak trzeba było zacząć, po co te Majdanki, rodzice itd.? Znam dobrze sytuację młodych ludzi i wiem, chłopiec w pana wieku nie szukałby pracy gdzieś na peryferiach miasta. W porządku więc. Ma pan jakieś dokumenty?

- Żadnych. Pan wie, że w partyzanckich oddziałach dokumentów się nie nosiło.

Nie mogłem już pokazać posiadanego zaświadczenia o Majdanku. Ale mój rozmówca wcale się tym nie zdziwił.

- Niech mi pan napisze swoje dane personalne na kartce. Jutro pójdę do naszego związku i zapiszę pana na członka. Otrzyma pan zaraz legitymację i to na razie wystarczy, a potem zobaczymy.

W ten sposób usankejonowałem swoje nowe nazwisko. Imię pozostało bez zmian.

4. W ogrodniczym gospodarstwie

Po dwóch dalszych dniach miałem już ważny dokument z fotografią, pieczęciami, podpisami. Stałem się o trzy lata młodszy, a co najważniejsze - mogłem teraz spokojnie poruszać się po ulicach Lublina. Unikałem tylko spotkania ze swym dawnym szefem z poczty. Kilka razy przeszliśmy obok siebie, grzecznie sobie ukłoniliśmy się, ale do rozmów na szczęście nie doszło. Kolegom i znajomym zwierzyłem się ze wszystkiego i prosiłem, aby zapamiętali dobrze nowe nazwisko. Sam zresztą miałem z tym niemało kłopotu, gdy zapytany o personalia musiałem przez chwilę zbierać myśli, aby się nie pomylić. Z czasem wszystko się dobrze ułożyło.

Mój nowy pryncypał okazał się człowiekiem wyjątkowo uczciwym, perzadnym i doskonale rozumiejącym wytworzoną sytuację. Miał własny uczciwy pogląd na wszelkie PKW-ony, związki i władze, ale ponieważ nie należał do ludzi zapalczywych, wojujących, dlatego nie zdarzyło mu się popaść w konflikt z kimkolwiek, co mi wtedy bardzo było na rękę. Można mu było ufać pod każdym względem. Miał młodą przystojną żonę, bardzo miłą i kulturalną, dwoje małych dzieci, staruszkę matkę i służącą Kasie, starą pannę, okrutnie brzydką, lecz wyjątkowo pracowitą, uczciwą i przywiązaną do rodziny chlebedawców jak do własnej ~~rodziny~~. Staruszka matka przez cały sezon codziennie wiozła na targ duży wóz - furgon, pełen warzyw, kwiatów i wracała z pokaźnym woreczkiem banknotów już nowej emisji.

Na pytanie ile żądam za swą pracę i czy wypłaty mają być co tydzień, czy co miesiąc, a może chcę pracować na akord, odpowiedziałem, że nie żądam niczego. Wystarczy, jeśli otrzymam wyżywienie i dach nad głową, a pracować będę w miarę swych możliwości i umiejętności. Prosiłem tylko, aby, jeśli zajdzie potrzeba, nowy szef pozwolił mi wyjechać na dzień, dwa, a może i na dłużej. Spodziewałem się powrotu rodziców, co pociągnęłoby za sobą koniecz-

ność przerwania na jakiś czas pracy, a może i całkowicie. Wytworzona bowiem sytuacja nie pozwoliłaby mi teraz na stałe przebywanie w rodzinnym domu. Prostowanie wszystkiego też było niemożliwe.

Gospodarz zgodził się na wszystko bez żadnych zastrzeżeń.

- Ile razy będzie pan potrzebował gdzieś wyjechać, proszę to robić bez jakichkolwiek skrupułów. Jest pan całkowicie wolnym człowiekiem. Dobrze rozumiem sytuację takich jak pan.

Umowa stanęła. Zamieszkałem na nowym miejscu. Pracowałem spokojnie, bez ocągania się, rzetelnie i uczciwie, gospodarz nigdy nie ponaglał, wszyscy byli dla mnie dobrzy, uprzejmi, na niczym mi nie zbywało. Zdarzało się przy tym, że gdy wychodziłem w wolnych godzinach do miasta, gospodarz najpierw pytał, czy mam na drogę gotówkę, a na moją odpowiedź, że nie jest mi potrzebna, bo nie zamierzam robić żadnych zakupów, pan Stanisław, bo takie imię nosił nasz zwierzchnik, brał mnie krotchwilnie za rękę, ciągnął do pokoju, otwierał szufladę, wkładał rękę do jej wnętrza i wyciągał pełną męską garść banknotów. Potem bez słowa wciskał mi je do kieszeni. Nie pomagały protesty, próby oddania pieniędzy z powrotem. Pan Stanisław miał na to jeden argument:

- Panie Leonie - mawiał. - Na pewno ma pan jakąś dziewczynę, może kolegów, przyjaciół, zechce pan zaprosić ich na herbatkę, może i kieliszek czegoś mocniejszego, będzie pan więc czekał, aż panu postawią? Nie lepiej jak pan to zrobi? Młody człowiek musi coś mieć w kieszeni na wszelki wypadek.

Sytuacja taka powtarzała się regularnie, ile razy wychodziłem z domu do miasta.

Po około dwóch tygodniach pracy w ogrodzie i w szklarni spotkałem na ulicy starszego kolegę z Dywizji, plutonowego z cenzusem, "Emila". Przed wojną był nauczycielem w szkole powszechnej kilka kilometrów od Zasmyk. W naszej kompanii partyzanckiej pełnił nieoficjalną funkcję instruktora kulturalno-oświatowego. Uczył nas piosenek, pisał teksty, niektóre przerabiał, dostosowując je do naszej sytuacji, podkładał je najczęściej pod znane melodie i wieczorami śpiewaliśmy na kwaterach często długo w noc. Piosenki te wiązały nas ze sobą nie gorzej niż wspólne walki, dole i niedole. A przy tym wszystkim był kolega "Emil" odważnym żołnierzem i znakomitym kompanem. Dowiedziawszy się, że pracuję w ogrodzie i to w bardzo kulturalnej rodzinie, zapalił się chęcią zaangażowania się do tej samej pracy.

- Pogadaj, Leon, z szefem. Może i dla mnie znajdzie zajęcie. I tobie będzie różniej i ja nie będę włóczył się bezczynnie po uli-

cach tego "koziego grodu". Pogadaj!

Pogadałem już nazajutrz. Wytłumaczyłem wszystko, co i jak. Szef bez chwili namysłu oświadczył krótko:

- Zrobione. Tylko spać musi pański kolega, choć to nauczyciel, tak jak i pan _ na sianie, bo w domu, sam pan widzi, miejsca nie ma. A w zimie, jeśli zechcecie zostać, - pomyślimy. Może przychodzić pański kolega choćby i od dziś.

Tego jeszcze wieczoru pan "Emil" - Mieczysław Isański, sprowadził się do naszego zakładu. Od razu zrobiło mi się raźniej i weselej. Już wtedy każdy niedawny partyzant wołyński odnosił się do drugiego jak do brata.

W drugiej połowie października sprowadził się do nas jeszcze jeden lokator, ruski pułkownik. Tym razem nie pytano nikogo o zgodę. Przyjechał małym willysem wraz z kucharzem i kierowcą i pokazał tylko gospodarzowi jakąś kartkę. Gospodarz bez słowa wskazał mu mały pokój i wprowadził do niego gościa, jego podwładni zamieszkałi jak my - na sianie. Tylko w innym pomieszczeniu. Kierowca był Rosjaninem, kucharz Żydem. Każdego rana po śniadaniu pułkownik z kierowcą wyjeżdżali do miasta, kucharz najczęściej zostawał na miejscu i przygotowywał posiłki. Wszyscy trzej odnosili się do nas z ogromną rezerwą. Można było odnieść wrażenie, że stronią od jakiegokolwiek rozmowy, kontaktu. Niczego nigdy nie potrzebowali, o nic nie prosili. Cała znajomość sprowadzała się do rannego "zdrastujcie" i "dobrej noczy" wieczorem. Łatwo było też zauważyć, że i między sobą nie prowadzą żadnych przyjaznych, towarzyskich rozmów. Spełniają swoje obowiązki w milczeniu, czasem zamieniają jedyn nie jakieś krótkie zdania, operują półsłówkami, najprawdopodobniej o treści służbowej. Wyczuwało się u całej trójki wzajemną nieufność, może nawet uprzedzenie. Szczególnie rzucało się w oczy unikanie przez obu Rosjan - pułkownika i kierowcę - kucharza-Żyda. Ten natomiast może miał taki charakter, a może wynikało to z jakichś tajemnic, że lubił zaglądać, gdzie nie należało, wchodzić do mieszkania w najmniej oczekiwanym momencie, zbliżać się na bardzo bliską odległość, gdy się o czymś ciekawym rozmawiało. Poza tym żaden z ekipy nie używał nigdy ani jednego słowa po polsku, nie próbował używać. A wydawało się, że Żyd na pewno zna dobrze nasz język.

Pułkownik był młodym człowiekiem. Miał 28 lat. Powiedział to podczas pożegnania, o czym będzie mowa za chwilę. Wysoki, o mocnej atletycznej budowie i dużej, wiecznie rumianej twarzy. Co dzień

rano wychodził przed dom, rozebrany do połowy i odbywał poranną gimnastykę. Przez około 10 minut ćwiczył najróżniejsze skłony, wymachy ramion, skręty i przysiady. Potem mył się do pasa i włożywszy mundur, siadał do śniadania. Jadał sam. Jego podkomendni, po przestajęcy na oszczędnym umyciu najbliższych okolic nosa, także zabierali się do jedzenia, ale osobno, gdzieś na uboczu. Najczęściej siadali na czymś na dworze i tam spożywali posiłek, trzymając aluminiowe miseczki na kolanach. Spoglądali przy tym co chwila w kierunku okna, gdzie mieszkał dowódca, jakby próbując odgadnąć jego potrzeby i polecenia. Czuli przed nim widoczny aż nadto lęk. A przy każdym jego słówku prężyli się na baczność, potem biegiem wykonywali polecenia. Nasz gospodarz zapraszał kilkakrotnie pułkownika do swego pokoju na poczęstunek, na kawę lub herbatkę, czasem proponował kieliszek koniaku - wszystko na darmo. Pan pułkownik stanowczo odmawiał, tłumacząc się zwykle brakiem czasu, nawalem obowiązków, albo że jest po prostu nie głodny.

W początkach grudnia pułkownik po powrocie z miasta oświadczył niespodziewanie, że są to jego ostatnie dni w Lublinie. Jutro, pojutrze, najdalej za trzy dni wyjeżdża na front. Decyzja co do tego już zapadła. Mówił to bez entuzjazmu, jakby żal mu było zacisznego, spokojnego miejsca.

- Panie pułkowniku! - zwrócił się do gościa nasz ogrodnik. - Bez pożegnania nie może przecież nas pan opuścić! U nas mamy zwyczaj, że kiedy gość opuszcza dom, żegna się go uroczyście, a już konieczne trzeba przy tej okazji wypić choć po kieliszku wódeczki. Więc i pana musimy pożegnać po polsku, serdecznie, rozumie pan. Zgoda?

- Nu, charakter... - zgodził się po dłuższym namyśle pułkownik. - Jutro po południu, jak wrócimy z miasta. Tylko proszę nie mówić o tym moim żołnierzom - wskazał dyskretnie na kręcących się po podwórzu podwładnych.

Nazajutrz gospodarz zapytał jakby od niechcenia wysiadającego z auta oficera:

- Wszystko w porządku?

- Da, wsio charakter! - pułkownik udał, że słowa Polaka odnoszą się do spraw służbowych, może czegoś tak ogólnego, że nie trzeba nic więcej dodawać. A gdy kucharz i kierawca odeszli, dodał po cichu: - Zawtra ujeżdżajem. Użę ja pakuczył putiowku. - I poszedł do swego pokoju. Po chwili jednak ukazał się w drzwiach prowadzących do kuchni gospodarza.

- Słysz, Stanisław - powiedział przeciszonym nieco głosem, -

Ja zaraz wyślę swoich pomocników do miasta i na dłużej niż zwykle, wtedy pogadamy.

Gospodarz skinął głową na znak zrozumienia i zgody, a po paru minutach zawarował przed domem samochód i obaj żołdaci pojechali w stronę centrum Lublina. Pułkownik z triumfalną miną wszedł do izby gospodarzy.

- Tępier my swobodnyje, możem biesijedować. Moi pajechali k'ezortu i nie skoro prijeduć - mówił, jakby dokonał nadzwyczaj ważnego czynu.

Oficer sztabowy bał się swego własnego kucharza, nawet kierowcy, by nie donieśli odpowiednim władzom, iż utrzymuje kontakty z Polakami. Przypomniało mi się zdarzenie, jak późną jesienią 1939 r. kilku żołnierzy rosyjskich z podoficerem na czele przez cały dzień w pobliżu naszego domu, w Zasmykach na Wołyniu, budowało wieżę obserwacyjną. Pracowali od wczesnych godzin rannych. Dzień był zimny i od czasu do czasu wiało mżawką. Widać było, że wszyscy są zziębnięci, głodni i zmęczeni. Minęło południe, a oni wciąż nie schodzili z posterunku. Poszła więc mama nasza poprosić wszystkich do mieszkania, by coś zjedli, odpoczęli, wysuszyli się. Odmówili kategorycznie, twierdząc, że są syści i wcale nie przemokli. Ale następnego dnia, gdy przyszło ich tylko dwóch celem dokończenia budowy, a potem jeden z nich też gdzieś odszedł, ten który pozostał, wpadł na krótko do naszego mieszkania, spożył szybko podaną potrawę i jakby z lękiem wyszedł do roboty. Na pytanie dlaczego tak się śpieszy, odpowiedział, że mają surowy zakaz kontaktowania się z Polakami, nie wolno im korzystać z jakiegokolwiek zaproszeń i prowadzić jakiegokolwiek rozmowy. Okazało się teraz, że nie się od tamtych paru lat nie zmieniło.

Pułkownik kazał sobie podać "stakan" - szklanekę - bo małymi kieliszkami nie lubi pić. Nalał sobie pełną szklanicę, a pozostałym biesiadnikom polecił uczynić to samo. Gdy się wzbraniałem, bo bałem się takiej porcji, skarcił mnie najpierw, a później oświadczył, że byłoby nietaktem w stosunku do niego zachowywać się inaczej, niż sobie życzy. Skoro jest tu w charakterze gościa, należy mu się posłuch pod każdym względem.

- Niech się pan nie wzhrania - powiedział nasz gospodarz. - Jakoś pan to przeżyje, w najgorszym razie zaniesiemy pana na posłanie. - A gdy i kolega "Emil" poparł także ów głos, uległem. Pierwszy i ostatni raz w życiu wypilem szklanekę samogonu, bo ten okupacyjny trunk był ciągle jeszcze w użyciu. Teraz też.

Tymczasem nasz gość rozochocił się na dobre. Nalał sobie jeszcze jedną szklaneczkę okwity, wychylił do dna, zakąsił sporym kawałkiem kiełbasy i zaczął opowiadać o ucztach, jakich bywał uczestnikiem, o przyjęciach i zwyczajach panujących w jego kraju i o swoich przygodach frontowych. Jadł przy tym z apetytem, chwalił polskie wyroby wędliniarskie, z niezwykłym apetytem zajadał jajecznicę na szynce i beczku i w miarę jedzenia zakrapianego bez przerwy chaustami "binbru" język rozwiązywał mu się coraz bardziej. Po trzeciej pełnej szklance miał już dosyć w czubie, ale ku naszemu zdziwieniu panował nad sytuacją i swoim językiem. Przede mną świat cały kołysał się w swych posadach, dwaj pozostali biesiadnicy - gospodarz i "Emil" - pokrasnieli na twarzach i nie odzywiali się za wiele, nasz pułkownik nie milknął, jakby chciał sobie powetować te tygodnie milczenia, kiedy w ciągu dnia wypowiadał nie więcej niż dwa, trzy słowa. Teraz mówił bez przerwy, ale ciągle rzeczowo, logicznie, bez pijackiego przyśpiewu. Tylko coraz bardziej wyleśnie, serdecznie, a na nas patrzył z rosnącą czułością, jak gdyby miał przed sobą nie obcych, lecz własną rodzinę. W pewnym momencie spowaźniał nieco i zwrócił się do gospodarza.

- Słysz, Stanisław! - mówił wyłącznie językiem rosyjskim. - Ja znam, czto wy, Paliaki charoszyje patrioty. Że czekacie i na zakończenie wojny, i na wolną Polskę. Tak, macie rację: wojna się wkrótce skończy i Polska, która już jest, będzie dalej. Jak duża - to się jeszcze okaże, o tym zadecydują sprawy polityczne. Tylko - tu spowaźniał i zwolnił tempa mowy - to będzie nie wasza Polska, to będzie Polska nasza, sowiecka. Wy będziecie w niej rządzić, ale "przykazy" będą szły od nas, iz Moskwy! Czy będziecie naszą republiką - to się też okaże. Wam się będzie wydawało, że macie swoją niezawisłą ojczyznę, że sami nadajecie jej prawa, ale te prawa będą pochodziły też od nas. Ja wam wierzę, wiem, że mnie nie oskarżycie, bo to, co do was mówię, jest jeszcze tajemnicą i pewnie tajemnicą pozostanie. Lecz podobacie mi się. Poznałem was przez tych parę tygodni, polubiłem was i jestem z wami szczerzy. Patrzyłem jak zgodnie i spokojnie pracujecie, rozmawiacie, jak jesteście dla siebie dobrzy i to mi się najbardziej spodobało. Dlatego tak do was mówię. Będziecie mieli ruską Polskę. To sobie dobrze zapamiętajcie: ruską! Ja ruski człowiek, ja powinienem się z tego cieszyć, ale teraz nie wiem, czy na tym wygramy. Nie wiem...

Umilkł na moment, jakby się zastanawiał nad czymś, coś rozważał, a potem zaczął znowu:

Dam wam jeszcze jedną radę, zwłaszcza tobie, Stanisław i wam

- wskazał na "Emila" - bo on jeszcze młody i do władzy mu jeszcze daleko. - Patrzył na mnie z uśmiechem. - Ale wy, Stanisław i Emil, możecie być powołani na jakieś stanowisko, bo wy umnyjsze i uczionysze ludzie. Cóż ja wam radzę: nie rwiście się do władzy, a przede wszystkim nie piszycie w partiju! Panimajecie? Nie piszycie w partiju! Jeśli się zapiszecie, tak wy użę prapali! Wy już nie będziecie ludźmi wolnymi, nawet dla siebie samych, wy i w domu będziecie musieli być partyjnymi i robić to, co wam partia rozkaże. A z czasem to wy zapomnicie co dobre i sprawiedliwe, a co nie. Za dobre i sprawiedliwe będziecie musieli uważać to co każe partia, a co uznaje za złe, wy też uznacie za złe. A naprawdę może być różnie. Wy bylibyście wtedy automatami wykonującymi polecenia, gdy tylko kto przyeciśnie guzik. Zrozumieliście? Za to, co do was mówię, czeka mnie kula w łeb albo łagier, ale wy mnie nie przeskarżycie, dlatego jeszcze będę żył.

Pociągnął jeszcze parę łyków, zagryził i dodał cichym głosem, który jak gdyby dobywał się gdzieś spoza kręgu jego myśli:

- Nie piszycie w partiu... nie piszycie...

Znowu umilkł, popatrzył w dal i zupełnie spokojnie zaczął znowu całkiem innym tonem:

- Wy nie dumajcie, czto ja pijani! Mnie upić trudno. Jeszcze nikt tego nie dokonał. Ja tylko więcej mówię, jak sobie podpisę. Ale zawsze wiem co mówię i do kogo mówię. Dziś chcę tylko waszego dobra, bo ja was polubiłem. I już muszę was opuścić, a dobrze mi tu było. Już niedługo pójdę na front, a tam wszystko może się zdarzyć, kule nie wybierają.

Zaczęliśmy go zapewnić, że jako wyższy oficer nie pójdzie przecież na pierwszą linię, że nie złego go nie spotka, lecz on poruszył tylko przecząco głową, znów zamyslił się przez chwilę, a potem zaczął:

- Co wy, cywile, wiecie o wojnie...? Dziś nie ma bezpiecznych miejsc, chyba gdzieś tam na Krenlu, za Uralem... co znaczy dziś odległość...? Ech, wsio k'czortu! Żyć kapijku stoić... Ale ja, Stanisław - zwrócił się do gospodarza - dopóki będę żył, nie zapomnę o twojej ziemi, o twojej rodzinie i wszystkich twoich. Będę pisał karteczki. Jedynie pozdrowienia. A jeżeli przyjdzie taki czas, że wy w ciągu kilku tygodni nie otrzymacie ode mnie żadnej karteczki, będzie to znak, że mnie już nie ma. Czto ja pagib...

Owe "karteczki" przychodziły w odstępach jedno- dwutygodniowych aż do wiosny 1945 roku. Ostatnia nosiła datę ostatnich dni kwiatnia. I korespondencja się urwała, korespondencja jednostron-

na - tylko od pułkownika, ponieważ nie podawał swego adresu i nie można było odwzajemnić mu się takimiż pozdrowieniami. Widocznie zginął gdzieś na przedpolach Berlina, bo inaczej dałby jeszcze o sobie znać. Ale jego szczere i jakże trafne nauki, przestrogi i informacje zapamiętaliśmy sobie dobrze i nie raz powtarzaliśmy owe chwile pożegnania.

Jeszcze zanim nasz pułkownik odjechał, zdarzyło się, że gdy pewnego popołudnia byliśmy w domu tylko z gospodynią i służącą Kasią, zaroilo się nagle na podwórzu od krasnoarmiejców. Biegali pędem od pomieszczenia do pomieszczenia, zaglądali w każdy kąt, nam kazali stać w miejscu i nie ruszać się. Przejrzawszy dokładnie całe obejście spytali, czy nie było tu dziś jakiegoś ruskiego żołnierza? Nikogo nie widzieliśmy. Popatrzyli na nas nieufnie i weszli do mieszkania. Nie bronili nam pójść za sobą. Zaczęli zaglądać pod łóżka, za szafy i sprzęty domowe. Przyglądaliśmy się uważnie, żeby czegoś sobie nie przywłaszczyli, co podobno przy podobnych tego rodzaju rewizjach często się przydarzało. Szczególnie gospodyni była na tym punkcie uczulona i chodziła za nimi krok w krok. Kiedy skończyli penetrację mieszkania i rozproszyli się po sąsiednich podwórkach, gospodyni podbiegła do szafy z ubraniami, do której jeden z krasnoarmiejców też zaglądał i po chwili zawołała:

- Kasiu, popatrz, zegarek mi ukradli! Był w kieszeni płaszcza! Mogłabym przysiąc, że tylko przesunął ręką poszczególne ubrania, ale nie sprawdzał kieszeni. I zobacz, jaki drań sprytny! Zdążył znaleźć i zabrać! Co za wprawa! Zaraz idę do ich dowództwa!

Poszła, poskarżyła się. Pożekali, aż wszyscy wrócą z poszukiwań jakiegoś aresztowanego „bojca”, który ku zdumieniu wszystkich uciekł z mamra. Gdy cały oddział był już na miejscu, dowódca ustawił ich w szeregu i kazał rozpoznać tego, który przeglądał szafę z ubraniami. Gospodyni popatrzyła w twarze stojących. Wszyscy wydali się jej tak dalece podobni do siebie, że nie sposób było ustalić poszukiwanego. Poza tym bała się, aby wskazany nie zemścił się później, co podobno też nie należało do rzadkości. Wróciła z niczym.

- Nie martw się - uspokajał żonę gospodarz, gdy wrócił z miasta i dowiedział się o zajściu. - Kupię ci drugi, ładniejszy, a ty zamiast narzekać, lepiej zrobisz, gdy zastanowisz się nad talentem tego artysty, który w twoich oczach potrafił zegarek znaleźć, wydobyć z kieszeni, gdzieś schować, a ty niczego nie zauważyłaś, będąc o krok od niego i patrząc mu na ręce. Nie często tacy się zdarzają! - I śmiał się swoim szczerym, rozbrajającym śmiechem.

Niedaleko naszego ogrodu wznosił się okazały gmach w kształcie dużego dworu, który podobno był kiedyś własnością prezydenta Ignacego Mościckiego. Ten to gmach zarekwirowali Rosjanie dla swoich potrzeb i usadowili w nim jakiś wyższy sztab wojskowy, a w jednym z pomieszczeń urządzili tymczasowy areszt dla tych swoich żołdatów, którzy coś poważnego przeskrobali. Przy sztabie znajdowało się sporo żołnierzy, którzy ustawicznie odbywali spacery po okolicznych posesjach, uliczkach, ścieżkach. Ukąśnięci mieszkańcy nieustannie uskarżali się na powtarzające się kradzieże, będąca bez wątpienia dziełem ruskich „bojcow”, ale nikt nie próbował łapać złodziei, aby nie narazić się im. Chodzili stale z bronią, butni, pewni siebie, choć przyznać należy - nikogo nie zaczepiali i nie używali przemocy. A niespodziewane rewizje uważali ludzie za zwykłe improwizacje i stwarzanie okazji do kradzieży. Tak chyba było w istocie. Każdy wolał jednak mieć spokój i nie budzić licha. Kto by tam dochodził, gdyby znaleziono nagle jakiegoś Polaka z kulą przeszżytą głową!... Na wszelki więc wypadek ustępowano im z drogi, nie próbowano dyskutować, nawiązywać znajomości, tym bardziej, że i oni dalecy byli od podobnych zamiarów. Jedyne młodzież żartowała sobie czasem, zwłaszcza z obwieszonych medalami oficerów i podoficerów.

Pamiętam, jak to już w czasie, kiedy zacząłem uczęszczać do szkoły, wymyśliliśmy sobie zabawę liczenia medali na piersiach zasłużonych krasnoarmiejców. Zauważywszy z daleka zbliżającego się „bohatera”, wyciągało się rękę i wskazującym palcem liczyło się zwisające girlandy orderów. Początkowo Rosjanie byli mile głaskani naszą ciekawością, wielu okazywało wyraźne zadowolenie w postaci przyzwalającego uśmiechu i jakby dumnie wypinali pierś z dzwoniącymi metalowymi krążkami na różnobarwnych wstążkach. W końcu jednak widocznie zorientowali się w czym rzecz i zaczęli z oburzeniem grozić nam pięściami, lub próbować chwycić za kark dowcipnicia. Wkrótce więc, aby nie narazić się na przykrości, daliśmy spokój uprawianiu tej nie najmądrzejszej zabawy.

Tymczasem zaraz po odjeździe ruskiego pułkownika pożegnał nas i pan „Emil”. Od dawna czekał z utęsknieniem najpierw na wiadomości o żonie, pozostawionej na Wołyniu, a potem, gdy upewnił się, że żyje, czekał z kolei jej przyjazdu do Polski na tę stronę Bugu. Doczekał się nareszcie. Rozstaliśmy się jak dobrzy, wypróbowani przyjaciele.

Dobrze nam było razem. Miałem z kim szczerze porozmawiać, bez

potrzeby ukrywania myśli, bez unikania niebezpiecznych tematów, bez tego wszystkiego, co wkrótce miało zacząć rozdwajać naszą jaźń i czynić z nas ludzi o podwójnym obliczu: od święta i na co dzień, innych dla siebie w domu i w kole rodzinnym, a innych dla świata. Gdy prowadziliśmy z "Emilem" lub z Bazylim nie kończące się rozmowy, wspomnienia, marzenia o przyszłości, "język nie musiał kłamać głosowi, a głos myślom kłamać". Byliśmy wtedy tylko sobą. Teraz poczułem się znowu dziwnie samotny, wprawdzie pośród dobrych ludzi i na pewno mi przyjaznych, tak samo jak ja myślących, ale leżała między nami tajemnica, która czyniła dziwną przegrodę w całkowicie szczerym wyznawaniu wszelkich myśli i uczuć.

Jeszcze zanim mój starszy kolega odjechał, wyświadczył mi nie-małą przysługę, która też zaważyła na mym życiu. Miał trochę krótki wzrok i nosił dość mocne okulary. Pewnego razu otrzymaliśmy zawiadomienia o obowiązkowym stawieniu się przed komisją rejestracyjną naszych roczników. Ja miałem stawić się jako przedpoborowy, on w nieco wcześniejszym terminie w charakterze kandydata do przeniesienia do rezerwy, ale równie dobrze mógł być wcielony do wojska, o ile Komisja lekarska tak zadecyduje. A żaden z nas o wojsku nie chciał już myśleć. Pan "Emil" wrócił jednak z triumfującą miną.

- Kazali mi czytać litery na z_wieszanej na ścianie tablicy - opowiadał mi z humorem. - A ja wpatruję się z całej siły w ścianę i pytam, gdzie te litery, jakie litery? To ten doktor wziął do ręki wskazówkę i zaczął mi owe litery pokazywać. Podszedłem krok naprzód, potem jeszcze krok i jeszcze i dopiero krzyknąłem: "a, już coś widzę!" Ale liter ciągle nie rozpoznawałem. Wtedy kazał mi podejść do samej ściany. Przeczytałem kilka tych największych.

- A ta? - lekarz nie ustępował. - A ta?

- To tylko czarne plamki, co się w dodatku ruszają.

Skończyło się badanie i okulista krzyknął do siedzącego obok sekretarza:

- Rezerwa!

- Bałem się okropnie, czy się nie kapną, ale widocznie dobrze udawałem.

Rzeczywiście udawał znakomicie, bo całe zdarzenie ilustrował ruchami, podchodzeniem do ściany, wpatrywaniem się w nią itd.

- Jest pan urodzonym artystą - powiedziałem z uznaniem, - ale ja nie będę potrafił tak grać.

- To zagraj inaczej - zaśmiał się pan "Emil" - bylebyś tylko wygrał co trzeba!

Gdy przyszedł mój dzień, nie próbowałem żadnego udawania, wiedziałem bowiem, że niczego nie osiągnę, oświadczyłem tylko, że cierpię na ból oczu. Istotnie w dzieciństwie chorowałem na jaglicę i ślady tego pozostały w postaci lekko zaczerwienionych spojówek. Odesłano mnie do specjalisty. Ten przejrzał uważnie przyniesione przeze mnie w zaklejonej kopercie dokumenty, popatrzył z uwagą na mnie, potem spytał:

- Pewnie nie bardzo rwie się pan do wojska?

- Mówiąc szczerze, wołałbym nie służyć - odpowiedziałem zgodnie z rzeczywistością.

- Dobrze - skinął głową na znak zgody.

Coś tam napisał na kartce papieru, włożył do koperty, zakleił i kazał oddać Komisji. Otrzymałem odroczenie służby wojskowej na rok. Odtąd, nie znając się wcale, kłanialiśmy się sobie z panem doktorem na ulicy, a po latach dowiedziałem się, że doktor Kostro, takie bowiem było jego nazwisko, był lekarzem w AK, a w dodatku miał ścisłe powiązania i z naszą Dywizją na Ziemi Lubelskiej. Potem odraczano kilkakrotnie termin służby czynnej, wreszcie zostałem też przeniesiony do rezerwy.

Z Miciem "Emilem" utrzymuję stały kontakt do dnia dzisiejszego. Korrespondujemy ze sobą, od czasu do czasu spotykamy się, by wspominać dawne dzieje i dawnych znajomych, z których jakże wielu odeszło już na wieczną wartę. Szkoda, że tak mało spotyka się ludzi o postawie mojego kolegi, o takich wartościach moralnych i etycznych, o tak mądrym stosunku do życia i jego złożonych problemów i o tak szczerych uczuciach przyjaźni. Oby zdrowie służyło mu jak najdłużej!

5. Na buraczanym placu.

Kiedy odjechał mój starszy przyjaciel i zostałem sam, zaczęło mi się po trosze nudzić. Znowu poczułem pustkę wokół siebie, tym bardziej że pracy było coraz mniej, bo zbliżała się zima i długich wieczorów nie miałem czym wypełniać. Zgłosiłem się wraz z bratem na kurs samochodowy do zakładu Zambellego przy ulicy Żmigród, zresztą za zachętą gospodarza, który zgodził się pokryć koszty, kupić potrzebne podręczniki itd. Obiecał w dodatku, jeśli władze zezwolą, zorganizować spółkę przewozową pasażerów na przykład na trasie Lublin - Piaski albo Lublin-Lubartów, obiecując

sobie wiele po uruchomieniu takiego przedsiębiorstwa.

- Panie Leonie - tłumaczył mi swe zamiary, - Żydzi przed wojną przewozili pasażerów na tych trasach zwykłymi furgonami konnymi na deszczu i mrozie. Wyobraża sobie pan, jak długo trwała taka jazda? Dobre dwie godziny w jedną stronę! A mimo to dorobili się kamienie, sklepow i dobrej gotówki. Teraz duży ciężarowy samochód z demobilu będzie można kupić za grosze, a po przerobieniu byłby świetny pojazd. Niech pan jak najprędzej zdobywa prawo jazdy i uruchamiamy interes!

Nic z przewidywanego interesu nie wyszło. Po kilku lekcjach i dwu jazdach próbnych po ulicach Lublina dałem spokój dalszej nauce. Nie znajdowałem jeszcze w tego rodzaju zajęciach żadnej przyjemności. Zdobycie prawa jazdy odłożyłem na później. Brat natomiast, który miał zawsze "smykałkę" do mechaniki, ukończył kurs i jeździł potem jako pomocnik kierowcy aż do przyjazdu rodziny z Zasyk,

Rozstałem się z pracą u ogrodnika również i z tego względu, że coraz częściej wychodziłem teraz do miasta do Bazylów lub do Ali, swojej sympatii, która wróciła po dłuższej nieobecności do Lublina, a powrót na Bazyliańówkę, gdzie miaściło się nasze gospodarstwo ogrodnicze, nie zawsze był bezpieczny. Obowiązywała w mieście godzina policyjna. Często udawało mi się przejść cicho bez kłopotów, ale zdarzyło się też dwa razy, że zatrzymany przez patrole wojskowe spędzałem nocę w areszcie. Władze odgrażały się, że jeśli się to będzie powtarzało, zatrzymają mnie na dłużej. Woląłem nie ryzykować, a nie łatwo było odmówić sobie przyjemności odwiedzin wymienionych wyżej.

I ostatni argument - Bazylki rozpoczął pracę w cukrowni, ruszyła bowiem pierwsza po wyzwoleniu od Niemców kampania cukrownicza i poszukiwano pracowników. Radził mi więc mój kolega przynieść się do nowej placówki i razem z nim produkować cukier.

- Zamieszkaż u nas - mówił Bazylki - będzie mi raźniej chodzić do roboty, trochę się zarobi, przy tym za każdym razem będzie można przynieść po parę kilogramów węgla spod fabryki, na co władze cukrowni patrzą przez palce, bo wiadomo, że kupić go nie ma gdzie, a robotnik w zimie marznąć nie powinien. Przychodzi choćby od zaraz.

Gdy powiedziałem o swym zamiarze gospodarzowi, ten uśmiechnął się tylko i ani słówkiem nie protestował.

- Przecież powiedziałem panu na wstępie, że ile razy zechce

pan odejść, może pan uczynić to nawet nie pytając mnie o zgodę, podobnie z przyjściem na powrót do nas: kiedy pan będzie potrzebował, nawet gdyby mnie nie było w domu, proszę stawać do pracy i czuć się jak u siebie. Chyba poznaliśmy się do tej pory wystarczająco dobrze i mamy prawo sobie ufać. A i odwiedzać proszę nas jak najczęściej.

Odwiedzałem tych dobrych ludzi początkowo często, później, jak to zwykle bywa, coraz rzadziej, wreszcie skończyło się tylko na życzeniach imieninowych i kartkach świątecznych. Z czasem i to ustało. A gdy kilka lat temu wstąpiłem do dawnego domu, tylko Kasia, już prawie staruszka, poznała mnie. Ja też z trudem rozpoznałem swoich dawnych zwierzchników i dobrodziejów.

Mieszkanko pp. Zamościńskich przy ulicy Radziwiłłowskiej choć małe, bez żadnych wygod, było jednak bardzo przytulne i przyciągało wszystkich bliskich i znajomych. I Bazyli, i Libuszka witali każdego przybywającego serdecznym uśmiechem i dzielili się czym chata bogata, zawsze tu było wesoło, swojsko, swobodnie. Mieszkali nadal tylko we dwoje. Mała córeczka wychowywała się u dziadków Frankowskich na Wołyniu. Libuszka chwyciła się różnych doraźnych prac, Bazyli, jak wspominałem, zaangażował się do cukrowni, gdzie przygotowywano się intensywnie do wszczęcia kampanii cukrowniczej. Gdy fabryka ruszyła, okazało się, że trzeba ludzi więcej, niż początkowo przewidywano. Wynikało to z faktu, że zwiezione jesienią buraki, bez należytej kontroli, przyjmowane albo przez nie fachowców, albo przez niedbałych urzędników były okropnie zabłocone. Podczas deszczów błoto rozmiękło, a teraz przy dość już silnych mrozach - zamarzło i powstała ogromna, trudna do rozerwania bryła. Trzeba było wielu ludzi z kilofami w rękach, aby rozrywać ową bryłę i spychać surowiec na cukier do kanałów z wodą, która niosła go do wnętrza fabryki na płóeczki i do dalszej obróbki. Była to praca ciężka, wyczerpująca i nieco nerwowa, bo mięśnie odmawiały często posłuszeństwa, a z wieży fabrycznej dzwoniono co chwila wzywając do pośpiechu, bo maszyny obracają się na próżno, bezproduktywnie. Zachętą do pracy była jedynie obietnica niezłych zarobków, większych niż gdzie indziej, co w trudnych wojennych czasach pociągało wielu, zwłaszcza mających liczne rodziny do wyżywienia. Mnie wtedy względy materialne nie interesowały, u pana Stanisława na Bazylianówce miałem wszystkiego pod dostatkiem, ale przeważały względy wypowiedziane wyżej.

Pozegnanie z dotychczasowymi chlebobdawcami było nad wyraz serdeczne, jak z najbliższą rodziną. Podobnie serdeczne przyjęcie odbyło się "pod trójką". A nazajutrz siedłem już razem z Bazylim do

nowego zakładu pracy, w którym miałem spędzić całą najbliższą zimę.

Praca w cukrowni, a właściwie na buraczanym placu, była, jak wspominałem, wyjątkowo ciężka, zwłaszcza gdy zaczął się styczeń 1945 roku: mróz, śnieżyce, zawieje, a robotnicy w lada jakich ubraniach, często wiatrem podszywanych, harowali po dziesięć i więcej godzin pod gołym niebem. Bryzg wody, po każdym stoczeniu się do kanału choćby i pojedynczego buraka, oblewały płacze, spodnie, mróz natychmiast zamieniał ubiór w twardy i zimny pancerz, tak że nawet trudno było poruszać się w takim stroju. Ludzi nadal brakowało, fabryka potrzebowała dużo surowca, nie nadążaliśmy ani dnia z rąbaniem "skały" i spuszczeniem jej na wodę. A denerwujący dzwonek z wieży rozlegał się co chwila, kierownik ekipy placowej, nazwiskiem Surdacki, starszy już i wyjątkowo gderliwy człowiek, nie żałował wyzwisk i przekleństw, by tylko zdopingować nas do większego wysiłku. Złośliwe odpowiedzi robotników, warkot maszyn - wszystko to stwarzało atmosferę wprost nieznośną. A najgorzej działało się na nocnej zmianie, bo organizm, nie przyzwyczajony do pracy o tej porze, męczył się szybciej, trzeba było co chwila odpoczywać, a wtedy chwycił chłód i zaczynał swoje "przemówienia" o bywalec Surdacki. Miałem nieraz ochotę porzucić całą tę cukrownię i wracać na Bazyliańówkę, lecz wstyd mi było Bażyłego, który nadzwyczaj spokojnie znosił wszystkie te trudy i nawet zagrzewał innych i podtrzymywał na duchu, sypiąc przy każdej okazji wesołymi powiedzonkami lub anegdotkami.

W takich to warunkach nabyłem paskudnego nałogu - palenia papierosów.

A stało się to bardzo prosto: dotąd nie znosiłem papierosowego dymu, odganiałem go od siebie rękami, gdy ktoś kopał w pobliżu mnie, ale teraz okazało się, iż w najtrudniejszych nawet momentach pracy, gdy dzwonek dzwonił najgłośniejszym, palacze opuszczali plac i szli do kantorka na papierosa. Pozostali, nie palący, musieli wtedy "tyrać" za siebie i za nich. Fan Surdacki, który dawno powinien był przenieść się na emeryturę i grzać się przy piecu, nie wiadomo dlaczego ciągle chciał być jeszcze ^{a przy tym} czynny, okazywał dziwną tolerancję dla palaczy, mimo że sam nie palił. Kiedy więc zostawaliśmy sami, dostawała nam się podwójna porcja mało wybrednych ponaglań, pokrzykiwań i pogróżek. Złościliśmy się wtedy i my, protestowaliśmy, chcieliśmy udać się na skargę do władz cukrowni, lecz szefa wcale to nie przekonywało. Robił swoje.

Wreszcie pewnego szczególnie mroźnego dnia Bazyli doradził mi po cichu:

- Chodź z nami, udawaj, że teś palisz. Nic ci stary gdera nie zrobi. Ja w razie czego poświadczę, że tylko ze względu na młody wiek nie chciałeś się zdradzać, że już jesteś nałogowcem. Rzucaj kilof i chodź!

Posłuchałem rady starszego przyjaciela. Skręciłem z gałety oraz z podanego mi przez kolegę tytoniu grubego papierosa, przypaliłem od piecyka z koksem, zakrztusiłem się, aż łzy stanęły mi w oczach, lecz trwałem w roli palacza. Widziałem uśmieški ironiczne u niektórych współpracowników, lecz tym bardziej nie rezygnowałem. Powtórzyło się to kilka razy na każdej zmianie i nawet nie zauważyłem, kiedy zacząłem w domu nagabywać Bażyłego, by poczęstował mnie tytoniem. Po niedługim czasie stałem się zwykłym nałogowcem, co zresztą bardzo źle się dla mnie skończyło, ale to już wykracza poza ramy niniejszych wspomnień. Wróćmy więc do cukrowni.

Raz w nocy przeżyliśmy chwile grozy.

Po drugiej stronie zakładu, w ogrodzeniu za wysokim płotem, stały olbrzymie kadzice z melasą. Dowiedzieli się o nich ruscy żołnierze. Mimo straży weszli tam przez płot, z wiadrami w rękach, nabrali do nich gęstego słodkiego płynu i grożąc użyciem broni w razie jakiegokolwiek reakcji wartownika wrócili tą samą drogą do siebie. Powtórzyło się to raz i drugi, po jakimś czasie znowu. Wartownicy meldowali o tym dyrekcji fabryki, lecz w ówczesnej sytuacji trwającej wojny nikt nie chciał robić z tego użytku, głównie dlatego, że byli to Rosjanie - sojusznicy. Aż nagle pewnego razu około północy, gdy byliśmy jak zwykle zajęci spuszczeniem buraków na kanały, rozległa się od strony zbiorników z melasą gęsta strzelanina. Byliśmy przekonani, że dokonuje się jakiś napad rabunkowy na cukrownię, prasa bowiem pisała ciągle o takich wypadkach. Podciągano je zwykle pod działalność wrogiego Polsce Ludowej reakcyjnego podziemia, choć faktycznie było całkiem inaczej. Teraz wśród nocy strzały wywołały wśród nas strach nie na żarty. Może się i nam dostać przy okazji. Na wszelki więc wypadek obejrzeliliśmy się za siebie, czy w bramie wyjściowej nie ma także napastników, żeby w razie niebezpieczeństwa wiedzieć którędy uciec z zagrożonego terenu. Ale w nikłym świetle słabej latarni niezego podejrzanego nie było widać. Tymczasem strzały umilkły, tylko z tej samej strony zaczęły dochodzić jakieś rozpaczliwe krzyki, na-

woływania, trzaski. Nie z tego nie rozumieliśmy. Z wieży cukrowni dzwoniło coraz natyrczywiej o buraki, już nawet ktoś wołał donośnym głosem "dawać! dawać!", ale szef Surdacki zawieruszył się też w ciemności nocy i rozgardiaszu jaki powstał na placu, a robotnicy na wszelki wypadek poukrywali się za słupy, za kantorek i czekali dalszego rozwoju wydarzeń. Dopiero po kilkunastu minutach nadbiegł ktoś z wieścią, że w jednej z kadzi utopił się w melasie ruski żołnierz! Potknął się najpewniej na oslizgłej powierzchni oszroniałych nakryć i poleciał wraz z wiadrem do środka, zdoławszy tylko krzyknąć rozpaczliwie o ratunek. Jego koledzy z osłony bez namysłu oddali kilka serii w stronę, gdzie zwykł się znajdować wartownik. Myśleli pewnie, że to on właśnie próbuje bronić powierzchniowego mu cukrowniczego mienia. Strzały zaalarmowały koszarujący w pobliżu sowiecki oddział. I tam zaczęto strzelać. Te właśnie odgłosy wzięliśmy za objaw napadu.

Tymczasem wydobyto ociekające gęstą mazią zwłoki topielca, a wszystkim nam zakazano informowania o tym kogokolwiek. Sprawa poszła wkrótce w niepamięć.

I znów płynęły ciężkie dni i noce na buraczanym placu. Co kilka dni ekipy zmieniały się z dziennej na nocną zmianę i na odwrot. Codziennie przynosiliśmy do domu po kilka bryłek węgla do pieca i tym sposobem ogrzewaliśmy pomieszczenia mieszkalne oraz gotowali strawę. Nabycie opału drogą legalną, w sklepie czy składzie, stawało się coraz trudniejsze. Należność za pracę wypłacano nam tylko częściowo gotówką, resztę odbieraliśmy w postaci cukru. Robotnicy protestowali, nie chcieli przyjmować zapłaty w naturze, ponieważ należało potem wynosić cukier na targ i sprzedawać, czyli dodawać sobie nowej pracy, a nabywców nie było wielu, należało więc przestać czasem i kilka godzin, zanim sprzedano się kilkanaście kilogramów "deputatu". Ale władze cukrowni były nieubłagane. Takie wydano zarządzenie i nie było od niego odwołania. Ze robotnik w kraju robotniczym po całonocnej pracy szedł rano z woreczkiem cukru na plecach prosto na plac targowy - tego nikt nie brał pod uwagę.

- A co to? Ja was trzymam? - krzyczał pan Surdacki, gdy robotnicy skarżyli się na krzywdzące zarządzenia. - Rzucajta robotę i wynośta się do domu. Pany się znaleźli!...

Pewnego styczniowego wieczoru usłyszeliśmy nagle wycie syren, lokomotyw na stacji lubelskiej, nawet niektórych samochodów. Byliśmy pewni, że za chwilę zacznie się nalot, bo samoloty nieprzyja-

cielskie co pewien czas pojawiały się jeszcze nad miastem, a artyleria przeciwlotnicza rozpoczynała natychmiast kanonadę, natomiast reflektory biegały po całym niebie, poszukując napastnika. Tym jednak razem nie widać było ani reflektorów, ani nie odezwało się żadne działo, Lecz po chwili wpadł ktoś na plac, krzycząc z daleka:

- Warszawa wzięta! Warszawa wolna!

Był 17 stycznia 1945 roku.

Ucieszyliśmy się w pierwszej chwili, unieśliśmy w górę obłoczone kilofy, potrząsając nimi radośnie. Nareszcie! Umęczona stolica nareszcie bez kajdan, bez znieprawionych okupantów. Wolna!

Ale pierwszy entuzjazm trwał niezbyt długo. Już na zakurce w kantorze zaczęły się rozmowy, których ton daleki był od euforii. Wiedzieliśmy przecież z prasy i od naocznych świadków, że z Warszawy pozostały tylko zgliszcza i stosy ruin, że jest bezludną prawie pustynią, czego, naturalnie, nie omieszkało wielokrotnie skomentować jako rezultat złej polityki "tak zwanego" Rządu Londyńskiego i dowództwa Armii Krajowej. Przypomniały się niedawne dni, kiedy powstanie dogorywało, stolica waliła się i płonęła, gdy setki i tysiące bezbronnych mieszkańców miasta ginęło od kul, głodu, pragnienia, z braku lekarstw i środków opatrunkowych, a "niezwyciężona Czerwona Armia" stała spokojnie na prawym brzegu Wisły i przyglądała się koszmarnemu obrazowi. Czuliśmy już teraz, jak to zaczął od jutra brzmieć peany na cześć tej właśnie Armii jako wyzwolicieli polskiej stolicy i jak ta Armia zagnieździ się w krwawych ruinach, aby z nich nie dać się już wykurzyć. Wszak od dwudziestu pięciu lat czekała niecierpliwie na tę chwilę. Nie udało się w sierpniu 1920 roku, udało się teraz. Na wszystkich "zakurkach" tej pamiętnej nocy w fabrycznym kantorze tylko takie rozmowy i komentarze przewijały się i wracały od nowa. Rzeczywistość miała później potwierdzić nasze domysły i przypuszczenia. Zналиśmy naszych "wyzwolicieli" lepiej niż kto inny z lat 1939 - 41, kiedy po zajęciu Kresów Wschodnich nie ukrywali przed nami swego prawdziwego oblicza. Nie wierzyliśmy, że teraz okażą się lepsi.

Nasze mieszkanie "pod trójką" przy ulicy Radziwiłłowskiej stało się w tym czasie prawie oficjalnym punktem informacyjnym i kontaktowym we wszystkich naszych - wołyńskich - sprawach. Ktokolwiek przejeżdżał przez Lublin, wstępował do nas jeśli nie na noc, to przynajmniej na kilka godzin. Mieliśmy stale najświeższe wiadomości o naszych kolegach, znajomych i tych w ogóle zza Bugu, i tych z Dywizji. Bardzo szybko dowiedzieliśmy się o aresztowaniu naszego

ostatniego dowódcy, pułkownika "Twardego" - Jana Kotowicza, doniesiono nam, a my przekazywaliśmy następnym, że od listopada 44 roku przebywa w więzieniu kapitan "Sokół" - Michał Fijałka, aresztowany zresztą pod przybranym nazwiskiem, że zamknięto kapitana "Hrubego" - Jana Józefczaka, porucznika "Buras" - Lucjana Słowickiego, Majora "Zegotę" - Tadeusza Sztumberk-Rychtera, nie mówiąc o podoficerach i żołnierzach, którzy szli stale najpierw za kraty, a po pewnym czasie ukazywali się w wojskowych mundurach, naciąganych na siebie pod przymusem. Od wielu otrzymywaliśmy co pewien czas kartki z frontu, bez podawania nazwisk czy pseudonimów, poprzestając tylko na imieniu. Dla każdego odwiedzającego musiała zawsze znaleźć się szklanka gorącej herbaty i kawałek chleba, najczęściej posmarowanego smalcem.

Pewnego razu idąc ulicą Świętoduską /dziś Henki Sawickiej/, tuż za kościołem i klasztorem OO.Karmelitów zobaczyłem stojącego w bramie Heńka Paszkowskiego, mojego starszego kolegę z Janówki, rodzinnej wsi mojej mamy. Był żołnierzem batalionu "Siwego", którym dowodził później kapitan "Hruby". Starszy brat Heńka, Tadeusz dowodził w tym samym batalionie kompanią. Moją kolegę aresztowano bez żadnej określonej przyczyny i osadzono tu w tymczasowo zaimprowizowanym więzieniu. Prawdopodobnie lubelski zamek nie mieścił już osadzanych tam akowców i innych przeciwników politycznych. W tym dniu Heniek nie miał czasu na dłuższą rozmowę, prosił więc, bym go odwiedził jutro lub pojutrze. Oznajmił mi, że wystarczy tylko spytać o jego nazwisko i poprosić o przywołanie więźnia, a natychmiast wartownicy prośbę spełnią.

- Aż takie masz tu fory? - zażartowałem.

- Większe niż sobie wyobrażasz - odpowiedział tym samym tonem.

Poszedłem nazajutrz.

Heniek wyszedł już po najwyżej dwu minutach. Siedliśmy na ławeczce w podwórzu bez żadnej straży i rozmawialiśmy zupełnie swobodnie. Dowiedziałem się, że mój kolega z racji wykształcenia /do wybuchu wojny ukończył w Kowlu kilka klas gimnazjum mierniczego/ otrzymał funkcję pisarza i trzęsie prawie więzieniem. Poznał zasady, przepisy, redaguje wszelkie pisma, liczą się więc z nim pod każdym względem. Miałem możność przekonać się o tym już w trakcie widzenia. Kilka razy podchodzili różni strażnicy z pytaniami o sposób załatwiania takich czy innych spraw. Gdy w pewnym momencie podszedł wartownik z oświadczeniem, że czas już kończyć wizytę, więzień wskazał mu głową drzwi, za która ma pójść

i dodał tylko:

- jak mi będziesz potrzebny, to cię poproszę, a teraz lepiej zrobisz, jak przestaniesz mi przeszkadzać.

- Aż taką władzę masz nad nimi? Więzien? - spytałem.

- Bo beze mnie nic nie potrafi uczciwie załatwić. A prócz tego tak zawałeni są papierową robotą, że przy ich "gramocie" zakichaliby się i nie daliby sobie rady. Pewnie tylko dlatego mnie tu trzymają. Ale karmią nieźle, więc nie narzekam.

Obawiałem się, czy nie zwrócą uwagi na mnie, jako pewnie kompana z tej samej formacji akowskiej, lecz Heniek uspokoił mnie, twierdząc, że uprzedził swe władze o spodziewanych odwiedzinach przez kolegę, który niedawno przyjechał z jego rodzinnych stron i przywiózł mu wiadomości od rodziny i najbliższych.

Długo rozmawialiśmy przez nikogo nie krępowani. Znowu dowiedziałem się o kolegach trzymanych w areszcie bez konkretnych zarzutów, dlatego tylko, że byli żołnierzami AK. Była to nowa porcja bolesnych doznań, ponieważ znałem przeważnie więzionych jako dzielnych i odważnych, pełnych poświęcenia chłopców, którzy powinni być teraz wzorem do naśladowania, a nie siedzieć za kratami. "Wyzwoliciele" brali nas coraz wyraźniej do niewoli.

I jeszcze o jednej rzeczy powiedział mi wtedy kolega, ale już cicho, dyskretnie: oto niedawno dokonano udanej próby odbicia więźniów na lubelskim zamku. Kilku naszych byłych żołnierzy zgłosiło się na ochotnika do straży więziennej, innych przysłano tu służbowo i ci w porozumieniu z będącymi na wolności zorganizowali napad. Ubezwiadnili lojalnych strażników, odebrali im klucze, otworzyli odnośne cele i zabrali więzionych przygotowanymi i czekającymi już samochodami. Ucieczka udała się. Tylko o tym nie się nie mówi.

Owszem, mówiło się, jak przekonałem się później. Tylko że w komunikacie prasowym podano jedynie o próbie włamania się do zamku, lecz próbie udarowanej przez dzielnych i oddanych władzy wartowników. Było to jedno z wielu zwyczajnych kłamstw. Potwierdzili fakt odbicia więźniów ^{m.in.} (z 27 Wołyńskiej Dywizji niedawno poznani ówczesni żołnierze LWP z lubelskiego garnizonu. Powtórzyli mniej więcej to samo, o czym powiadomił mnie Paszkowski.

Potem kilka jeszcze razy odwiedzałem kolegę w areszcie przy Świętoduskiej i za każdym razem rozmawialiśmy swobodnie, tylko nie zawsze jednakowo długo. Potem Heniek zniknął z Lublina. Wartownicy powiedzieli mi, że został zwolniony i wyjechał. Nie podał dokąd się miał udać. Spotkałem go dopiero w 1953 roku w Bratoszowicach k.Łodzi. Mieszkał już wtedy w Szczecinie. Niedawno zmarł.

6. Przygoda w Zawadówce

Któregoś zimowego dnia 1945 roku, nie pamiętam już z jakiego powodu mieliśmy kilka wolnych od pracy dni. Przyjeżdżający z odległego Hrubieszowa znajomi informowali nas, że w tym mieście można o wiele taniej niż w Lublinie kupić owoców, zwłaszcza jabłek, których wtedy na lubelskim targu często brakowało. Rada w radę ustaliliśmy, że za oszczędzone grosze pojedę tam, kupię kilkanaście kilogramów dobrych jabłek, a jak się okaże, że są rzeczywiście tanie, to i więcej, część tego sprzedamy na targu w Lublinie i zwrócą się koszty przejazdu, a reszta jabłek pozostanie do własnego użytku. Tęskniliśmy już do dobrych owoców, których od niemal dwóch lat prawie nie kosztowaliśmy.

Pojechałem.

Między Lublinem i Chełmem kursowały wtedy tylko pociągi ruskie, wymagające szerszych torów, lecz dość wygodne, z szerokimi półkami, na których można było spokojnie ułożyć się i spać aż do stacji końcowej. Pociągi kursowały nieregularnie, bez stałych rozkładów jazdy, stały długo na małych stacyjkach, przepuszczając składy wojskowe, zdążające na front. W tych warunkach podróż z Lublina do Chełma, 70 kilometrów odległości, trwała przeważnie całą noc. Nie przejmowałem się tym zbytnio: było się młodym, leżało się na półce, twardej wprawdzie, ale kości zaprawione w partyzanckim życiu wszystko znosiły bez bólu. Kilka razy odbywałem już taką podróż. A jeśli nie było możliwości wyspać się w pociągu, znajdowałem zawsze miejsce u bliskich i znajomych, których osiedliło się w tym mieście sporo. Zaczęły już szejdzać gromadnie rodziny zza Bugu i coraz więcej wołyniaków zapełniało ulice tego miasta. Przy okazji dowiadywałem się i o swoją rodzinę, która podobno jeszcze tej zimy miała zawitać na Ziemię Lubelską.

Jak to bywało poprzednio, tak i teraz pociąg stał bardzo długo gdzieś w Świdniku czy Dominowie, bo zaraz po wyjeździe z Lublina, przejechał potem kilka stacji i znowu zatrzymał się na prawie dwugodzinny postój, wreszcie około północy dotarliśmy do Rejowca. Do Chełma było już bardzo blisko.

Ledwie jednak pociąg ruszył, w wagonie pojawili się ruscy żołnierze i zaczęła się kontrola. Sprawdzali dokumenty, przepustki, coś do niektórych długo mówili, wypytywali, czasem podnosili w gniewie głos. Nie przejmowałem się tym zbytnio, gdyż miałem wszystkie

dokumenty w porządku, leżałem więc na półce pod samym sufitem i przyglądałem się czynnościom krasnoarmiejców. Doszli wreszcie do mego przedziału. Zażądali dokumentów. Podałem. Przeglądali długo, przekładali kartki i bez żadnego pytania, wyjaśnienia, ten, który trzymał dokumenty, rozkazał:

- A nu, złaź na niz!

- Dlaczego? - zapytałem.

- Dawaj skorej! - wrzasnął jeden z kontrolerów.

Zszedłem powoli na dół. Przy końcu wagonu, niedaleko drzwi, stała już spora grupka młodych jak ja chłopców. Odesłano mnie do nich. Gdy pociąg dojechał do Zawadówki, ostatniej stacji przed Chełmem, kazano nam wyjść na zewnątrz. Próbowaliśmy protestować, pokazywaliśmy bilety, lecz kilka grubiańskich słów, połączonych ze szturchnięciem tego i owego, przywołało nas do porządku. Podaliśmy się biernie rozkazom "przyjaciół", którzy pewnie wspaniałomyślnie wyręczali w najważniejszych obowiązkach władze polskie. Po chwili pociąg ruszył, nas zaprowadzono do pobliskiego domu i kolejno wzywano przed oblicze jakiegoś wyższego ruskiego oficera. Przesłuchanych wyprowadzano na dwór i odchodzono gdzieś w ciemność. Próby poinformowania się u odchodzących o co chodzi, czego chcą, żołnierze kwitowali głośnym krzykiem i niedwuznacznymi pogróżkami.

Przyszła wreszcie kolej na mnie. Wszedłem do obszernego pokoju. Za biurkiem siedział szeroko rozparty jakiś lejtnant i patrzył mi badawczo w oczy. Zbliżyłem się trochę nieśmiało. Zobaczyłem swoje dokumenty leżące przed oficerem.

- Kuda jediesz? - spytał krótko.

- Do Chełma - odpowiedziałem.

- Do kogo i w jakiej sprawie?

- Odwiedzić znajomych.

- Jak się nazywają i ich adresy - pytał szybko śledczy.

Ostatnie pytanie zaskoczyło mnie. Nie wiedziałem, czy mam prawo zdradzać nazwiska kolegów i znajomych, którzy, podobnie jak ja, nie należeli do "błagonadziejnych". Strzeliłem więc bez wahania nazwisko, jakie wpadło mi na myśl, fikcyjne naturalnie, następnie podałem także adres - pierwszą lepszą ulicę z wymyślonym numerem. Oficer przyjął to bez dodatkowych pytań. Kazał mi podać swój portfel. Otworzył go, przejrzał dokładnie wszystkie papierki, zdjęcia, przeliczył pieniądze i razem z dokumentami położył na brzegu biurka, a mnie kazał wyprowadzić. W towarzystwie żołnierza w zupe-

Inej ciemności przeszedłem jakieś podwórko, małą łączką i znaleźliśmy się przed drzwiami prowadzącymi do piwnicy, przed którymi stał strażnik z karabinem i osadzonym na nim bagnetem, otwartym jak do ataku. Nie wyglądało to mile i nie mogło budzić przyjemnych nastrojów.

- Adkrojl! - zwrócił się mój konwojent do strażnika. - A ty wiaź! - i zrobił ruch, jakby chciał mi pomóc kolbą swego karabinu.

Zszedłem po ciemnych schodach do wnętrza. Piwnica była prawie pełna aresztowanych. Ktoś miał elektryczną latarkę, zaświecił. Na grubej warstwie słomy, rozestanej na całej powierzchni piwnicy, siedzieli lub leżeli towarzysze niedoli. Dowiedziałem się wkrótce, że wszyscy są z pociągu i każdemu zadawano te same co i mnie pytania oraz stosowano tę samą procedurę z portwetami i ich zawartością. Niektórzy rozmawiali po cichu, śmieli się i żartowali, inni byli bardzo poważni, nawet zdecydowanie przygnębieni i nie odzywali się ani słowem. Nie potrafiłem domyślić się co te wszystko ma oznaczać.

Zaczął świtać, gdy rozpoczęły się od nowa rozmowy z zatrzymanymi. Nie wiem, o co pytano moich poprzedników, bo żaden z nich nie wracał. Wyprowadzono mnie jako jednego z ostatnich. W pokoju siedział już inny oficer, starszy stopniem i mniej od tamtego oschły. Wypytawszy mnie o imię, nazwisko, "atezestwo", inne personalia, adres i cel podróży, zagadnął na koniec:

- A ty paczomu nie w armii?

- Jeszezo maładoj - odpowiedziałem.

- Nu, tak małodszyje wojujuć! Wsie paszli na front bić Germanca! Nużna pajti!

Przeliczył wolno i uważnie pieniądze, spytał czy suma się zgadza i oddawszy wszystko, kazał iść, dokąd zamierzałem.

Na dworze czekał na mnie żołnierz, który oświadczył, że odprowadzi mnie na główną drogę. Zdziwiłem się trochę z powodu aż takiej uczynności, ale nie podejrzewałem żołdaka o jakiegokolwiek niedobre względem mnie zamiary. Niech sobie odprowadza! Takie tu pewnie panują zwyczaje. Balszaja kultura!

Ledwie jednak znikła za nami zagroda, w której spędziłem dzisiejszą noc i znaleźliśmy się wśród zarośli otaczających Zawadówkę, żołnierz wy dobył z kabury rewolwer i stanął za mną, popychając mnie do przodu lufą.

- A nu, stupaj paskotej! - powiedział groźnie i powtórzył pchnięcie lufą w plecy. Wyglądało to teraz o wiele gorzej niż wczoraj w pociągu w momencie aresztowania.

- Czy przypadkiem nie jest to moja ostatnia podróż po tej zie-

mi - przemknęła mi przez głowę niespokojna myśl. - Może i z moimi poprzednikami zrobili już porządek?...

Doszliśmy po paru minutach w zupełnym milczeniu do jakiejś samotnej niby-chatki wśród lasu. Żołnierz kazał mi wejść do środka. Wnętrze chaty, składające się z dwóch małych izb, było zupełnie puste, ściany były odrapane z tynku, drzwi powyrywane razem z zawiasami. W drugim pomieszczeniu w lewym kącie stało drewniane łóżko z garścią zmierzwionej słomy i resztkami czegoś, co niegdyś mogło być płachtą lub prześcieradłem.

- Łożyś! - rozkazał żołnierz. A gdy się ociągałem i oglądałem się na niego i jego ręce, wrzasnął z całej siły:

- Łożyś!!!

Położyłem się na plecach. Kazał mi odwrócić się na brzuch i ręce wyciągnąć na boki. Wykonałem rozkaz. Wtedy mój opiekun odczekał chwilę, jakby się namyślał, co robić dalej, a potem odezwał się już znacznie łagodniejszym głosem:

- Skolko imieisz dieniok?

- Aha, to o to ci chodzi? - pomyślałem. - Nie masz "dieniok" na wódkę i w ten sposób chcesz je zdobyć? To znaczy, że będziemy się targować. Ten jednak nie czekając mojej odpowiedzi sięgnął ręką do bocznej kieszeni mojego płaszcza i wyciągnął z niej portfel. Szybko, zwinnie wydobyl z przegrody pieniądze i przeliczył znajdującą się tam sumkę.

- Oddaj eto i pajdijesz damoj - zaproponował dość spokojnym głosem.

- Eto nie moi dijeni - odpowiedziałem. - Mam za nie kupić owoców i ubranie dla dziecka mojej koleżanki.

Odliczył kilkadziesiąt złotych, resztę zaczął zwijać jak swe własne,

- Wot, chwatit tiebia - wsunął odliczone banknoty do portfela, - a eto majo - i zwinętą w rulonik gotówkę próbował schować do swej kieszeni.

Uniosłem się z posłania.

- Nie ruszaj tego! - krzyknąłem. - To nie moje pieniądze!

- Łożyś!!! - wrzasnął znowu żołnierz i wyciągnął pistolet. Wiadać było, że nie zamierza ze mną żartować. Nie miałem żadnych szans. Nie rezygnowałem jednak. Położyłem się z powrotem i powiedziałem:

- Weź sobie 100 złotych, resztę oddaj, bo to nie moje. Jeżeli nie zechcesz, powiem lejtnantowi.

Udawał, że lekceważy moje pogroźki, ale zmitygował się tro-

chę. Zaczął się targ jak w przedwojennym żydowskim sklepie. Ostatecznie mój "wspólnik" podzielił się nieswoją gotówką równo po połowie, oddał mi moją część i pozwolił spokojnie odejść. U wylotu z lasu na główną drogę do Chełma stał inny sowiecki żołnierz i uśmiechał się podejrzanie, jakby chciał powiedzieć:

- Nu, czto, Baliak? Lżej ci iść bez pełnego portfela, prawda? - Bo na pewno wszyscy oni stanowili doskonale współpracującą ze sobą i pomagającą sobie nawzajem gromadę rabusiów. Na pewno później razem raczyli się zarobioną w tak łatwy sposób "horyłką".

Wróciłem do domu z kilkoma kilogramami jabłek. Nie było co sprzedawać. Koszta podróży nie wróciły się. Musiałem kilkakrotnie ze szczegółami opowiadać przykrą przygodę z sojusznikami. Więcej już na podobne spekulacje nie jeździłem.

7. Z wizytą u "Marszałka"

Niedługo po opisanym zdarzeniu przyjechał do Lublina mój kolega z kompanii por. "Rybitwy" batalionu "Jastrzębia" - Franio "Sęp", który doczekał się już rodziny i osiedlił się niedaleko Rejowca, w miejscowości o niezbyt wtedy żadnej nazwie - Bziteń - dziś zmienionej na Żulin. Oświadczył mi pół żartem pół serio, że przybywa służbowo od naszego wspólnego kolegi "Marszałka", który w pobliżu jego wsi organizuje oddział do walki z bolszewikami i rodziną komuną i wzywa wszystkich pod broń. Znalazł kogoś, kto awansował go do stopnia porucznika, bo u nas był tylko kapralem i powierzył mu tę ważną i odpowiedzialną funkcję. Ma już ze dwa plutony żołnierzy, czeka na więcej, a przede wszystkim pragnie zwerbować dawnych kolegów z Dywizji i powierzyć im dowództwo plutonów, kompanii, ponieważ jego oddział urośnie wkrótce do rozmiarów co najmniej batalionu.

Pamiętałem doskonale tego chłopaka, niewiele ode mnie starszego. Przyszedł do Zasmyk pod koniec lata 1943 roku razem z "Burzą" - Zygmuntem Adamskim i paru innymi. Rozpoczęli podobno partyzantską działalność w okolicach Maniawic na pograniczu Wołynia i Polesia pod dowództwem "Maksa" - Józefa Sobiesiaka, ale zniechęceni jego prosowiecką orientacją, opuścili oficjalnie ów oddział i dołączyli do "Jastrzębia". Byli dzielnymi, odważnymi żołnierzami, śmiało szli do każdego boju, tylko gdy przyszły czasy ciężkiej

próby głodu, bezsenności, brodzenia całymi nocami po bagnach i moczarach, nieustannego opędzania się od Niemców w pasie przyfrontowym, długiego przedzierania się z "Jastrzębiem" przez poleskie ostępy w pogoni za Dywizją, która wcześniej przeszła na Polesie, Zygmunt "Burza" nie wytrzymał. Pewnej nocy zniknął z horyzontu i poszedł szukać szczęścia na własną rękę. "Marszałek" był w tym czasie z Dywizją w kompanii por. "Wira" - Hieronima Kity i poczynał sobie bardzo dzielnie. A po rozbrojeniu nawiązał kontakt z "WiN"-em i znalazł się w szeregach tej organizacji, tylko że szedł chyba dalej, niż to było w zamierzeniach przywódców ugrupowania: zamierzał od zaraz przystąpić do otwartej walki, prawdopodobnie bez aprobaty zwierzchników. Zaciekawili mnie jego plany, zapatrywania i postanowiłem skorzystać z zaproszenia i zobaczyć się z kolegą. "Sęp" zostawił mi dokładny adres i umówiliśmy się na najbliższą niedzielę. Przed południem byłem już na miejscu, a o zmierzchu zjawił się mój potencjalny "dowódca", "Marszałek". Porucznik "Marszałek". Zabawnie brzmiało takie połączenie stopnia wojskowego z pseudonimem, lecz mój kolega nie przywiązywał do tego żadnej wagi.

- A co będzie, gdy zostaniesz marszałkiem? - żartowałem później.

- To zmienię pseudonim - odpowiedział "Marszałek" takim tonem, jakby to miało spełnić się bez większych trudności. - Zresztą już zastanawiam się, czy nie nazwać się "Jastrzębiem" na pamiątkę naszego dowódcy.

Ale to było potem. Wracam więc do początku spotkania.

W pokoju w domu Frania "Sępa" świeciła się już mała naftowa lampa, gdy rozległo się umówione stuknięcie w drzwi.

- Jest "Marszałek" - powiedział "Sęp" i poszedł otworzyć.

W progu stanął partyzant, który mógł wzbudzić lęk w najodważniejszym nieprzyjacielu. Nosił na sobie doskonały oficerski mundur, przedwojenną oficerską czapkę z otokiem, na której błyszczały dwie gwiazdki, nowiutki sten zawieszony na szyi, z lewej i z prawej strony kabury z pistoletami, dwa granaty za pasem, nowiutki mapnik, błyszczące oficerki - wszystko to robiło niemałe wrażenie. Pamiętając Stasia sprzed paru miesięcy nie wiedziałem, czy stanąć na baczność, czy zacząć się śmiać do rozpuku z tej niezwyklej przemiany. Stasio "Marszałek" był niskiego wzrostu, korpulentny, okrągły, ale teraz w owym galowym stroju i uzbrojeniu wydawał się znacznie wyższy i prezentował się wspaniale.

- Brawo, "Marszałek" - krzyknąłem otwierając ręce do uścis-

ku powitalnego. - Nie poznaje cię! Nie wyobrażałem sobie, Stasiu, że takim cię zobaczę!

- A co? Tak powinien wyglądać każdy polski oficer! I ty będziesz niedługo miał to, co i ja, jeżeli tylko przyjdiesz do nas.

Siedliśmy przy stole. Franio poszedł przygotować poczęstunek i oboje z żoną krzątali się w kuchni pobrzękując naczyniami, ja słuchałem wykładu swego kolegi na temat współczesnych zagadnień i obowiązków na nas spoczywających.

- Nie myśl, że jestem jakimś samozwańczym dowódcą - mówił z zapalem. - Jestem powołany na to stanowisko przez prawowite władze, polskie władze, nie moskiewskie, jak cały ten rząd lubelski, ten PKWN! Tobie nie trzeba tłumaczyć, do czego to wszystko zmierza, bo jesteś z Kresów, a Kresowiaków Stalin uświadomił chyba wystarczająco, prawda? Nie można teraz biernie przyjmować tego, co nam narzucają, tego, co się tu dzieje. Co zrobili z naszą Dywizją? Co robią z innymi oddziałami AK? Cała ludność wiejska jest po naszej stronie! Tylko gdzie niegdzie jakiś obibok szuka w MO albo w UB lekkiego chleba i władzy, ale ci się nie liczą, bo będą zawsze po stronie silniejszego. Pogadaj zresztą sam z którymkolwiek gospodarzem, każdy ci powie to samo co ja. Trzeba być gotowym do walki, mieć broń stale pod ręką, noc spędzać na ćwiczeniach, w dzień odpoczywać, żeby nie rzucać się w oczy szpiegom, co się włóczą po wsiach. Wojna z Sowietami wybuchnie na pewno i nie może nas zaskoczyć...

Mówił długo, tłumaczył, udowadniał swoje tezy. Gdy Franiowie podali kolację zakrapianą suto alkoholem, Stasio jadł, popijał i rozpałał się coraz bardziej w swych optymistycznych prognozach i ustaleniach strategicznych. Wreszcie, mając już dobrze w ezubie, chwycił mnie za rękę:

- Przymknij mi, Leon, że zostajesz ze mną! Inaczej cię nie wypuszczę, a nie chciałbym, żeby doszło do niedobrego zakończenia naszej rozmowy. Przymknij, już!

Zacząłem tłumaczyć, że wszystko to jest dla mnie zaskoczeniem, że nie spodziewałem się zastać aż taką sytuację, niemal zbrojne pogotowie, a przecież mam w Lublinie różne sprawy wymagające załatwienia, dom, rodzinę itd. Muszę pojechać, porozliczać się, choćby nawet pożegnać najbliższych...

Staś stawał się zaczął po prostu niebezpieczny. Ciskał się, chwycił za pistolet. Dopiero ostra interwencja Franke i jego żony sprawiły, że się nieco uspokoił i pozwolił mi odjechać, raczej wyrazić zgodę na jutrzejszy wyjazd do Lublina celem załatwienia

swoich osobistych spraw i stawienia się za dzień lub dwa na wyznaczone miejsce.

- Awans na oficera otrzymasz prędko - informował niedawny partyzant wołyński. - Dam ci najlepszych ludzi pod komendę, nie pożałujesz swojej decyzji.

Wracając pociągiem do Lublina wiedziałem dobrze, że była to pierwsza i ostatnia podróż w tamte okolice. Żał mi było Stasia, bo dobry był żołnierz i na pewno dobry Polak, lecz do samodzielnego dowódcy oddziału partyzanckiego na pewno nie dorastał. Poza tym nie widziałem sensu we wszczynaniu walki teraz, gdy wojna jeszcze się toczy i nie da się przewidzieć jej końca, mimo że z hitlerowskimi Niemcami na pewno będzie szybki koniec. Ale co dalej? To należy zostawić mądrzejszym niż nasze głowy i nie dać się porywać nerwem, zapaleczywością. Bazyl podzielił także moje zdanie, inni koledzy również. O "Marszałku" więcej nie słyszałem. Tylko kiedy doszło do krwawych porachunków w miejscowości Wierzchowina^{ny} niedaleko Chełma, prasa przypisała to akowskiemu podziemiu, a niektórzy miejscowi wspominali potem o jakimś oddziale z Wołynia, który w tamtych stronach przebywał. Byłem i jestem przekonany, że "Marszałek" w tym nie uczestniczył, ale jego tam obecność dawała pretekst do tego rodzaju podejrzeń. Niepotrzebnie imię wołyniaków na tym cierpiało.

8. Spotkanie z rodziną

W czasie, o którym mowa, coraz więcej rodzin z Wołynia, w tym także i z powiatu kowelskiego, porzucało swoje wsie i jechało na tę stronę Bugu. Nazwano to repatriacją, co było terminem mylącym, gdyż ludzie ci nie wracali do ojczyzny, lecz ojczyznę swą porzucali, pozostawiali w obcych rękach. Ale termin ten przyjęli się i tylko tak określano i urzędowo, i w rozmowach prywatnych dokonujący się proces przesiedlania. Wołyńscy gospodarze zajmowali najczęściej poukraińskie lub ponemieckie gospodarstwa. Tylko nieliczni osiedlali się w miastach. Większość rodzin chłopskich pozostała wierna ziemi i nie zamierzała się z nią rozstawać.

Rodzice przyjechali z całym uratowanym z wojny dobytkiem i z siostrami dnia 7 lutego 1945 roku. Osiedlili się niedaleko Chełma w Kamieniu. Otrzymali tam niewielkie i trochę zaniedbane gospodarstwo rolne, należące poprzednio do rodziny ukraińskiej. Gle-

by były tam żyzne, urodzajne, lecz stan budynków gospodarskich oraz dom mieszkalny pozostawiały wiele do życzenia. Trzeba było zainwestować sporo grosza, by doprowadzić obojście do należytego stanu.

Pojechałem "do domu" w kilka dni po osiedleniu się rodziny w Kamieniu. Serce ścisnęło się i z radości, że po tak długim rozstaniu wreszcie mogłem nacieszyć się swymi najbliższymi, ale i dlatego, że do drogich Zasmuk, rodzinnej wołyńskiej wioski, droga była już zamknięta. Daleko stąd, choć blisko w przestrzeni, pozostawało wszystko, z czym wiązałem swoją młodość - szkoła, kościół, każda dróżka i drożyna, każde drzewo, krzew, kamień i krzyż przydrożny. Wszystko, do czego się tak bardzo tęskniło w ciągu partyzanckich wędrówek i dokąd leciałoby się na skrzydłach, żeby choć raz jeszcze zobaczyć ukochane strony. Nawet twarze rodziców, babci, sióstr nie potrafiłem początkowo połączyć z nowym tłem obcych pomieszczeń, bo zawsze kojarzyły mi się z naszym domem, naszymi zasmuckimi zabudowaniami, zasmuckim krajobrazem. Odnosiłem wrażenie, że są tu wszyscy jedynie gośćmi, przelotnie się tu znaleźli, bo przecież miejsce wszystkich jest ciągle tam...

Siostry mimo przebytych chorób, tułaczki, ciężkich wojennych warunków powyrastały i wyglądały lepiej niż gdy je zostawiałem. Mama, zawsze spokojna i opanowana, łatwo przystosowywała się do każdego warunków i wszystko znosiła bez protestu. I teraz, chociaż żałowała Zasmuk i dorobku całego życia, krzątała się żwawo po obojściu, pochłonięta zupełnie bieżącymi sprawami. Natomiast ojciec zmienił się bardzo. Prawie się nie uśmiechał, raz po raz popadał w zadumę i wpatrzony w jedno miejsce jakby zapominał o całym świecie, przenosząc się myślami w rodzinne zabużańskie strony. Zbladł, posmutniał, spoważniał.

- Widzisz, synu, do czego to doszło - zaczął mówić, kiedy po zakończonym obrządku siedliśmy w kuchni przy niewielkim oknie. - Do czego to doszło... - powtórzył. - Tyle pracy, cośmy włożyli w nasze gospodarstwo, żeby postawić je na nogi, tyle biedy przeszliśmy, kiedy spaliły się nam budynki i trzeba było stawiać nowe, tyle zachodu, tyle strachu, żeby przeżyć ukraińskie rzezie i kiedy to wszystko było już poza nami, rzucaj człowieku własne kąty, własne podwórze, ziemię, dom, sprzęty i ruszaj w świat, gdzie oczy poniosą, na cbee, nieznane, gdzie każdy może ci powiedzieć, że przyszedłem dorabiać się jego krzywdą. Bo i oni, ci co tu mieszkali przed nami, też pewnie z takim samym sercem odjeżdżali

jak my z Zasmuk. Po co to komu potrzebne, co kto z tego skorzysta? Nie skorzysta Hitler, co to wszystko rozpętał, bo już się tam powoli wykańcza, a i Stalin, jego przyjaciel, pójdzie kiedyś do diabła, a tysiące, miliony ludzi musi przez nich cierpieć, jak my tu, w tym Kamieniu. Nie lepiej, żeby każdy pilnował swego zagonu, co go dostał od swego ojca i dziada? A teraz powiedz - zwracał się do mnie innym głosem, jak kiedyś, gdy chodziło o sprawy konspiracyjne - ty tam obracasz się w szerokim świecie, między różnymi ludźmi, powiedz, wrócimy jeszcze do Zasmuk? Bo jakbym miał nie wrócić, to lepiej sobie od razu życie odebrać i nie męczyć się, nie tulać bez końca...

Czułem prawie to samo, ale widziałem, że nasz ojciec przeżywa rozstanie z ojcowizną o wiele mocniej niż my wszyscy, zacząłem więc pocieszać, tłumaczyć, robić nadzieję, a wtedy w tatusia jak by wstępował nowy duch, nowe życie.

- Oj, żeby twoje słowa spełniły się, żeby tak było, bo inaczej bieda z nami.

Nasz ojciec był bardzo pracowity, zaradny, umiał obracać się w różnych sytuacjach, ale gdy nabił sobie coś głowy jakichś trosk i kłopotów, niezłatwo z nich się otrząsał. Mijały wtedy dni, czasem tygodnie, a ojciec chodził zadumany, zamknięty w sobie, nie mogąc odzyskać równowagi. Niektóre sprawy dokuczały mu jak psychiczna zadra całymi latami. Ta zadra - wygnanie z rodzinnej wsi i ziemi - pozostała do końca życia.

Ważną cechą w charakterze naszego ojca była ambicja, często wygórowana, doprowadzająca do niepotrzebnych konfliktów. Ale bywało, że ona właśnie dopingowała go do wysiłku, gdy zdawało się, że stoi na straconej przycyji. Ona sprawiała, że w domu, w polu, każda praca musiała być wykonana starannie, dokładnie, bo "co ludzie o mnie powiedzą?" Przejawem tej nadmiernej ambicji było dotrzymywanie danego słowa. Powiedział sobie, że nasze gospodarstwo, zniszczone pożarem, musi stać się jednym z najlepszych i latami harował, ale w końcu postawił na swoim. I gdy już wypłynął "na szefokle wody", wszystko runęło.

Ten dziwny rodzaj ambicji, bardzo nieraz konfliktowy, bywał też przyczyną nie lada jakich dokonań. Przypomina mi się jeden ważny szczegół z czasów pogromu Żydów.

Latem 1942 roku wrócił nasz ojciec z Kowla w stanie mocnego zdenerwowania, niepokoju. Z wyrazu twarzy i zachowania się łatwo było odgadnąć, że coś niezwykłego musiało się wydarzyć. Długo nie mogliśmy dowiedzieć się o przyczynie zdenerwowania, bo ojciec lu-

bił długo nosić w sobie tajemnicę i nie zdradzić jej nikomu, ale tym razem widać było, że go ona męczy, że jeśli ją wypowie, dozna na pewno ulgi. Rozumiała to przede wszystkim nasza mama, patrzyła z niepokojem na zachmurzoną twarz naszego taty, ale początkowo wolała nie pytać o nic, żeby nie spowodować jakiegoś wybuchu gniewu, co często w podobnych przypadkach się zdarzało.

A był to okres wyjątkowo niespokojny i spędzający wszystkim sen z oczu. Niemcy rozpoczęli likwidację Żydów. Jeszcze nie przybrało to charakteru masowego, ale już ruszały pierwsze transporty gdzieś na zachód, strzelano do Żydów na ulicy, szalał na swym motocyklu osławiony żandarm Mantel, który podobno nie zjadł śniadania, zanim nie zabił Żyda, a w jego braku kogokolwiek. Popłoch, przerażenie, blady strach widać było wśród Żydów na każdym kroku. Wiedzieli wszyscy o zakazie udzielania pomocy dyskryminowanej ludności, o tym, że "Jude" są wyjęci spod wszelkiego prawa, a chociaż to prawo znaczyło dla wszystkich bardzo niewiele, bo byle żołdak był jego źródłem, ale Żydzi byli w sytuacji najgorszej. Ich żółte "łaty" i gwiazdy budziły litość dla nich, a odrazę do "narodu panów". Do Kowla jechało się teraz tylko w ostatecznej potrzebie.

Ta właśnie sprawa była przyczyną niezwykłego zachowania się naszego ojca. Po paru godzinach milczenia zdradził wreszcie tajemnicę. Spotkał mianowicie gdzieś w bocznej ulicy znajomego Żyda nazwiskiem Mełamed, który zaczął go zaklinać, by udzielił jemu i jego rodzinie pomocy, żeby odwiózł wszystkich gdzieś w okolice Lucka, ale takimi drogami, by ominąć placówki i posterunki niemieckie. Ojciec nasz długo nie chciał się zgodzić na tę wyjątkowo ryzykowną podróż, Żyd jednak używał takich słów, takich argumentów, był tak nieustępliwy, grał na ambicji, twierdził, że do nikogo nie miał by odwagi zwrócić się w takiej sprawie, bo wie, że można to przypłacić życiem, ale on święcie wierzy, że nasz ojciec będzie w stanie takiego czynu dokonać. Obiecał wysoką nagrodę, ale to tylko zdenerwowało naszego tatę.

- Co ty sobie myślisz - wołał w gniewie ojciec - że ja dam się kupić za twoje za...ne pieniądze? Jak zechcę pojechać, to i za darmo pojedę!

Żyd przeproszał, kłaniał się, ale ciągle nalegał, nie ustępował. I gdy wreszcie użył najsilniejszego argumentu - zaczął mówić o małych dzieciach, które już są skazane na pewną śmierć, a tam, pod Luckiem, mają szansę ocalać, ojciec wyraził zgodę. Cała rodzina Mełamedów miała czekać w okolicy Zielonej nad Turią i stamtąd mieli wyruszyć w kierunku Lucka.

Lecz w drodze do domu zaczął nasz tata rozważać na zimno podjętą pochopnie decyzję, przewidywać niebezpieczeństwa, trudności z podróżą związane i doszedł do wniosku, że porwał się na rzecz przechodzącą jego możliwości.

- Po kiego czorta ja mu obiecałem? - złościł się na siebie samego. - Tylko on ma małe dzieci, a ja nie? Jego lepsze od moich? I jego życie ważniejsze od mojego? Ale tak mnie zagadał, zbałamucił, zamargotał, że na odczepnego obiecałem mu. I co mam teraz zrobić? Jak nie pojedę, to go zaraz tam złapią i zabiją razem z tymi jego dziećmi! Mam brać na sumienie tę całą jego żydowską rodzinę? Sam nie wiem, co robić?

Milczeliśmy zaskoczeni i zasluchani. Tylko mama jakoś nieśmiało odezwała się:

- Jak już obiecałeś, to co teraz poradzisz? Zawieź i już.

- Zawieź, zawieź! - tata zerwał się z krzesła. - Dobrze ci powiedzieć "zawieź"! A ty zdajesz sobie sprawę z tego, co to znaczy dziś wieść całą furę Żydów? Spójrzy pierwszy napotkany Niemiec czy ukraiński policjant na ausweiss, zobaczy skąd jestem i co mu powiem? Dokąd jadę i z kim? Wiesz, co grozi za pomaganie Żydom? Jedno przytknięcie rewolweru i po wszystkim. Łatwo powiedzieć "zawieź"! ale jak? Już różnie myślałem, wszystko na nic. Pojadę i już mnie pewnie nie zobaczycie. Dobrze dwa dni drogi w jedną stronę!

- No to nie jedź i nie narzekaj! Nikt ci głowy za to nie urwie.

- A moje słowo? Przecież mu obiecałem! Mówiłem ci! Będzie Żydzisko na próżno czekał i co o mnie pomyśli?

Długo toczyła się prowadzona w ten sposób rozmowa i skończyła się na niczym. Ostateczna decyzja nie zapadła, tylko atmosfera w domu zrobiła się jeszcze gorsza. Podzielaliśmy zdanie naszego ojca, że danego słowa należy dotrzymać, a jednocześnie strach nas ogarniał na myśl, co może się w drodze przydarzyć.

Następnego dnia o świcie nasz tata wyruszył w drogę. Nie nikomu nie powiedział, z nikim się nie pożegnał, odjechał tak, jakby miał wrócić za godzinę, dwie. Przez trzy dni chodziliśmy myśląc tylko o jednym: co się dzieje z naszym ojcem?

Wrócił przed upływem zapowiedzianego wcześniej terminu. Na nasze ciekawe spojrzenia i pytanie mamy rzucił tylko krótkie: W porządku! Zawiozłem, gdzie chcieli! I więcej nic na ten temat nie mówił.

Dopiero następnego dnia dowiedzieliśmy się o przebiegu podró-

ży. Wymagała rzeczywiście odwagi, zimnej krwi, niemal poświęcenia. Opowiadał nam ojciec, jak kluczył po leśnych bezdrożach, jak omijał większe wsie i osady, jak budził ciekawość, zwłaszcza Ukraińców. Patrzyli na jadących jak na dziwowisko, bo Żyd nie wioził wielu rzeczy, jedynie parę walizek, ale cała rodzina poprzebierała się w dziwaczne stroje, które ich zdaniem miały maskować ich semickie rysy, a w rzeczywistości zwracały uwagę każdego, kto pojawił się na trasie przejazdu. Przy eleganckich spodniach jakaś połatana marynarka, ale kołnierzyk koszuli sztywny, wykrochmalony. Jedno dziecko robiło wrażenie panicza, drugie obszarpanca itd.

Największe niebezpieczeństwo zawisło nad jadącymi, gdy trzeba było forsować Stochód. Przez most bał się tatuś jechać, zresztą było do niego daleko od wybranej trasy. Zapytani o możliwość przedostania się na drugą stronę miejscowi ludzie wskazali jakiś niby bród, ostrzegając jednocześnie, że są tam niebezpieczne wyrwy, z których można nie wyjechać, bo koń nie wyciągnie wozu tak przeładowanego, a nawet sam może ugrzęznąć. Wizja lokalna potwierdziła owe ostrzeżenia. Brzeg raczej urwisty, dna nie widać, prąd bystry. Długo chodził nasz ojciec tam i z powrotem, sięgał biczyskiem dna, próbował jego twardości. Już miał zamiar zrezygnować z dalszej jazdy, lecz wtedy pasażerowie narobili takiego lamentu, wrzasku, że ani sposób było pozbyć się ich z wozu. Sytuacja robiła się coraz bardziej dramatyczna, bo na dodatek z różnych stron zaczęli schodzić się gapię, a kto wie, czy nie znajdzie się wśród nich jakiś donosiciel i zawiadomi Niemców! Wtedy nasz ojciec postawił wszystko na jedną kartę.

- Siadłem na wóz - opowiadał - wziąłem mocno lejce w garść, przeżegnałem się i powiedziawszy "W imię Boże, wie Siwa!" ówisnąłem kobyłą batem po nogach. Bała się wejść do wody, a potem skoczyła nagle tak, że wóz momentalnie pogrążył się w rzece, a woda sięgała połowy drabin. Żydzi zaczęli wołać rozpaczliwie ratunku. Nie zważałem na to ani trochę. Bałem się tych wyrw, żeby kobyła nie wpadła w którą i nie stanęła, bo wtedy już nie da rady ruszyć. Koła ugrzęzną w błocie i ani siedzieć, ani schodzić! Dlatego machałem batem, pokrzykiwałem, szarpałem lejcami, a Siwa tylko się zgarbiła i ciągnęła, parskając, chrapała, aż dał robiło się zwierzęcia. Na szczęście od środka rzeki dno było twardsze, a i brzeg bardziej płaski. Odetchnąłem, jak wóz stanął na suchym, a Żydzi rozwrzeszczeli się z radości i myślałem, że mnie rozszarpią. Dałem Siwej trochę odpocząć, wysapać się, bo okropnie robiła bokami i wtedy dopiero ruszyliśmy dalej.

Dalsza podróż odbyła się już bez większych kłopotów. Raz tylko zatrzymali ich jacyś cywile i pytali skąd i dokąd jadą, raz przecięły im drogę dwa niemieckie motocykle z żołnierzami w przyczepach, ale szczęściem furmanka była jeszcze oddalona od nich o 250 - 300 metrów, nie zwrócili więc na nią żadnej uwagi. Wreszcie niedaleko Kiwero Żydzi oświadczyli, że ten teren znają już bardzo dobrze i dalej pójdą pieszo. Wysiedli w miejscu osłoniętym gęstymi zaroślami, a ojciec nasz zawrócił. Chcieli płacić, dawali paczkę karbowanów, ale ojciec nie cofał danego słowa, że jak zechce zawieźć, to i za darmo zawiezie. Wtedy Melamed wyjął z kieszeni zegarek, zdaje się że poślacany i oświadczył, że to nie zapłata, lecz pamiątka tej "paskudnej" podróży. Po krótkim targu ojciec zgodził się przyjąć pamiątkę i wrócił do domu. Jechał szybko, bo wóz był teraz lekki, droga znajoma, nie było lęku przed Niemcami.

- Ciekawym, czy Melamedowie przeżyli? - pytał nieraz potem nasz ojciec samego siebie. - Czy przydała się im ta podróż? - Widać jednak było, że czuł się z siebie zadowolony, że dokonał tego bądź co bądź trudnego czynu.

Taki to był człowiek. Niszbyt łatwy we współżyciu, kapryśny, niecierpliwy, ale kto mu zagrał na ambicji, mógł osiągnąć wiele. Teraz, po opuszczeniu ojcowizny, nigdy już nie wrócił do dawnej równowagi psychicznej. Po niespełna trzech latach gospodarowania w Kamieniu sprzedał, czy zostawił ziemię sąsiadowi i przeniósł się z rodziną na Ziemię Zachodnie do województwa koszalińskiego, gdzie objął nowe gospodarstwo poniemieckie. Tu warunki były znacznie lepsze: gleby także żyzne, szosa przez wieś, dobre połączenie ze światem, murowane zabudowania, wszystko zdawało się sprzyjać dalszemu spokojnemu życiu. Niestety, wyrwany z rodzinnej ziemi nie potrafił nasz ojciec nigdzie zaaklimatyzować się naprawdę. Gdy w dodatku zapadł na oczy, oddał ziemię, a po dziesięciu latach prawie tułaczki od miejscowości do miejscowości zakończył życie. Tylko mama, zawsze spokojna i opanowana, mimo osiemdziesiątego siódmego roku życia trzyma się nadal zupełnie dobrze.

Źle również zniosła pożegnanie z Wołyniem babcia, mama naszego ojca. Chociaż była już w podeszłym wieku, należała do ludzi nadzwyczaj wesołych, pełnych werwy i humoru. Opowiadała nam niezliczone bajki, lubiła śpiewać, przebywać w wesołym towarzystwie. Kiedy przyjechałem do Kamienia, ujrzałem naszą babcię bardzo poważną i zamyśloną. Ucieszyła się wprawdzie zobaczywszy mnie, bo bardzo swoje wnuki lubiła, ale nie była to już ta sama kobieta, którą zostawiłem odchodząc latem 1943 roku do partyzanckiego od-

działu. Straciła dobre samopoczucie, pogodę, spokój. Ucieszyła się, gdy zacząłem uczęszczać do szkoły, bo także, jak ojciec, chciała widzieć w nas w przyszłości wykształconych ludzi, ale nie była to już dawna otwarta radość. Opowiadała tylko o ostatnich zdarzeniach za Bugiem, w domu, kto zginął, kto umarł, kto gdzie wyjechał. Po mniej więcej roku zmarła, choć też marzyła o zobaczeniu przed śmiercią ukochanych Zasnuk. Spoczywa na starym cmentarzu w Kamieniu.

Jak już wspominałem, nie mogłem pozostać na stałe w domu ze względu na zmianę nazwiska. Zresztą miałem już inne plany i zamierzenia: postanowiłem się dalej uczyć.

POWRÓT DO SZKOŁY

1. Zostaje uczniem

Po dwu czy trzech dniach pobytu w domu wróciłem do Lublina i do cukrowni na buraczany plac. Kampania cukrownicza powoli zbliżała się do końca. ^{w ostatnich dniach} ~~szczyt~~ lutego fabryka stanęła, a wraz z nią skończyło się stałe zajęcie. Szukałem się w sytuacji wymagającej stanowczej decyzji: szukać pracy, czy...? Właśnie - co? Marzyłem o nauce, lecz nie śmiałem nawet przed sobą przyznać się do tego. Tylko kiedyś w rozmowie ze Stefanem Smarzewskim oświadczyłem, że mam taki zamiar, ale to wyrwało mi się raczej podświadomie. Obecnie myśl o szkole zaczęła napastować mnie coraz częściej.

Z pomocą w jej uzewnętrznieniu i wprowadzeniu zamiaru w czyn przyszli dobrzy ludzie, przede wszystkim koleżanka z Zasnuk - Joasia Zamościńska, bliska kuzynka Bazylego. Ta dzielna i ambitna dziewczyna, ledwie tylko ruszyły pierwsze szkoły w Lublinie, zgłosiła się do Liceum im. Jana Zamojskiego, by kontynuować rozpoczętą jeszcze przed wojną naukę w szkole średniej. Raz i drugi zwróciła mi uwagę, bym uczynił to samo. Nie widziałem możliwości realizacji dobrej rady. Przede wszystkim bałem się trudności materialnych. Poza tym trapiła mnie obawa, czy jakkolwiek szkoła zechce mnie przyjąć bez świadectwa, czy choćby zaświadczenia o dotychczasowej nauce. I jeszcze jedno: rok szkolny w funkcjonujących już szkołach dawno się rozpoczął. Przechodząc do klasy w trakcie nauki nie dam sobie przecież rady, a czekać do następnego roku wydawało mi się za długo. Tłumaczyłem to Joasi, lecz ta nie przyjmowała moich argumentów do

wiadomości i powtarzała swoje:

- Zwracasz głowę! Jeżeli tylko zechcesz, dasz sobie radę. A czasu trwonić szkoda!

Powtórzyło się to kilka razy, wreszcie zdecydowałem się, tym bardziej, że i Bazyli, i Libuszka byli tego samego zdania, a Libuszka zaczęła nawet także uczęszczać do którejś ze szkół, zdaje się, że do jakiegoś Studium Pedagogicznego. Teraz, kiedy zdradziłem swój zamiar przed rodzicami i babcią i zyskałem ich aprobatę, klamka zapadła.

W początkach marca 1945 roku przeczytałem ogłoszenie, że przy ulicy 1 Maja, w pobliżu dworca PKP otwiera się nową szkołę średnią dla dorosłych. Poszedłem natychmiast po bliższe informacje.

Rezultat okazał się nadzwyczaj pomyślny i przeszedł moje oczekiwania. Nabór trwał. Zauważyłem nawet, że dyrekcja okazuje nie ukrywane zadowolenie z każdego nowego kandydata. Powiedziałem o swych niepokojach z powodu braku świadectwa lub zaświadczenia z ukończonych klas. Powiedziałem też szczerze, że uczyłem się tylko w tajnym gimnazjum, potem przebywałem w partyzancie, po rozbrojeniu do tej pory pracowałem zarobkowo, a teraz chciałbym się uczyć. Tylko że pewnie wszystko zapomniałem i nie jestem pewien, czy dam sobie radę na normalnych lekcjach.

- Webec tego musimy przeprowadzić egzamin - powiedział zastępca dyrektora naczelnego, mgr Aleksander Serafin, który akurat w tym dniu przebywał w kancelarii. - Kiedy mógłby się pan zgłosić?

Zastanowiłem się chwilę i odpowiedziałem:

- Jeśli już mam zdawać egzamin, to wszystko mi jedno kiedy, bo i tak - dziś, jutro czy za tydzień - będę umiał tyle, co w tej chwili. Żeby się przygotować, musiałbym mieć podręczniki, wiele czasu, a przecież nie mam nic. Mógłbym odpowiadać choćby zaraz. Nie wiem tylko, czy to co umiem, wystarczy do dalszej nauki?

- Dobrze - zgodził się mgr Serafin. - Przejdźmy do wolnej klasy i przekonamy się, ile pan umie i do czego to wystarczy. Sprawdźmy, co pan zapamiętał, a co z głowy uleciało.

Weszliśmy do obszernej pustej klasy. Siadłem w ławce, dyrektor za stołem i rozpoczął się egzamin. Pamiętam, że opowiadałem o Kochanowskim, jego pieśniach i trenach, mówiłem o odrodzeniu w Polsce i Europie, o poezjach Mickiewicza, o powstaniach narcdowych, aż do wybuchu pierwszej wojny światowej i udziale w niej Polaków. Gdy skończyłem o lądach i morzach na kuli ziemskiej i rozwiązałem jakieś bardzo proste zadanie o jednej niewiadomej, dyrektor uśmiechnął się i

powiedział przyjaźnie:

- Chyba wystarczy. Nie będę zadawał więcej pytań, bo widzę, że pamięta pan dużo, więcej niż przypuszczałem. Może pan już czuć się uczniem naszej szkoły.

W ten sposób rozpocząłem naukę w klasie III gimnazjum. Szkoła miała charakter tak zwanej "przyśpieszonej", to znaczy w ciągu jednego roku przechodziło się materiał dwóch klas. Nie było w programie takich przedmiotów jak śpiew, gimnastyka, różnych przysposobień obronnych itp. Pracy było bardzo dużo, jeśli chciało się znać na bieżące cały materiał. Profesorowie wymagali dużo, a niektórzy uchodzili za przysłowiowe "piły", bo cisnęli bezlitośnie, zanim zdecydowali się postawić pozytywną ocenę. Ale jednocześnie stwarzali bardzo życzliwą i przyjazną atmosferę, byli zawsze pogodni, nawet gdy ktoś robił za słabe postępy, starali się nie peszyć, nie zrażać uczniów, wiedząc, iż warunki wojny i długiej przerwy w nauce spowodowały niejedną lukę, której natychmiast wypełnić się nie da. Okazało się później, że absolwenci szkoły nie zawiedli swych wykładowców. Dostawał się niemal każdy na wyższe studia i dobrze sobie na nich radził. Nauka w tego typu uczelni wymagała dużej dozy samodzielności, a to z kolei wyrabiało w nas konieczność dawania sobie rady, liczenie na siebie, na swe własne umiejętności.

Klasa trzecia, do której zacząłem uczęszczać, składała się zaledwie z pięciu osób, nie też dziwnego, że w takiej sytuacji koniecznie należało być stale przygotowanym do odpowiedzi, zapamięć o korzystaniu z podpowiadania, ćwiczenia i wypracowania musiało się pisać samodzielnie, gdyż profesorowie zawsze byli w stanie sprawdzić każdy wypadek niesumienności. Zresztą przyznać trzeba, że uczyliśmy się z chęcią. Długotrwały pobyt poza szkołą wytworzył w każdym głód wiedzy i głębokie poczucie zadowolenia, że w końcu możemy spokojnie uczyć się, choć gdzieś tam pod Berlinem grzmiały jeszcze działa i trwają zmagania wojenne.

Spore kłopoty powodował brak podręczników. Zdobywaliśmy różnymi sposobami przedwojenne książki szkolne, nieraz mocno już sfatygowane, czasem w stanie idealnie dobrym, ale ciągle było ich za mało. Do niektórych przedmiotów jeden musiał wystarczyć dla całej piątki. Chodziłem więc od księgarni do księgarni i za ostatnie grosze kupowałem, co tylko było możliwe. Codziennie podręcznik musiał przewędrować przez kilka rąk, inaczej trudno byłoby dać sobie radę.

Podobnie rzecz się miała z lekturą szkolną. Biblioteki i wy-

pożyczalnie jeszcze nie funkcjonowały, niektóre dopiero zaczęły porządkować swe księgozbiory, szukało się więc wśród kolegów, znajomych każdej potrzebnej pozycji i spędzało na czytaniu długie wieczorne i nocne godziny. Dopiero kiedy otwarto bibliotekę wojewódzką im. K. Łopacińskiego z dużą, wygodną i zawsze czysto utrzymaną czytelnią, warunki w tym względzie wyraźnie się poprawiły. Można było przyjść sobie do czytelni w każde popołudnie i w ciszy przeczytać i opracować każdą potrzebną pozycję, porobić notatki, wyciągi itd. Rzecz ciekawa, że wiedza tam zdobywana utrzymywała się w głowach o wiele łatwiej i trwalej niż wszystko, co się robiło w domu. Sprzyjała temu sama atmosfera czytelni i możliwość skupienia uwagi wyłącznie na przedmiocie zainteresowania.

Bardzo szybko minął marzec, kwiecień, zaczął się maj, a z nim nastąpiły niespodziewane zmiany w moim młodzieńczym życiu.

2. Znowu w lesie

Normalny tok nauki szkolnej został przerwany parotygodniowym okresem czegoś, co można by nazwać wagarami, gdyby wydarzyły się w innym czasie i miały inny przebieg, wynikały z lenistwa lub chęci zabaw i użycia. Ówczesne jednak wydarzenie, o którym chcę mówić, dalekie było od tego, co określa się mianem wagarów.

Stale dochodziły nas wieści o toczących się walkach wojska, milicji i UB z tak zwanymi "bandami akowskimi" czy "reakcyjnym podziemiem". Czytaliśmy o owych walkach w gazetach, mówiono o ich przebiegu w radio, opowiadali pewne szczegóły znajomi, ukazując je w innym świetle, niż to głosiły "oficjalne czynniki", które przedstawiały rządowe siły zbrojne jako uosobienie dobroci, łagodności i niewinności, przeciwników zaś jako zbójców i zwyczajnych zbrodniarzy. Wiedzieliśmy o oddziałach "Żelaznego", "Zapory", słyszeliśmy coś o "Ostoi" i innych, ale przede wszystkim z relacji gazetowych. Raz mówiono o doszczętnym zniesieniu tego lub owego oddziału, to znowu za kilka dni ukazywały się w "Rzeczypospolitej" lub w innych czasopismach doniesienia drukowane wielkimi literami o napadach dopiero co zniesionych oddziałów na jakies posterunki i placówki MO albo UB.

Co pewien czas słyszało się o dezercji z wojska byłych Akowców, a gdy front odsunął się daleko na zachód, moi starsi znajomi - głównie dawni przełożeni z Dywizji - wręczali mi jakieś listy i wysyłali a to do Łodzi, a to do Krakowa lub dalej z poleceniem nie otwierania ich i doręczenia wyłącznie do rąk własnych adresata. Poleceniom towarzyszyły czasem hasła i odzewy, zupełnie jak w czasach konspiracji. Działo się coś ważnego, tylko nie wiedziałem nic konkretnego co? Koledzy odwiedzali nadal nasz dom "pod trójką", przynosili coraz to nowe wieści o dalszych aresztowaniach, więzieniach, deportacjach lub w najlepszym razie, jak to było od początku - przymusowym wcielaniu do wojska.

Jedna z relacji dotknęła mnie szczególnie mocno. Oto doniósł mi ktoś, że jeszcze jesienią ubiegłego 1944 roku, Sowieci wraz z naszymi aresztowali i wywieźli do Rosji dwóch naszych żołnierzy i dobrych kolegów z Wołyńskiej Dywizji - "Srokę" - Janka Tutusa z Zasnyk, prostego żołnierza i plutonowego "Kowińskiego" - Janka Bednarka z pobliskich Radowicz. Obaj mieszkali w Siennicy Różanej koło Chełma. Obaj pracowali na roli u bliskiego znajomego, prowadzili spokojny tryb życia i nagle... otoczono dom o świcie i zgarnęli obu. Cóż zawinili ci zwyczajni prości ludzie? Nie "kułacy", nie oficerowie, nie przedstawiciele zbrojnego podziemia. A gdyby nawet popełnili jakieś wykroczenie, gdyby byli oficerami AK czy t. zw. "kułakami", co stanowiło jedynie pretekst do aresztowań, to przecież od sądenia i wydawania wyroków na polskich obywateli były polskie urzędy, pomijając kwestię ich legalności czy nielegalności. Tymczasem bez sądu, nawet najmniejszego śledztwa, polscy obywatele, zostają zabrani przez naszych "sojuszników" i niktą jak przysłowiowy kamień rzucony w wodę. Wszelkie próby dowiedzenia się czegoś o ich losie nie dawały żadnego rezultatu. A podobnych przypadków było co niemiara. Wydarzenia te budziły napięcie norwów, oburzały, wywoływały chęć obrony i odwetu, szczególnie gdy się owe fakty zestawiało z pięknie brzmiącymi artykułami o doznawanej przez naród wolności, o swobodach obywatelskich, o wyzwoleniu spod jarzma burżuazji itp.

- Cóż, zwyczajna niewola - mówił ten i ów. - Skończyła się jedna okupacja, zaczęła się druga. Całe szczęście, że na pewno nie będzie trwała długo, bo Zachód prędko pozna się na prawdziwym obliczu Sowieców.

Przyszeli maj. Zakwitły drzewa, krzewy, kwiaty na rabatach. Któregoś poranka wyszedłszy na Plac Litewski zobaczyłem gromadzą-

cych się wokół rozwieszonych na słupach głośników radiowych przechodniów.

- Cóż tam nowego? - spytałem najbliższej stojącej.

- Podobno wojna się skończyła - odpowiedział młody mężczyzna w kapeluszu na głowie.

Włączyłem się w zgromadzony tłum. Ludzi przybywało coraz więcej. Aparatów radiowych w domach przeważnie nie było, zarekwirowali je Niemcy, kto więc chciał usłyszeć najnowsze wiadomości, mógł to uczynić przechodząc na Plac, gdzie całymi godzinami bez przerwy płynęła z megafonów jeśli nie muzyka to nowa za nową, wiadomości polityczne i inne, bez względu na to, czy byli chętni do słuchania czy nie. Teraz tych chętnych było wyjątkowo dużo.

Wreszcie nadszedł oczekiwany moment. Z głośników popłynął komunikat oznajmiający bezwzględne kapitulację Niemiec. Po słowach aktu kapitulacji nadano komentarz, potem jeszcze jakąś aktualną audycję. Patrzyłem na wielkie gromady ludzi i dziwiłem się, że nie widać w ich twarzach spodziewanego entuzjazmu, wybuchu radości z powodu zakończenia wojny. Owszem, słyszało się ciche westchnienia "nareszcie", ale przecież taka wiadomość jak koniec wojny powinien być wywołać radosne okrzyki, wzajemne uściski, rzucanie czapek w górę, jak to potem oglądaliśmy na filmach. A tymczasem tłum słuchał, porozumiewał się półgłosem, czasem tylko widziało się uśmiechy na twarzach. Po zakończonym komunikacie zaczęto powoli rozchodzić się każdy do swego zajęcia, każdy w swoją stronę. Jedynie wśród najmłodszych widać było żywszą i bardziej radosną reakcję na to historyczne wydarzenie.

Dopiero wieczorem tego dnia niebo zajaśniało dziesiątkami kolorowych rakiet, wystżakami na wiatr zapełniły się peryferie miasta, z różnych stron wyły fabryczne syreny. To jednostki wojskowe i milicja fatowały dzień zwycięstwa. Pamiętam, jak staliśmy z grupką kolegów na ulicy Peowiaków przed kinem "Apollo" /dziś "Wyzwolenie"/ i obserwowaliśmy niebo mieniące się od iluminacji.

Jeszcze nie przebrzmiały echa tego wielkiego wydarzenia, gdy w pewne popołudnie odwiedził mnie jeden z kolegów z 27 Dywizji, dawny mieszkaniec Kowla, "Szary" - Henio Mieloszyk, chłopak bardzo dzielny i inteligentny, którego siłą ubrano w mundur wojskowy i usiłowano wysłać na front. Korzystając z jakiejś okazji opuścił swą jednostkę i zniknął z horyzontu. Teraz nagle zjawił się w pełnym umundurowaniu, jakby przed chwilą jeszcze maszerował krokiem defiladowym. Wszystko czyste, dopasowane, zapięte na ostatni guzik.

Po krótkiej rozmowie na ogólne tematy poprosił mnie do małego pokoiku.

- Słuchaj - powiedział - mam do ciebie ważną sprawę. Nie jestem już od paru tygodni w wojsku. Zdezorientowałem i wcale nie żałuję tego. Jestem znowu w oddziale partyzanckim. Nie zachciałbyś pójść ze mną?

- Gdzie? W jakim oddziale? - Byłem zupełnie zaskoczony propozycją. Nie mogłem zebrać myśli. Znowu jakiś nowy "Marszałek"? Znow samowładczy oficer? Nie za wiele tego? Ale Heńka znałem jako bardzo poważnego chłopca, który głupstw nie zwykł był robić, zatem jego słowa znaczą chyba coś innego niż niedawne Stasia.

- Jestem w oddziale naszym, z naszych chłopaków złożonym, z "Jastrzębiem" na czele.

- Z "Jastrzębiem"? Naszym?

- Z naszym, naszym, nie cudzym - "Szary" zaczął uśmiechać się widząc moje zdziwienie i niedowierzanie.

- I gdzie ten oddział? Mów wyraźnie, bo nie nie mogę zrozumieć. Przed paru miesiącami byłem w takim oddziale u "Marszałka", ale żeby "Jastrząb"?

"Szary" zaczął opowiadać, że już od kilku tygodni przebywa w polu, że już wcześniej utrzymywał z naszym dowódcą stały kontakt, że kapitan "Jastrząb" zbiera ludzi, głównie swych dawnych podkomendnych i zaczyna przygotowywać się do ostatecznej rozprawy o prawdziwą Polskę. Wymienił kilku kolegów, którzy od początku nie opuszczają "Jastrzębia", naszych wypróbowanych dawnych partyzantów. Oddział nie prowadzi na razie żadnych akcji bojowych, lecz przygotowuje się do nich. Tu "Szary" opisał przebieg codziennych zajęć, zapewnił, że stosunek miejscowej ludności do podziemnego wojska jest nad podziw życzliwy, nie ma mowy o jakiegokolwiek zdradzie, donosach czy czymś podobnym. Wszyscy zdają się tylko czekać hasła do walki z bolszewizmem, która zresztą prędzej czy później musi nadejść.

Słuchałem oszołomiony i zdeorientowany. W bardzo podobny sposób argumentował niedawno swą działalność Stasio "Marszałek". Zresztą wszyscy czuliśmy to samo, ale trzeba ocena rzeczywistości wskazywała raczej na potrzebę zachowania spokoju, bo nie przecież nie wskazuje na szybką zmianę sytuacji. Ludzie dość sają wojny, rządy chyba też. A sami do niczego nie dojdziemy, szczególnie walką zbrojną. Tylko jedno nie dawało mi spokoju: obecność w oddziale "Jastrzębia". Człowiek ten nie tylko należał do najlepszych dowódców dywizyjnych, lecz uważany był za wyjątkowego reali-

stę w ocenie rzeczywistości politycznej. Skoro więc sam "Jastrząb" podjął taką decyzję, to to coś już znaczy. Tego lekceważyć nie należy.

- To co mam powiedzieć "Jastrzębiowi"? Przychodzisz? Czy może idziesz od razu ze mną?

Do dłuższej chwili namysłu odpowiedziałem:

- Przyjdę, tylko jeszcze nie zaraz. Mam sporo takich spraw, które wymagają osobistego załatwienia. Muszę zwrócić kolegom pożyczone podręczniki, zawiadomić niektórych bliskich mi ludzi, że odchodzę, przede wszystkim rodziców, a to wszystko zajmie mi parę dobrych godzin czasu. Wybiorę się jutro nad wieczorem. Czekaście mnie przed północą.

Heniek pozostawił mi dokładny adres, opisał marszrutę, zapoznał z umówionym hasłem i wyruszyłem w drogę. Zostałem sam z natłokiem myśli skłębionych, niespokojnych, z poczuciem lęku, jakby dokonywało się w tej chwili coś najważniejszego w moim życiu, coś o wiele ważniejszego niż pożegnanie rodziny przed dwoma laty, gdy także rzuciłem dom, bliskich i odchodziłem również do oddziału "Jastrzębia", tego samego, który i dziś czeka na nas, tylko wtedy, w sierpniu 1943 roku był to zwykły obowiązek, który nakładała konieczność walki z kupańcem o wolność Polski oraz obowiązek obrony polskich rodzin przed ukraińskimi rzeźniami. Teraz stało przede mną zadanie, którego nie łatwo było zrozumieć, pojąć, bo wszystko to zakrawało przecież na przygotowanie do bratobójczej walki. Kto mógł zaręczyć, że Polacy, którzy są dziś przy władzy, na wypadek konfliktu z bolszewikami nie każą swym siłom zbrojnym stanąć po ich stronie? Już nawet teraz to się dzieje. Polscy milicjanci wraz z wojskiem likwidują polskie oddziały, które nie złożyły dotąd karabinów i ukrywają się daleko od miast. Jak postąpić? Co wybrać?

Tej nocy prawie nie spałem.

Nazajutrz cały dzień uwijałem się, aby pozakładać wszystkie ważniejsze sprawy, dać znać do domu, że przez dłuższy czas nie będzie mnie w Lublinie, a przed zachodem słońca byłem już daleko od miasta, wśród pachnących wiosną pól i kwitnących sadów, w ciszy wiejskich zabudowań, wsłuchany w daleki rechot zab i odgłosy dochodzące z wiejskich podwórek. Zostawiałem rodzinę Bazylego, która była mi jak najbliższa, własna, zostawiałem szkołę, kolegów i koleżanki, zostawiałem Alę - sympatię jeszcze z zasmyckich czasów, a obcenię uczennicę tej samej co ja klasy, jedyną dziewczynę z Zasmyk, która była mi w tym czasie wszystkim, a potem miała zostać

moją żoną i towarzyszką całego życia. Przebyliśmy razem kęs drogi na partyzanckim szlaku, opiekowała się mną, gdy byłem ranny, a obecnie wraz z matką pędziły prawie tułaczy żywot w Lublinie.

Szedłem w nieznane. Nieznane i - czułem to wyraźnie - bardzo niebezpieczne. A jednocześnie podniecała mnie świadomość, że oto rozpoczyna się chyba ostateczny bój z wrogiem, wprawdzie silnym i trudnym do zwalczania, ale nie pierwszy to przecież raz Polacy chwyтали za broń mierząc siły na zamiary, by przywrócić wolność swemu narodowi. Aż tym razem dowódcy chyba wiedzą, co robią, mają pewnie informacje z zagranicznych polskich ośrodków o konieczności przygotowań do ostatecznej rozprawy. I jakaś nie do końca uświadamiana duma napełniała mnie, że oto znajdę się wśród tych pierwszych, którzy rozpoczną i będą kontynuowali śmiertelny bój. Długa droga nawet mnie nie bardzo męczyła. Nogi nie bolały, a cudowne majowe powietrze przy bezchmurnym niebie przywodziło na pamięć podobne wędrówki po rodzinnym Wołyniu jeszcze w czasach młodości, kiedy świat cały chciało się przytulać do serca i radować się każdą przeżywaną chwilą.

Gromadkę dawnych kolegów zastałem w obszernej stodole nad wysokim stromym brzegiem Wieprza. Było ich zaledwie kilku, starszych Jastrzębiaków, uczestników niejednej bitwy wczesną wiosną ubiegłego roku na kowelskim froncie i wcześniejszych potyczek z ukraińskimi rezunami. Nie spali jeszcze, rozmawiali i żartowali, jak w dawnych czasach. Dowódca przebywał gdzieś poza obojściem, ale zaraz miał nadejść. Zdziwiło mnie tylko, że nie ma Henka, bo mówił przecież, że wyrusza na pewno przed wieczorem. Lecz koledzy uspokoili mnie, że wróci jeśli nie dziś, to jutro lub pojutrze, gdyż zdarzało się już poprzednio, że wysłany do Lublina wracał z opóźnieniem. Nie było w grupie rygoru wojskowego, raczej bliska i serdeczna atmosfera koleżeńskiego współżycia, przyjaźni i zrozumienia. A Henka "Szarego" dowódca darzył szczególnym zaufaniem, pozostałym jeszcze z czasów partyzanckich, na co zresztą chłopak w pełni zasługiwał. Oprócz odwagi i gotowości do najbardziej niebezpiecznych przedsięwzięć odznaczał się dużym wyrobieniem towarzyskim, jakimś darem zjednywania sobie ludzi, powierzał mu więc "Jastrząb" różne trudne zadania, wierząc, że wykona je zgodnie z oczekiwaniem. I teraz wszyscy byli pewni, że nieobecność tego wczorajszego żołnierza spowodowana jest uzasadnionymi przyczynami. Dopiero gdy Haniek nie wrócił i przez kilka następnych dni, gdy minął tydzień i drugi, a o "Szarym" nie było żadnej wieści, nabra-

liśmy przekonania, że musiało mu się przytrafić coś niedobrego jeśli nie w drodze, to jeszcze w Lublinie.

- Może zdradził go ten kompletny wojskowy mundur? - rzuciłem podejrzenie.

- Przeciwnie - odpowiedział któryś z kolegów. - Mundur pozwalał mu poruszać się po mieście z całą swobodą. Żołnierzy wtedy nikt nie legitymował, byli poza wszelką kontrolą i Heniek z tego korzystał. W mundurze czuł się nawet pewniej, spokojniej się zachowywał. Musiało zajść coś innego, czego ani on, ani my nie przewidzieliśmy.

Na wszelki wypadek już po kilku dniach oczekiwania zmieniliśmy miejsce postoju i odeszliśmy o parę kilometrów dalej, podejrzewając, że dotychczasowe mieszkanie może być spalone. Dowiadaliśmy się przy tym w miejscach kontaktowych w Lublinie, pytali znajomych, bez skutku. Heniek przepadł jak przysłowiowy kamień w wodzie i słuch o nim zaginął.

Dopiero w wiele lat później mieliśmy się dowiedzieć, że nasz kolega zginął w drodze do oddziału. Za miejscowością Łuszczów natknął się na przejeżdżających samochodem uborców, którzy zobaczywszy wieczorem idącego samotnie żołnierza zatrzymali go, a ponieważ nie miał żadnej przepustki ani dokumentów wojskowych, gdy w dodatku znaleźli przy nim pistolet, bez namysłu rozstrzelali go w pobliskim lesie, polecając najbliższemu gospodarzowi zakopać zwłoki w miejscu gdzie padł. Opis przez gospodarza przebiegu zajścia i zabitego młodego żołnierza dokładnie odpowiadał rysopisowi "Szarego".

Po wielu latach wszystkie groby żołnierskie otwierano i ekshumowano prochy na cmentarze w Lublinie, Kazimierzu i w innych miejscowościach, najczęściej nie podając w protokołach ekshumacyjnych bliższych danych personalnych, gdyż tańowych nie było. Dlatego do dziś nie wiemy, gdzie spoczywa nasz poległy tragicznie kolega. Domyślać się tylko można, że najprawdopodobniej w Lublinie przy ulicy Lipowej.

Nasz pobyt w oddziale, zgodnie z tym co mówił "Szary", nie miał nic wspólnego z działalnością partyzancką. Nie dokonywaliśmy żadnych akcji bojowych, nie napadaliśmy na posterunki MO, urzędy, czy oddziały wojskowe, nie likwidowaliśmy komunistycznych działaczy. Dowódca nasz twierdził, że nie nadszedł jeszcze czas na walkę z bronią w rękę, że w tej chwili chodzi tylko o to, by była kadra do pokierowania przyszłymi działaniami, które jednak mogą nastąpić dopiero w warunkach ogólnej wojny z bolszewizmem stalinowskim, bo

że chwila taka wkrótce nadejdzie, o tym nasz dowódca ani przez chwilę nie wątpił. Mówił, że należy mieć kontakty z naszymi kolegami rozsiyanymi w różnych częściach kraju i w odpowiednim momencie wezwać ich pod broń. Mieliśmy w przyszłości spełniać rolę grupy kadrowej, co młodemu chłopakowi wydawało się szczególnym wyróżnieniem.

Przez około dwa do trzech tygodni posuwaliśmy się powoli w kierunku północno-zachodnim, coraz bliżej Łukowa, potem zawróciliśmy na zachód i znaleźliśmy się w połowie mniej więcej drogi między Łukowem a Dęblinem. Na dłuższy postój zatrzymaliśmy się w miejscowości Fiukówka, w pobliżu stacji kolejowej Krzywda. Odwiedził nas tam major "Kowal" - Jan Szatowski, niedawny dowódca zgrupowania kowelskiego "Gromada" w 27 Wołyńskiej Dywizji AK, wyjątkowo dzielny oficer i prawdziwy przyjaciel żołnierzy, do którego wszyscy chłopcy żywili szczere uczucia przywiązania i ufali w najtrudniejszych sytuacjach, na co zresztą całkowicie zasługiwał. Jego działalność w powojennej konspiracji dodała nam otuchy, podbudowała psychicznie i sprawiła, że poczuliśmy się o wiele pewniej niż dotychczas. Mjr "Kowal" był uczestnikiem kampanii wrześniowej, zapisał się chlubnie brawurową ucieczką z oflagu w Woldenbergu, potem pełnił funkcję inspektora Rejonowego w Kowlu na Wołyniu, był dowódcą 50pp w naszej Dywizji, a przez pewien czas po śmierci ppłk "Oliwy" - Jana Wojciecha Kiwerskiego dowodził także Dywizją. Teraz, po aresztowaniu tylu jego kolegów oficerów, podoficerów i żołnierzy, po oszczerstwach rzucanych nieustannie na AK i pomawianiu jej o współpracę z okupantem itd. mjr "Kowal" uznał, że honor Polaka i obywatela wymaga walczyć z tego rodzaju rządem i ustrojem, gdyż nie ma on nic wspólnego z Polską i Polakami, poza stekiem pustych i gołosłownych frazesów, całkowicie sprzecznych z codzienną rzeczywistością. Wywody majora utwierdziły nas w przekonaniu, że nie popełniliśmy błędu i idziemy drogą godną prawdziwego Polaka.

Naszą wiarę w dobro sprawy, której służymy, podtrzymywała również postawa ludności wiejskiej, wśród której przebywaliśmy. Podobnie jak parę tygodni temu nad Wieprzem, tak i później aż do tej pory, wszędzie napotykaliliśmy samych tylko ludzi rozczarowanych istniejącą sytuacją. Wszędzie dominowały w Polsce Podziemnej oddziały AK, one tylko naprawdę biły się z Niemcami, one dokonywały sabotażów, zamachów, broniły ludności i rwały się dalej do walki, aż tu nagle nowe władze oświadczają autorytatywnie, że AK stała "z bronią u nogi", że walkę prowadziły jedynie ugrupo-

wania lewicowe, których poprzednio nikt w zasadzie nie widział i te rażące kłamstwa zrażały nawet tych, którzy poprzednio wydawali się sympatykami lewicy. Gdziekolwiek zjawiliśmy, ludzie opowiadali nam o aresztowaniach wśród swych bliskich, naturalnie byłych akowców, o bestialskim postępowaniu wobec aresztowanych, o zamykaniu do więzienia i deportacji w głąb Rosji. Czuło się, że społeczeństwo tylko czeka na dzień rozpoczęcia otwartego działania przeciwko nowym okupantom. Nazwiska członków PKWN były przedmiotem nieustannych drwin, dowcipów, zabawnych piosenek, wierszyków, przyśpiewek, często niezbyt eleganckich, jak na przykład: "g...o w trawie zapiszczało i tak sobie myśli równo, że w tej naszej Polsce biednej rządzi jak chce każde g...o. Tę piosenkę, tę z przeróbki, śpiewam dla pana Osóbki, a tę drugą, zza stodółki, śpiewam dla pana Gomółki..." itd. Wszystko to wytwarzało klimat, który w poważnym stopniu uzasadniał niejako nasze konspiracyjne poczynania.

Ciekawy byłem, co dzieje się w szkole, jak traktuje Dyrekcja moją nieobecność? Skreślono mnie z listy uczniów, czy też figuruję na niej nadal? Co porabiają Bazylowie i co słychać w ogóle w Lublinie? Tęskniłem do pozostawionej w szkole sympatii i stale zastanawiałem się, czy będzie mi dane wrócić tam jeszcze, obejrzeć pozostawione miejsca, z którymi zdążyłem się już żyć, a przede wszystkim zobaczyć własną rodzinę, która nie wiem, czy zaaprobuje moją może zbyt pochopną decyzję. Bo przyznać muszę, że mimo wyżej przytoczonych uzasadnień natchodziły mnie często wątpliwości, czy nasze marzenia, nadzieje mają naprawdę realne podstawy? Któż może nam zaręczyć, że nowa wojna wybuchnie i że będziemy rzeczywiście do czegoś potrzebni? Że codzienne narażanie się na aresztowanie albo śmierć od kuli milicjanta czy ubowca ma jakiś głębszy sens? Przeżyliśmy już tyle nieszczęść, udało nam się wyjść z nich cało, czyż potrzebne są dalsze ofiary? Dalsza krew? Znowu mielibyśmy odbywać ów jakże krwawy szlak, jak tamten od Zasmyk Do Skrobowa? W dodatku w bratobójczej walce? Myśli te napastowały mnie nieraz z wyjątkową siłą i tylko autorytet dowódców nakazywał mi trwać dalej na posterunku i wykonywać ich polecenia, na szczęście dalekie od przelewu krwi.

Gdzieś w połowie czerwca wezwał mnie do siebie ppt. "Jastrząb" i oznajmił, że mam nazajutrz udać się do Lublina z ważnym listem, który winionem oddać tylko bezpośrednio adresatowi. Wybrał mnie jako najlepiej obznajomionego z miastem, nie będę więc musiał pytać o ulice, szukać potrzebnych informacji, co mogłoby wzbudzić podejrze-

nie ze strony milicji czy zwykłych tajniaków, od których nie była wolna żadna ulica i żadna instytucja. Ucieszyłem się bardzo powierzoną mi funkcją posłańca. Wiedziałem, że zadanie nie należy do całkowicie bezpiecznych, ale tylko dzięki temu mogłem odwiedzić choćby na kilka minut swoich najbliższych. Raniusieńko dnia następnego byłem już w drodze.

Podróż przebiegła bez jakichkolwiek niespodzianek. Adresata odnalazłem bez trudności, otrzymałem natychmiast odpowiedź, napisaną szyframi na małym świstku papieru, który ukryłem starannie według instrukcji dowódcy, potem wpadłem na krótko "pod trójkę". Radości było wiele, witano mnie jako przybysza z najodleglejszych stron, z jakiejś egzotycznej krainy. Na szczęście wszystkich zastałem w dobrym zdrowiu, dobrym samopoczuciu, w szkole nawet nie pytano dlaczego nie uczęszczęm. Sądono pewnie, że zachorowałem albo że zdarzyła mi się jakaś inna przeszkoda w odbywaniu nauki.

Późnym wieczorem byłem z powrotem w miejscu postoju.

Dni upływały nam na śpiewaniu żołnierskich przeważnie piosenek, słuchaliśmy opowiadań kpt. "Jastrzębia" o różnych ciekawych zdarzeniach - historycznych, obyczajowych, a przede wszystkim o przyszłości, jak to kiedyś "pójdziemy jeszcze tam, kędy Zagłoba niegdyś chadzał", snuł nasz dowódca gawędy o ziemiach zabranych przez złego sąsiada ze wschodu, o ludziach tam żyjących, którzy nie mają równych sobie pod względem gościnności, dobroci, waleczności i przywiązania do swej ojczyzny. Czasem chodziliśmy penetrować okolice, czy nie ma w pobliżu czegoś podejrzanego, czy nie wjechało gdzieś niespodziewanie wojsko, ale płynęły dni, a w bliższej i dalszej okolicy była cisza i spokój. Zresztą o wszelkich podejrzanych zjawiskach informowała nas natychmiast miejscowa ludność. Przewędrowaliśmy w biały dzień i z bronią na ramieniu Fiukówkę, Radoryż, Krzydę, Orle Gniazdo, Adamów, Wojcieszków i wiele innych miejscowości, nigdzie nie natrafiając na niechętnych sobie ludzi, witani z sercem i wesołym uśmiechem. Ludzie znali już nas, pozdrawiali z daleka, zapraszali do swych domostw.

Pewnego razu dowódca wezwał do siebie mnie i jeszcze dwóch kolegów i oznajmił nam, że zostaliśmy wyznaczeni jako kandydaci do szkoły oficerskiej czy podoficerskiej, dokładnie już nie pamiętam, szkoły, naturalnie, tajnej, "leśnej", która ma być zorganizowana i zlokalizowana w okolicach Radzyna Podlaskiego. Dzisiejszej nocy w zupełnej tajemnicy mamy tam się udać. Otrzymaliśmy na małym karteluszkach opis marszruty, hasła i kontakty do niektórych wsi z prawem żądania podwód, które kolejno, etapami, mają nas podwozić do

miejsca przeznaczenia. Spośród wiosek leżących na trasie przejazdu, zapamiętałem do dziś nazwę tylko jednej, mianowicie Paskudy. Była późna noc, gdy do niej dotarliśmy. Nazwa całkowicie odpowiadała wyglądowi wsi: ubogie, pochylone ku ziemi chaty, wałące się płoty, jakieś niby-sadki, niskie, przysadziste, piaszczysta droga, porośnięta na poboczach gdzie niegdzie piekunem, którego zapach dołatywał bardzo wyraźnie, zupełnie jak w sonecie Kasprowicza o "chatach rzędem na piaszczystych wzgórkach". Pamiętam jak gospodarz, do którego okna zapukaliśmy i podaliśmy hasło, wyszedł do nas rozczochrany, w lichym ubiorze, lecz bez słowa protestu lub jakiegokolwiek objawów niechęci zaprzęgił konia i odwiózł nas do następnego punktu kontaktowego. I tak trochę furkami, więcej pieszo dotarliśmy w końcu na miejsce przeznaczenia.

Zameldowaliśmy się u porucznika "Snopa" w niewielkiej chacie, daleko od wsi, pod lasem. Był to człowiek młody, liczący nie więcej niż 35 lat, ubrany w oficcerski, dokładnie dopasowany mundur, dość wesóły, nawet nieco jowialny, przystępny, ale jednocześnie żelazną ręką trzymający swój oddział złożony z kilkudziesięciu ludzi. Wszyscy byli dobrze uzbrojeni, młodzi, pewni siebie, nieco zawadiaczy. Do nas od pierwszego dnia odnosili się nad wyraz przyjaźnie, jak byśmy znali się od niepamiętnych czasów. Równie życzliwie przyjął nas dowódca. Wiedział dużo o 27 Wołyńskiej Dywizji i odnosił się z szacunkiem do jej dowódców i żołnierzy. Na pytanie o szkołę odpowiedział, że są w tej chwili kłopoty z jej uruchomieniem, ponieważ na przeszkodzie stoi brak kadry wykładowców, a oprócz tego nadekło pełno jest wojska i milicji. Zaczynają ponętrować niektóre wsie, a nawet były już przypadki pacyfikacji. Spłonęło parę zabudowań, aresztowano kilka osób i zabrano do Lublina. Miejscowe społeczeństwo jest oburzone na takie objawy rządzenia, nie odbiegające od metod niemieckich.

- Trzeba będzie trochę naszych nowych panów i władców pogonić, to może się uspokoją - powiedział raz por. "Snop". - Za dużo sobie pozwalają.

Nie minęło więcej niż dwa dni, kiedy wywiad przyniósł wiadomość, że od strony Lublina jedzie kilka samochodów wyładowanych wojskiem. Zmierzają najprawdopodobniej do miejscowości położonej niedaleko Czemiernik, gdzie zdarzył się jakiś incydent między miejscowym posterunkiem a ludnością miasteczka czy wsi. Por. "Snop" natychmiast zarządził alarm. Po kilku minutach oddział był gotów do wymarszu. Nam również dowódca polecił dołączyć do swoich.

Zatrzymaliśmy się w lesie tuż obok biegnącej tymtędy szosy. Nie potrafiłbym dokładnie określić miejsca, w którym to się działo, ponieważ nie znam tamtego terenu. Ułożyliśmy się w przydrożnych rowach z bronią gotową do strzału. Po linii poleciał rozkaz nie strzelania przed sygnałem dowódcy. Wszyscy leżeli pełni napięcia i oczekiwania. Dawno nie czułem się tak zdenerwowany.

Nie upłynęło więcej niż pięć minut, gdy z lewej strony, od południa, rozległ się szum silników samochodowych, monotonny i jęklivy. Żołnierze popatrzyli znacząco na siebie i poprawili się na stanowiskach. Jeszcze parę chwili i spoza zakrętu wyłoniły się jedno po drugim zdaje się cztery auta ciężarowe, wyładowane po brzegi siedzącym na ławkach wojskiem. Maszyny jechały szybko, jak by czując potrzebę takiego właśnie tempa. W pierwszej chwili poczułem w sobie dreszcz emocji, jak niegdyś w Dywizji, gdy w podobnej sytuacji oczekiwało się na nadjeżdżających Niemców lub Ukraińców. W tym samym jednak momencie znów lotem błyskawicy przeleciały przez głowę myśli, czy wszystko to jest potrzebne, uzasadnione? Nie powiem, że bym czuł się na tym dziwnym posterunku leśnym dobrze. Coś mi przeszkadzało, odbierało spokój, było sprzeczne z moją konstrukcją psychiczną i postawą humanitarną, nie mówiąc o obywatelskiej.

Nie było jednak czasu na dłuższe rozważanie, bo ledwie minęło mnie ostatnie auto, gdy w przodzie rozległy się gęste strzały karabinowe, a z samochodów zaczęli gwałtownie zeskakiwać siedzący dopiero co żołnierze i zniknąć w lesie po przeciwnej stronie szosy. Strzelanina nie ustawała. Samochody, chyba bez uszkodzeń, pomknęły dalej i znikły za zakrętem. Nie widziałem zabitych, nie słyszałem jęków. Wtem wśród łoskotu karabinów wypadł nagle na mnie jeden z żołnierzy. Chciał widocznie przeskoczyć na prawą stronę szosy i szukać schronienia za plecami leżących w rowie chłopców "Snopa". Ujrzałem go, gdy był nie dalej niż trzy, może cztery kroki ode mnie, niemal nad moją głową. On także zobaczył mnie w ostatniej chwili. Zdążył tylko zeskoczyć z szosy do rowu.

- Rzuc broń! Bieć do góry! - krzyknąłem jak automat.

Żołnierz natychmiast wykonał rozkaz i patrzył na mnie przerażonym wzrokiem. Trzymałem go cały czas na muszce.

- Czogo pan ode mnie chce? Co panu zrobiłem? Co panu zrobiłem? - usłyszałem nagle nad sobą, a w głosie mówiącego było tyle żalu, błagania, lęku - ba, przerażenia, a poza tym słowa jego były tak niepodważalnie logiczne, że w pierwszej chwili zaniomówiłem, nie wiedząc, co dalej robić. I nie namyślając się, na pewno wbrew wo-

li dowódcy, powiedziałem stanowczym głosem opuszczając karabin:

- No to zwiewaj! Tylko już!

Chłopak początkowo poruszył się szybko w kierunku drzew, lecz najpewniej pomyślał, że strzelę do niego, gdy będzie uciekał, bo zawahał się, potem zaczął odstępować powoli, krok po kroku, nie spuszczając ze mnie oka. Złakłem się, że ktoś z oddziału "Snopa" zobaczy, jak puszczam wolno jeńca. Na pewno miałbym z tego powodu nieprzyjemność, a może posądzonoby mnie o współpracę z władzami.

- Już cię nie ma! - krzyknąłem jeszcze raz, lecz chyba jakimś niesamowitym głosem, bo żołnierz czy ubowiec natychmiast znikł między drzewami.

Tymczasem strzelanina ucichła. Szosa milczała, a tylko gdzieś w lesie rozlegały się jeszcze pojedyncze wystrzały. Zapewne żołnierze z samochodów ostrzeliwali się, sądząc, że ich ścigamy. Po krótkim czasie dano sygnał do zbiórki. Okazało się, że schwytano jednego tylko młodego chłopca w cywilnym ubraniu, liczącego najwyżej 17-18 lat, który jechał na jednym z aut. Poddany potem badaniu, z użyciem kija, co wydało mi się zwykłym barbarzyństwem, bo nigdy przy podobnym przesłuchaniu nie byłem, przyznał, że wojsko jechało tam i w tym celu, o którym donosił nasz wywiad. Pozwoliło mi to nieco ochłonąć, utwierdziło mnie bowiem w przekonaniu, że nie my zaczęliśmy te bratobójcze rozrachunki.

Tej jeszcze nocy cały oddział zmienił miejsce postoju. Młody jeńiec, o ile sobie dobrze przypominam, został przedtem stracony, ponieważ przyznał się do współpracy z UB. Nie podzielałem zdania, że tak należało uczynić, ale nie miałem w podobnych sprawach głosu i nikt mnie o zdanie nie pytał.

Po kilku dalszych całkowicie spokojnych dniach otrzymaliśmy od porucznika "Snopa" informację, że na razie szkoła, do której zostaliśmy przysłani, nie zostanie uruchomiona i że możemy wracać do swego oddziału. Gdyby zaszły jakieś pomyslane zmiany i nauka miała się rozpocząć, zostaniemy o tym w porę powiadomieni. Już więc następnego dnia udaliśmy się w drogę powrotną.

3. Tragedia "Jastrzębia"

Po dotarciu w okolicy Krzywdy zastaliśmy naszych chłopaków pogrążonych niemal w rozpacz. Spytani o powód odpowiedzieli, że nasze dowództwo prawie nie istnieje, dowództwo, to znaczy kapitan

"Jastrząb". Jest prawie śmiertelnie ranny i nie wiadomo, czy będzie żył. Przebywa w szpitalu, tylko nie wiadomo gdzie, a zastępuje go sierżant "Grzmot", dawny szef naszej kompanii. Poruszeni do głębi losem swego dowódcy zaczęliśmy wypytywać o szczegóły, co się stało, kiedy, jak? Napad? Obława? Dlaczego tylko "Jastrząb", najostrożniejszy, zdawałoby się, ze wszystkich znanych nam oficerów, najbardziej przezorny i uważny? Trudno było uwierzyć w podobny przypadek. Kiedy nadszedł sierżant "Grzmot", zaczęliśmy wypytywać go o szczegóły. Zaczął niechętnie, bo nie raz już musiał relacjonować przebieg zdarzenia, ale zgodził się powtórzyć je jeszcze raz. Brzmiało to mniej więcej tak:

- Odesłaliśmy chłopców do Orlego Gniazda, a sami we dwóch z kapitanem zostaliśmy w miejscowości Okrzeja w celu załatwienia pewnej bardzo ważnej sprawy, ważnej dla naszego dalszego działania. Siedzieliśmy w pokoju u gospodarza, człowieka pewnego i wypróbowanego, darzonego całkowitym zaufaniem. Ponieważ oczekiwany łącznik nie nadchodził, zgodnie z obowiązującą zadadą, że w takich sytuacjach czekać nie należy, bo mogło się coś przytrafić, mieliśmy już opuścić mieszkanie, gdy nagle ujrzelśmy pod oknami i przy drzwiach żołnierzy z karabinami gotowymi do strzału. O ucieczce czy obronie nie mogło być mowy. W tej samej chwili wkroczył do izby jakiś oficer z rewolwerem w rękę, a z nim kilku żołnierzy i zażądał złożenia broni. Nie było wyjścia. Znaleźliśmy się z kapitanem "Jastrzębiem" na podwórzu w piwnicy, zamkniętej od zewnątrz na kłódkę i ze strażnikiem przy drzwiach. Przez kilka godzin nie mówiliśmy do siebie nic. Każdy rozpamiętywał swój los sam i każdy sam próbował wyobrazić sobie najbliższą przyszłość, na pewno nie różową. Zaczynał się świt, gdy "Jastrząb" zwrócił się do mnie z pytaniem, czy nie mam przy sobie czegoś ciężkiego? Nie miałem nic, prócz butelki z mlekiem, którą dała mi gospodyni na drogę, wiedząc że bardzo świeże mleko lubię, i którą do tej pory trzymałem w kieszeni. Nawet o niej zapomniałem. Kapitan wziął butelkę do ręki, poruszył nią, jak by ważył i ocenił jej przydatność, potem ozwał się swym charakterystycznym głosem:

- Ehm, ehm, może być. Zrobimy ich dzisiaj na mleczno. Niech pan stuka, żeby otworzyli, a jak otworzą, niech pan wciągnie wartownika do środka. Resztę już ja załatwię, ehm, ehm...

- Zacząłem walić pięścią w drzwi, domagając się wyprowadzenia mnie do ubikacji - ciągnął dalej sierżant "Grzmot". - Początkowo żołnierz pełniący wartę nie chciał ani słyszeć o spełnie-

niu moich żądań, po jakimś czasie otworzył, ale zdaje się po to tylko, aby nas uciszyć. Gdy tylko ukazał się we drzwiach, szarpnąłem go z całej siły ku sobie, a "Jastrząb" w tej samej chwili uderzył go butelką z mlekiem w głowę. Uderzenie musiało mieć swoją moc, bo butelka rozprysła się w drobne kawałki, a żołnierz zwałił się z nóg jak worek siecarki. My w tym samym momencie wyskoczyliśmy na zewnątrz i w nogi. Niestety, przy drzwiach domu, gdzie pewnie nocowali oficerowie, stał inny wartownik i ten strzałem zaalarmował cały oddział. Wybiegli za nami i zaczęła się pogoń. Strzelali gęsto, krzyczeli "stój! stój!", ale na nasze szczęście było jeszcze szaro i nie mogli dobrze mierzyć, choć pociski prawie ocierały się o nas i kąśliwie sykały nad głową. Las był już bardzo blisko, kiedy kapitan krzyknął i zachwiał się. Zdołał tylko dobiec do stojącej obok zabudowań pod samym lasem sterty słomy i skryć się w nią. Nie miałem pojęcia, czy "Jastrząb" żyje, czy otrzymał postrzał śmiertelny, czy go złapali, czy nie. Wbiegłem między drzewa i czując, że mi już nie zrobią, zabrzymałem się i obserwowałem pole. Ubeki kręcili się, pokrzykiwali, spoglądali w las, ale nie próbowali wchodzić w gęstwiny. Potem wszystko ucichło. Nie mogłem jednak zawrócić i sprawdzić, co się stało z dowódcą, bo wiadomo, że mogli tylko czekać na taką okazję. Dopiero przed wieczorem, o zmierzchu, po długiej obserwacji z bliskiej odległości stwierdziłem, że na pewno nikogo nie ma. Wyszedłem z lasu i udałem się do zabudowań. "Jastrząb" żył, ale był bardzo słaby. Okazało się, że dostał kulą w brzuch, miał prawdopodobnie uszkodzony kręgosłup, leżał na pół martwy. Całe szczęście, że go nie znaleźli i że miał jeszcze siłę zagrzebać się głęboko w słomę. Widocznie ścigający byli pewni, że obaj uciekinierzy zdołali skryć się w lesie, a krwi pewnie nie zauważyli. Wrócili niedługo na swoją kwaterę i kiedy się rozwidniło, odjechali.

Posłaliśmy natychmiast po lekarza do Dębina. Przyjechał bardzo szybko, zrobił co należało i zabrał rannego ze sobą.

Tyle "Grzmot". O dalszych losach dowódcy nic nie było wiadomo. Dopiero później kanałami konspiracyjnymi dowiedzieliśmy się, że "Jastrząb" został przetransportowany do Warszawy, że przeszedł bardzo ciężką operację, że potem długo leczył się w szpitalu aż do zupełnego niemal wyzdrowienia. Okres rekonwalescencji spędził w Cieplicach u swego kolegi, byłego kierownika szkoły z Wołynia, do którego zresztą później wozilem także z Lublina jakieś pisma. Być może, że jeszcze wtedy nasz dowódca przebywał w tym domu, tylko ze względów konspiracyjnych nie chciał mi się pokazać. Stamtąd u-

dał się przez zieloną granicę do Czech, skąd dostał się do Niemiec zachodnich do strefy amerykańskiej, następnie do Londynu, by wreszcie osiąść na stałe w USA, gdzie przebywa do tej pory. Żelazny organizm, wspomagany przez dobrych lekarzy, potrafił znieść wszystko.

Ale wróćmy do oddziału.

Dowództwo nad naszą grupą pełnił teraz sierżant "Grzmot". Podziwiałem tego człowieka. Wyrwał się grabarzowi spod łopaty, był wszędzie spalony, bo znali jego personalia, a zachowywał się tak, jakby nigdy nic się nie stało. Zawsze wesoły, śmiał się swym niskim huczącym śmiechem, uspokajał nas, ilekroć któryś zaczynał prorokować coś złego, perswadował spokojnie, tłumaczył.

- Niczego nie bójcie się - mawiał. - Nic nam nie zrobią. O każdym, najbardziej ukrytym najeźdźcie czy jego próbie będziemy w porę ostrzeżeni i zawsze zdołamy się wycofać, lub, jeśli nie będzie ich za wiele - obronić się. Tylko nie tracić ducha. Prawda jest po naszej stronie. Raz tylko nas podeszli, drugi raz już in się ~~nam~~ nie uda.

Takie perswazje, połączone z całkowitym spokojem psychicznym, przywracały nam zwykle równowagę i pozwalały spokojniej patrzeć w przyszłość. Tylko że w świecie nadal nic się nie działo. U nas też. Nie zajmowaliśmy się niczym konkretnym: nie było ćwiczeń, zajęć regulaminowych, żadnych pogadarek na interesujące nas tematy polityczne, historyczne czy inne. Ludzie nadal byli dla nas dobrzy, życzliwi, z całym spokojem znosili naszą obecność w ich domach, choć dobrze zdawali sobie sprawę z konsekwencji takiego postępowania, lecz nam powoli zaczynało to wszystko trochę ciążyć. Nie uskarżaliśmy się nigdy przed dowódcą, nie narzekaliśmy, ale między sobą co pewien czas zaczynaliśmy prowadzić rozmowy, z których wynikało, że w każdym z nas, a przynajmniej w większości, tkwią jakieś głęboko ukryte przypuszczenia, że to wszystko jest zbyteczne, że nie ma sensu, że sprowadza się do marnotrawienia czasu i nic poza tym. Przecież w razie potrzeby wszędzie można byłoby nas znaleźć, zawsze bylibyśmy do dyspozycji. Okazało się, że bezczynność dla młodych ludzi jest po prostu zabójcza. Ale wpojona nam już w dzieciństwie wewnętrzna dyscyplina nakazywała ~~nam~~ spokojnie czekać decyzji przełożonych. Mnie osobiście wydawało się, że nadal winienem być posłuszny złożonej niegdyś przysiędze o walce do ostatniej kropli krwi i nikt mnie od tej przysięgi jeszcze nie zwolnił.

Pewnego popołudnia, gdy staliśmy w Orlim Gnieździe, zawitał do naszej kwatery dobry znajomy z Lublina, pan Stanisław K., młody jeszcze człowiek, lecz zajmujący jakieś poważne stanowisko w kołach konspiracyjnych, o czym początkowo wcale nie wiedzieliśmy. Miał w naszym domu "pod trójką" rodzaj prywatnej kancelarii. Zachodził do nas co pewien czas i prosił, żeby pozwolić mu się zamknąć w małym pokoiku, nikogo tam nie wpuszczać, nikomu nie mówić, że tam jest, ponieważ ma pilną pracę, w której nie chce, by mu przeszkadzano. Czasem dawał nam jakieś podziemne ulotki, co budziło w nas respekt dla tego człowieka. Kiedyś dał mi kartkę z tekstem nieznanej mi dotąd piosenki. Uczyłem się kiedyś trochę nut. Z trudem odcyfrowałem melodię, nawet bez instrumentu. Melodia była poważna, tęskna, a dotyczyła treścią naszych ziem zabranych na wschodzie - Wołynia, Polesia i innych. Zaczynała się strofą:

"Tam za Bugiem czarna rola,
tak jak nasza dzisiaj dola,
ale przyjdzie świt niebanem,
ale przyjdzie świt...".

Czekaliśmy na ten świt długo, czekamy cierpliwie nadal...

Raz, gdy byliśmy w domu tylko we dwóch z Bazylim, przyszedł pan Stach, bo tak na co dzień nazywaliśmy go, postawił przy progu koło zlewu dużą walizkę i zniknął za drzwiami małego pokoiku. Może w minutę po nim wszedł do mieszkania milicjant. Struchleliśmy. Nie ulegało wątpliwości, że tropi naszego pana Stacha, a walizka zawiera niewątpliwie jakieś kompromitujące materiały. Czyli - koniec z nami! Dobrze, że nie było w domu Libuszki, przynajmniej ona ocalała. Tymczasem pan władza rozejrzał się powoli po domu, przyjrzał się nam bardzo uważnie, rzucił okiem jakby od niechcenia na walizkę i zapytał:

- Kto jest gospodarzem tego domu?
- Ja - odpowiedział Bazyl.
- A pan? - zwrócił się do mnie.
- Mieszkam tu. Jestem współlokatorem.
- Kto jeszcze mieszka w tym domu?
- Moja żona - powiedział Bazyl nadzwyczaj spokojnym głosem.
- Nikt więcej?
- Nikt.
- Wszyscy zameldowani?
- Tak, może pan sprawdzić.

Milicjant popatrzył raz jeszcze na walizkę, na nas, na drzwi do pokoju. Czekaliśmy tylko na polecenie otwarcia walizki albo na

sprawdzenie kto jest w małym pokoiku, co równałoby się definitywnie końcowi naszej wolności, pewnie na długie lata. Serca zaczęły tylko bić coraz mocniej. Strach mnie ogarniał, że milicjant może poznać, co się we mnie dzieje. Tylko Bazyli zachowywał kamienny spokój i patrzył obojętnie na przedstawiciela władzy. Ten tymczasem ku naszemu najwyższemu zdumieniu zasalutował nagle i zniknął za drzwiami korytarza. Tylko stukot kroków na krętych schodach świadczył, że wszystko to dzieje się naprawdę.

Przez dłuższą jeszcze chwilę panowała w domu całkowita cisza. Nie mogliśmy uwierzyć, że wszystko mamy już poza sobą, że ominęło nas więzienie, śledztwo, rozprawa sądowa. Czekaliśmy jeszcze chwilę bez ruchu domyślając się, że lada chwila otworzą się drzwi powtórnie i pojawi się w nich znowu pan władza na pewno w towarzystwie kolegów, aby zabrać nas wraz ze znalezionymi w walizce materiałami i ich właścicielem. Po dłuższej dopiero ciszy odważyliśmy się wstać i wyjrzeć przez okno. W dole na podwórku nie było nikogo. Tylko pan Stach wyszedł z pokoiku błądy, niespokojny, z rozbieganymi oczami.

- Niczego nie ruszał? - spytał niemal szeptem.

- Nie - odpowiedział Bazyli - a pewnie miałby co oglądać, prawda? - kartował już prawie całkowicie uspokojony.

- A no, miałby... - odparł z bladym uśmiechem pan Stach. Podeszedł i zabrał swój bagaż do pokoju. Od tego czasu więcej podobnych waliz już do nas nie przynosił. Ograniczał się do samej tylko teczki. Ale pracy konspiracyjnej nie zaprzestał. Potem dowiedziałem się, że był przedstawicielem organizacji WiN.

Otóż ten pan Stach, jak widać znający doskonale miejsca naszych kwater, z miejsca przystąpił do sprawy. Zebrał nas w pokoju gospodarza, u którego kwaterowaliśmy, oznajmił nam, że "Jastrząb" czuje się na ogół nieźle, że kryzys minął, ale nie należy już oczekiwać jego powrotu. Nie należy także spodziewać się w najbliższym czasie jakichkolwiek zmian na arenie międzynarodowej. Sytuacja raczej stabilizuje się. PKWN, zamieniony na Rząd Tymczasowy, utrzyma się na pewno długo, świat jest zmęczony wojną i dąży raczej wszelkimi staraniami, by nie dopuścić do następnego rozlewu krwi. Inaczej mówiąc, pozostaniemy na pewno przez długie lata pod władzą Sowieców i nie na to nie poradzimy. Rację mają dziś jedynie silni, do których my nie należymy. W takiej sytuacji powinniśmy przerwać naszą działalność.

- - To jest tylko moja rada - zastrzegął się pan Stach. - Niczego tu nie mogę narzucać, nie jestem uprawniony do wydawania

jakichkolwiek poleceń. Sądzę jednak, że jesteście młodzi i szkoda byście trwonili czas na coś, co jest w tej chwili bardzo mgliste i zdaje się raczej oddalać. Przynajmniej obecnie. Jestem zdania, że jeżeli chcecie wykorzystać racjonalnie czas, to tylko wracając do szkoły. Co zdobędziecie ucząc się, pozostanie zawsze waszą niepodzielną własnością, kapitałem na najgorsze nawet czasy. Nie wiem, jakie jest zdanie pana - zwrócił się do "Grzmota" - ale nie sądzę, aby myślał pan inaczej.

- Sam pan wie - odezwał się nasz szef - że jesteśmy tu daleko od świata i nie mamy żadnego rozeznania w tym, co się dzieje. Wykonujemy rozkazy i to wszystko. Jesteśmy gotowi i do walki, i do trwania na każdym posterunku, lecz lekkomyślnie niszczyć szanse życiowe tych młodzieńców nie jest naszym celem. Pan w tej sytuacji reprezentuje nasze władze i ma pan prawo podjąć odpowiednią decyzję. Ja na razie zostaję, a wy - zwrócił się do nas - zdecydujcie sami, jeśli i pan z Lublina daje wam wolną rękę w dokonaniu wyboru. Jeżeli uznacie, że korzystniej dla was będzie powrócić do Lublina czy gdzie indziej i zgłosić się do szkoły, nie będę miał nic przeciwko temu. Z góry wyrażam zgodę. Tak pewnie postąpiłby i kpt. "Jastrząb". Wybierajcie.

Długo toczyła się rozmowa, padały różne uwagi, propozycje, rady. W końcu zapadło postanowienie: trzech nas - ja, Antoni S., Józef T. - wracamy do Lublina i idziemy do szkoły. Ja na pewno w swojej budzie miejsca nie straciłem, bo nie wydaje mi się, aby w ciągu ostatnich dwu tygodni mnie wykreślono z listy, a koledzy także miejsce w którejś szkole znajdą. Miejsce wolnych jest dużo, a szkół przybywa. Pozostaje kwestia mieszkania, wyżywienia, opłat za naukę, pieniędzy na podręczniki i pomoce naukowe. Wytlumaczyłem, jak dawałem sobie radę. Będziemy próbowali żyć podobnie. We trzech łatwiej sobie poradzimy niż pojedynczo. Tego jeszcze wieczoru pożegnaliśmy pozostałych kolegów, dowódcę i wsiedliśmy do pociągu dęblińskiego. Noc spędziliśmy śpiąc pokodem na podłodze "pod trójką", jak zawsze gościnną i otwartą dla każdego wołyniaka.

4. Powrót do szkoły

Wszyscy do szkoły zostali przyjęci bez większych kłopotów. Od razu zaczęliśmy regularne uczęszczanie na lekcje i nadrabianie zaległości. Nauka trwała nawet i w czasie wakacji, jako że szkoła

miała charakter przyspieszonej, roboty więc było pod dostatkiem. Wytłumaczyłem swoją długą nieobecność jakimś niespodziewanym ważnym ze względów osobistych wyjazdem, trochę chorobą, zresztą o-puszczone lekcje bardziej interesowały kolegów niż nauczycieli. Sprawa regularnego uczęszczania na zajęcia lekcyjne nie stanowiła wtedy zasadniczego obowiązku, ponieważ nauczyciele stosowali metodę niemal uniwersytecką, mianowicie każdy przedmiot należało zdać, aby uzyskać promocję i stopień na świadectwie, mało więc ważne było, czy ktoś chodzi do szkoły systematycznie, czy nie, byle by tylko wykazał się znajomością obowiązującego materiału i potrafił zreferować postawione przez nauczyciela zagadnienia. Uczniowie byli przeważnie dorosłymi ludźmi, większość pracowała zawodowo, poza tym przynależało im, że wszyscy mieli początkowo poważne luki w posiadanej wiedzy, spowodowane przerwą wojenną, ale z drugiej strony wszyscy przykładali się solidnie do pracy i do rzadkości należało lekceważenie obowiązków szkolnych i systematycznego odrabianie zadawanych lekcji było czymś bezdyskusyjnym. Zresztą ze względu na przyspieszony, jak powiedziałem, charakter szkoły nauczyciele zadawali niemało, a w wymaganiach nie stosowali taryfy ulgowej. Po prostu lekcje należało umieć i koniecznie. Poświęcaliśmy więc dużo czasu nauczaniu, ślęczaliśmy nieraz nad książką do bardzo późnych godzin wieczornych. Raz, pamiętam, zastał nas biały dzień przy czytaniu lektury obowiązkowej na bieżący dzień. Czytaliśmy na zmianę, trochę komentując treść utworu, dyskutując nad ważniejszymi zagadnieniami, polonistka bowiem nie uznawała żadnych tłumaczeń. Pytała nie na każdej lekcji i zawsze kogoś innego, lecz gdy przyłapała kogoś na niezajomości ci zadanej partii materiału, wówczas zapominała niekiedy, że ma do czynienia z dorosłymi i dostawało się delikwentowi, jakby był zwykłym sztubakiem.

Wróćmy jednak do początków edukacji.

Już następnego dnia po przybyciu do Lublina rozpoczęliśmy poszukiwania stancji. Wszystkie wolne godziny spędzaliśmy na chodzeniu od kamienicy do kamienicy, od mieszkania do mieszkania i pytaliśmy o wolny pokój. Kilka dni trwały te poszukiwania, zanim udało nam się znaleźć stancję przy ulicy Wyszyńskiego /obecnie Sławińskiego/. Gospodarze, młodzi ludzie, zgodzili się wynająć nam pokój, zastrzegając jednak z góry, że ponieszczenie jest bez mebli, że nie mają wcale węgla na zimę, o wszystko musimy więc starać się sami. Nie mieliśmy wyboru. Zdobyliśmy w zakamarkach podwórza jedno stare żelazne łóżko, gospodarz wytrzasnął gdzieś

stary stół, już nie pamiętam skąd wzięliśmy dwa krzesła i stołek, potem jeszcze jedno łóżko drewniane, tylko obydwie - i żelazne też - bez sienników, a ostatnie nawet bez desek, na których można by położyć siennik. Na wszelki wypadek ustawiliśmy je w kącie, w nadziei, że powoli zdobędziemy i resztę koniecznych do normalnego spania rekwizytów. Okazało się, że skończyło się wszystko na nadziejach. Ale jeden z później przybyłych kolegów, Rysio M., też był partyzant 27 Dywizji, wchodził do łóżka góra, układał się na podłodze, a rano wydobywał się spod ram dołem, twierdził jednak, że takie spanie poprawia jego samopoczucie, bo wydaje mu się, że śpi całkiem normalnie, jak w domu. Gdyby tylko było mniej twardo...

Po jakimś czasie doszedł do nas jeszcze piąty kolega, Jurek G. również był nasz żołnierz, bardzo zdolny chłopak i najlepiej z nas przygotowany w przedwojennym gimnazjum. W ten sposób pustą do niedawna pokój wypełnił się gwarem, śpiewem, a wieczorami cichym szmeraniem przygotowujących lekcje.

Dobrze nam było, dopóki nie przyszły jesienne chłody, a potem mrozy. Nie mieliśmy ciepłej pościeli, ciepłej odzieży, ani odrobiny opału, toteż marzliśmy siemielosiernie, ale nie przypominam sobie, by któryś z nas narzekał, utyskiwał, skarżył się. Taki los wypadł nam i koniec. Bywało, że zrywaliśmy się w nocy, żeby wykonać kilkanaście ruchów gimnastycznych, rozgrzać zesztywniałe kości, po czym położyć się znowu na twardej podłodze, pod płaszcz ocalały z czasów wojskowo-partyzanckich.

Ja z Tośkiem S. spałem na łóżku żelaznym, mającym nawet siatkę drucianą, tylko, jak wspominałem, bez siennika. Podścielaliśmy pod siebie umocowane do drutów stare, otrzymane skądś t.zw. "radno", rodzaj narzuty z grubego samodziałowego płótna. Ponieważ jednak druty były już za mocno wyciągnięte, na środku łóżka robił się głęboki kolisty dół, do którego bez przerwy któryś z nas się staczał, a drugi wtedy gniótł go całym swoim ciężarem. Przewracanie się na drugi bok musieliśmy odbywać na komendę, bo gdy tylko jeden uniósł się cokolwiek, drugi siłą ciężkości spadał od razu na środek siatki i dla pierwszego miejsca już nie było. A rano cała skóra stanowiła płaszczyznę pokratkowaną głęboko aż do czerwoności. Te druty siatki wpijały się w ciało i pozostawiały po sobie mocne ślady.

Najgorszy jednak był problem wyżywienia. Kilka razy poczęstowano nas obiadem "pod trójką", ale nie można było nadużywać gościnności żyjącej i tak ubogo rodziny Bazylów. Trzeba było koniecznie złą jakoś zaradzić. Pracy nie baliśmy się, lecz jak pogodzić ją z nauką? Z uczęszczaniem na lekcje i przygotowywaniem się do nich, co zabie-

rało, jak wspomniałam, czasu nie mało. O stałym zajęciu, o pracy zawodowej przy naszych brakach w przygotowaniu nie mogło być mowy. Trzeba było chwycić się jakichś dorywczych zajęć. Kilka więc razy poszliśmy na całą noc do rozładunków towarów na stacji kolejowej. Od Lublina na wschód tory były już poszerzone, jak w całym ZSRR, w kierunku zachodnim zachowały nadal normalną szerokość. W Lublinie więc odbywał się przeładunek towarów jadących na wschód, głównie węgla, drzewa, jakichś pak i paczek. Nie płacono za tę pracę rewelacyjnie, ale coś niecoś można było zarobić. Rzecz interesująca, że nie widzieliśmy przeładunków towarów jadących w kierunku zachodnim.

Większe możliwości zarobkowania dawały korepetycje. Początkowo bałem się brać odpowiedzialnych bądź co bądź lekcji, dopiero później zdecydowałem się na kilka. Ale to dopiero później. Teraz w lecie 1945 roku, aż do późnej jesieni, musieliśmy radzić sobie inaczej. Przypomniałem sobie mianowicie kuchnię dla żebraków u sióstr Urszulanek, Udałem się tam. Bez trudu odnalazłem siostrę Wiktorię, wspaniałą staruszkę, którą zawsze będziemy wspominali z najwyższym szacunkiem. Zgodziła się natychmiast, żebyśmy przychodzili codziennie. Obiady, coś, little, ale to nie to samo co głód. Poszliśmy raz, drugi. Nie bardzo odpowiadały nam godziny wyznaczone przez czeigodną siostrę Wiktorię, gdyż w zaproponowanym czasie byliśmy przeważnie w szkole. Lecz nasza dobra opiekunka znalazła wyjście:

- Niech pan pozwoli ze mną - rzekła cichym, tajemniczym głosem, ^{u w. 32} ~~ostrożnie~~ rozglądając się naokoło. - Tu jest takż mała skrytka - wskazała na ^{ledwo} ~~widoczne~~ w ścianie drzwiczki w pobliżu drzwi wyjściowych. - Proszę, niech pan przyjdzie o jakiegokolwiek godzinie po południu. W tym miejscu zawsze będzie czekała na pana menażka z obiadem - i szybko, bezszelestnie, jak dobry duch, oddaliła się i znikła w ciemnych korytarzach klasztoru.

Rzeczywiście nazajutrz znalazłem w skrytce pełną menażkę jadła. Czego tam nie było! Ziemniaki, kawałek mięsa, trochę bigosu, jakiś makaron ze słoniną, kasza gryczana i wiele, wiele innych składników obiadowych. Łatwo się było domysleć, że były to resztki z kuchni zakonnej oraz na pewno z internatu dla dziewcząt, ponieważ siostry Urszulanki prowadziły jeszcze wtedy żeńskie gimnazjum i liceum, a uczennice przeważnie mieszkaly na miejscu i miały tam całodzienne utrzymanie. W każdym razie jadło było nadzwyczaj pożywno i dość obfite. W środek menażki wetknięta była na całą głębokość jedna łyżka. Obiad był jeszcze ciepły, ale zanim donio-

słam go na ulicę Wyszyńskiego, ostygł prawie całkowicie. Nie przeszkadzało to jednak pałaszować zawartość menażki z ogromnym apetytem, żeby nie powiedzieć z żartocznością, przy pomocy jednej łyżki, krążącej nokoło jak fajka pokoju. Beno dyskretnie odnosiło się menażkę na miejsce, by po południu lub wieczorem znowu odebrać napełnioną po brzegi. Przechwała siostra Wiktorii! Niech odpoczywa w pokoju i niech jej Pan Bóg zapłaci za ^{Mitbesten} ~~dobry~~ sara, bo dobrze sobie na to zasłużyła.

W zimie 1946 roku duża grupa uczniów z dyrektorem Stanisławem Szczęchem i jego zastępcą mgr Aleksandrem Serafinem pojechała pociągiem do Warszawy do Teatru Polskiego na przedstawienie "Lilli Wenedy". Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem stolicę, raczej jej szczytki, a także po raz pierwszy byłem w warszawskim teatrze.

Warszawa zrobiła na nas przygnębiające wrażenie. Kręciło się po ulicach sporo ludzi, już sprzedawano a to bułeczki, a to ciastka, napoje czy jakieś drobne pamiątki, ale w miejscu ulic znajdowały się tylko wąskie ścieżki z ogromnymi zwalami gruzów po obu stronach. Na lewo i prawo sterczały resztki wypalonych murów, niektóre wysokości kilku pięter, lecz bez okien, bez dachów i drzwi, jak po trzęsieniu ziemi. Napisy na murach ostrzegały przed minami, albo też informowały, że już "min niet". Sporo czasu poświęciłem zwiedzaniu oglądanych po raz pierwszy ulic i placów, raczej ich ~~szczytkami~~ pozostałości. Przeżyłem nawet moment grozy, gdy w pewnym miejscu, gdzie pracowali robotnicy, nie wiem - przy odgruzowywaniu czy przy innym zajęciu - nagle załamał się strop i opadająca belka przygniotła jednego z ludzi. Jak żywa stanęła mi przed oczyma scena z "Michałka" Bolesława Prusa. Identycznie jak tam zbiegł się momentalnie tłumek gapiów, a w chwilę potem rzucił się na pomoc nieszczęśliwemu ubogemu wyglądający człowiek, widocznie kelaga tamtego, bo uspokajał go po imieniu; z całej siły uniósł trochę ciężką belkę, a inni nadbiegli wtedy z piłą i zaczęli przerzynać gniotący człowieka ciężar. Z góry sypał się na nich gruz, trzeszczały resztki stropu, gapiące się kobiecy wydawały co chwila przeraźliwe okrzyki, a nieszczęśliwy z siną twarzą cicho jęczał. Lada moment mogło się zawalić wiszące runowisko i przygnieść również ratowników. Nie doczekałem się końca wypadku, bo nadbiegł ktoś widocznie z władz budowlanych i gromkim głosem rozpedził powiększający się stale tłum. Poszedłem dalej, lecz długo nie mogłem zapomnieć o okrutnej scenie, stojącej mi bez przerwy przed oczami.

Przedstawienie "Lilli Wenedy" po prostu nas oczarowało. Nigdy nie miałem okazji oglądać podobnego widowiska. Wszyscy byliśmy urzeczeni zarówno treścią dzieła jak też grą aktorów, scenografią, strojami, efektami świetlnymi, słowem wszystkim. Osobiście czułem się jakby przeniesiony do innego świata, w krainę przedhistorycznych baśni i legend, zapomniałem o otaczającej rzeczywistości, a tragedia Lilli i Derwida wydała mi się tragedią najbliższych mi osób. Czasami przelatwały mi przez głowę myśli będące skojarzeniem historii Wenedów z naszą historią najnowszą, z ostatnim najazdem na nasz kraj, lecz wszystko tam było potężniejsze, gigantyczne, wyolbrzymione, nadiudzkie niemal, jak ze starożytnej mitologii. Jednym słowem wycieczka udana pod każdym względem pozostawiła na wszystkich niezapomniane wrażenie. Wracaliśmy jak urzeczeni, jakby z obcej, nieznanaj nam dotąd krainy. Mieliśmy też szczęście oglądać na scenie aktorów tej miary co Juliusz Osterwa, Elżbieta Barszczewska, wtedy młoda jeszcze i piękna i wielu innych.

Tymczasem zupełnie nieoczekiwanie los nasz uległ nadzwyczajnej poprawie. Wcale nie byliśmy na to przygotowani. Wszystko stało się tak szybko i bez żadnych poważniejszych zachodów, że sami nie wiedzieliśmy, jak się to stało.

Najpierw zmieniliśmy stancję na znacznie lepszą, wygodniejszą, doskonale ogrzewaną i świetnie umeblowaną. Mieściła się przy ulicy Szopena w ścianie biblioteki uniwersyteckiej KUL. Lecz po paru radosnych dniach właściciel lokalu oznajmił nam, że cały dom zabiera Urząd Bezpieczeństwa, który miał swą siedzibę obok, przez ścianę. Radzi nie radzi wyprowadziliśmy się znowu na Wyszyńskiego. Całe szczęście, że gospodarz nie robił nam żadnych trudności ani wymówek. Przyjął nas wesoło uśmiechnięty, pozwalając mieszkać, jak długo będziemy potrzebowali. Znaleźliśmy się więc znowu w pokoju wyposażonym w półtora łóżka i kilka kulawych krzesel.

Lecz wkrótce potem jedna ze znajomych pań z dawnego AGO, a obecnie t.zw. PKOS-u - Powiatowego Komitetu Opieki Społecznej - oznajmiła nam, że wszyscy moglibyśmy spróbować dostać się do internatu, prowadzonego przez jej instytucję. Jesteśmy wprawdzie nieco może za "starzy", ponieważ internat przewidziany jest regulaminowo dla młodzieży poniżej lat 18, ale w związku z warunkami wojennymi i naszą trudną sytuacją być może władze uczynią wyjątek. Napisaliśmy podania i po kilku dniach otrzymaliśmy pomyślną odpowiedź. Jeszcze przed upływem zimy 1946 roku zamieszkaliśmy w internacie przy ulicy Drobnej, na terenie dzisiejszego Czechowa.

Gmach internatu był wielki, choć miał tylko jedno piętro. Z ~~lewej~~ strony mieścił się Dom Dziecka dla dziewcząt, prowadzony przez panią Władysławę Budzyńską, doświadczoną działaczkę społeczną RGO, bardzo uczynną, wyrozumiałą, o prawdziwie dobrym sercu kobietę. Prawe, zachodnie skrzydło budynku zajmował internat dla chłopców. Mieszkali tu uczniowie z różnych szkół lubelskich, zawodowych i ogólnokształcących, przeważnie biedni, półsieroty i sieroty. Regulamin zakładu był bardzo tolerancyjny i dawał wychowankom dużo swobody. Do stałych ich obowiązków należało zachowanie czystości, sprzątanie sal i całego pomieszczenia, w kolejności z góry ustalonej, ścielenie łóżek i punktualne siadanie do posiłków. Lekcje natomiast odrabiał każdy kiedy miał czas i ochotę, spać chodziło się też w różnych godzinach. Co pilniejsi siedzieli nieraz nad książką ~~nierzadko~~ do późnej nocy. Kierownik, nie przypominam sobie już jego nazwiska, człowiek w średnim wieku, koleżeński, kulturalny, pasjonował się grafologią i z zapamiętaniem z naszych podpisów odczytywał nasze charaktery, nawet wtrącał w nie prognozy na przyszłość i muszę przyznać - czynił to niezwykle trafnie, tak że wprowadzał nas w podziw. Krótko jednak był z nami. Odszedł na własną prośbę do innej pracy, a jego funkcję powierzono młodemu, w naszym wieku koledze z Wilna, Mieczysławowi Wołodzkiemu. Ten odznaczał się niezwykłą ambicją i żądzą władzy, lecz był jednocześnie koleżeński, zapobiegliwy, bardzo dbał o zakład, ale i narażał się wielu wychowankom. Miał bardzo nierówny charakter. Zderzało się, że figlował z nami, wywracał przysłowiowe koziołki, rzucał się poduszkami, a po chwili stawał się ogromnie urzędowy, beształ o byle co, zwłaszcza kajałodszych i mniej zaradnych, groził, straszył karami, zapowiadał wyrzucenie ~~z~~ internatu, aby nazajutrz z tymi samymi wychowankami wyprawiać takie same jak wczoraj figle. Posprowadzał też nowe porządki, regulamin uczynił bardziej rygorystycznym, w wielu punktach nie najbardziej szczęśliwie, co sprawiło, że chłopcy z konieczności nawet łamali go bezkarnie, bo kierownik widział, że inaczej nie mogli postąpić, lecz nie wypadało mu zmieniać wydanych dopiero co przepisów. Nie pozwalała mu na to nadmierna ambicja. I taka sytuacja trwała już do końca. Jednak z czasem nasz szef poważniał, nabierał doświadczenia, taktu i odnosił się do nas coraz lepiej. Potem, już po moim odejściu, znalazł się za kratami za słuchanie radia BBC. Do Lublina już nie powrócił. Przez

wszystkie powojenne lata prowadził Dom Dziecka w Głownie, zdobywając sobie uznanie władz i wychowanków.

Internat przy ul. Drobnej utrzymywał się z dotacji społecznych, zbiorów ulicznych, potem również z darów UNRRA. Nie opływał w dostatkach, był raczej ubogi, ale nam wydał się istnym rajem. O nic nie musieliśmy się martwić, o nic zabiegać. Co dzień rano otrzymywaliśmy gorącą kawę, czarną /oczywiście zbożową/, chleb ze smalcem i to w dowolnych ilościach, na obiad całkiem pożywna zupa, do niej świeży, dobrze wypieczony chleb, a w niedziele i święta nawet obiady składające się z dwóch dań. Na kolacje także najczęściej kawa i chleb smarowany smalcem. Później zaczęła się pojawiać co pewien czas kawa biała, z mlekiem, a po mniej więcej roku wszystkie obiady składały się już z dwu dań. Wszystko mieliśmy podane do stołu, sprzątnięte, umyte. Nie trzeba już było posługiwać się jedną łyżką w pięciu, skradać się na pół legalnie do skrytki z czekającą tam menażką w klasztorzym korytarzu. Cieszyliśmy się poprzednio i z tego, bowiem bez owych menażek pewnie nie potrafilibyśmy dać sobie rady, ale wiadomo, że woleliśmy uniknąć sytuacji przypominającej poniekąd żebractwo. Teraz czuliśmy się już normalnymi ludźmi, jak wszyscy inni, tyle że nie pod rodzicielskim dachem.

Po kilku tygodniach pobytu w internacie zaczęliśmy otrzymywać paczki z UNRRA, co znacznie poprawiło naszą egzystencję. Otrzymywaliśmy więc i odzież, i produkty żywnościowe, i smakołyki w postaci owoców południowych, od czasu do czasu słodczyce itd. Cieszyły nas nowe spodnie, kurtki, czyste koszule, bo dotąd nosiliśmy przeważnie ubrania i bieliznę jeśli nie z czasów partyzanckich lub zafasowanych w pierwszych dniach po rozbrojeniu czy później w powojennym pedziemiu, to z jakichś prywatnych darowizn, już nawet nie przypominam sobie od kogo. Wszystko to było już mocno sfatygowane i nieraz wstydziliśmy się po trosze swego ubożego wyglądu, zawsze tak samo - w świętek i piątek. Obecnie i pod tym względem stawaliśmy się podobni do zwyczajnych ludzi.

Pierwsze krótkie wakacje minęły nadzwyczaj szybko. Wolno nam było pojechać do domu, jeśli kto miał takowy, do kuzynów lub znajomych, a kto nie miał dokąd się udać, pozostawał na miejscu i czekał początku roku szkolnego. Kiedy więc skończyły się wakacje, kierownik ogłosił nam, że urządza uroczyste otwarcie internatu z udziałem zaproszonych gości - naszych władz nadrzędnych. Pytaliśmy dlaczego "otwarcie", skoro internat funkcjonuje już od roku?

- Ale prawdziwego otwarcia nie było, a bez tego porządna instytucja źle się prezentuje - tłumaczył nasz przełożony. Lubił pompę,

popisy, parady, był zresztą z natury bardzo towarzyski i dobrze czuł się wśród wszelkiego rodzaju "dostojników".

Jako najstarsi z wychowanków otrzymaliśmy zadanie zorganizowania t.zw. "części artystycznej". Trudne to było i odpowiedzialne zadanie, ale nie próbowaliśmy robić żadnych uników. Znaliśmy wiele wierszy, piosenek wojskowych, narodowych, partyzanckich, bardzo wtedy chętnie śpiewanych i słuchanych. Większość dorosłego społeczeństwa miała poza sobą lata konspiracji, walk, wszelkiego rodzaju prac w ruchu oporu, tego więc typu repertuar był każdemu bliski i budził różnego charakteru refleksje i wspomnienia. Sporządziliśmy więc montaż o treści patriotycznej, nie zastanawiając się wcale, czy będzie przez wszystkich dobrze widziany w sytuacji "budowy podstaw socjalizmu".

Nadszedł dzień uroczystości. W pierwszych rzędach największej sali internatu zasiadli zaproszeni goście z prezesem Wojewódzkiego Komitetu Opieki Społecznej - mecenasem Stanisławem Kalinowskim na czele. Dalej nasi koledzy - wychowankowie internatu. Po oficjalnych ceremoniach i przemówieniach przyszła kolej na nas. Zaczęliśmy swój program z wielką tremą, z rumieńcami po uszy, lecz w miarę upływu czasu uspokajaliśmy się, atmosfera robiła się coraz cieplejsza, a widownia, wraz z gośćmi, reagowała bardzo serdecznie na każdy numer programu. Gdy przyszła kolej na melodeklamację pieśni o Orłętach Lwowskich - "O mamo, otrzyj oczy, z uśmiechem do mnie mów, ta krew, co z piersi broczy, ta krew - to za nasz Lwów..." ujrzeliśmy w oczach wszystkich naszych przełożonych łzy wołe nie ukrywane. Mecenas Kalinowski, trzymając chustkę w rękę, opuścił głowę i zaciskał zęby, broniąc się przed jeszcze bardziej widoczną reakcją na słuchany utwór. A po zakończeniu gratulacje, uściski, podziękowania. Od tam cieszyliśmy się nieustannym miem i u kierownika, i u naszych przełożonych z najwyższego wojewódzkiego szczebla.

Nauka nie sprawiała nam teraz żadnych trudności. Czasu mieliśmy pod dostatkiem i warunki do odrabiania lekcji doskonałe. Mała matara poszła mi bardzo gładko, liceum również przebiegało bez zacięć. Cała klasa, tym razem już bardzo liczna, uczyła się dobrze, składała się z uczniów ambitnych, wyrobionych społecznie i politycznie. Byli wśród nich tacy, co to już mieli poza sobą nie tylko lasy, partyzantkę, ale i Zamek, i służbę wojskową i inne rozrachunki z władzami. Nauczyciele odnosili się do nas grzecznie, z szacunkiem, nie mieli zresztą powodu do scysji czy udzielania nam nagan. Raz tylko "podpadł" nam wykładowca "propedeutyki nauk społeczno po-

litycznych", którego interpretacja różnych faktów odbiegała wyraźnie od naszych ocen, a szła w kierunku obowiązującego systemu państwowego. Gdy więc ów profesor zachował się ~~z~~ niezbyt odpowiednio w stosunku do jednej z naszych koleżanek, wybuchła awantura. W końcu profesor opuścił salę i obiecał przyjść w towarzystwie dyrektora. Tak się też stało. Lecz po wysłuchaniu naszych opinii dyrektor orzekł, iż sprawę rozstrzygnie Rada Pedagogiczna. Czuliśmy wszelako, że jest po naszej stronie. Istotnie, postępowy pan profesor, zawodowy oficer, odszedł z naszej szkoły, prawdopodobnie nie znalazłszy poparcia u reszty swych kolegów. Wygraliśmy. Innych niepożozumień z wykładowcami nie mieliśmy.

Z uczęszczaniem do szkoły kojarzą mi się częste spotkania z naszym dawnym komendantem administracyjnym samoobrony w Zasmykach, porucznikiem "Zniczem" - Henrykiem Nadratowskim. Po rozbrojeniu także zamieszkał w Lublinie. Nie wiem, z czego się utrzymywał, bo zdaje się, nie pracował zawodowo. Lubił przesiadywać wtedy całymi godzinami na nadbystrzyckich łąkach, w miejscu, gdzie obecnie rozciągają się obiekty sportowe "Motoru" i "Startu". W drodze do szkoły, a jeszcze częściej w drodze powrotnej, zatrzymywałem się przy swoim byłym przełożonym i słuchałem jego opowieści, opowieści, naturalnie, związanych z naszymi przeżyciami, konspiracją, wydawaniem i kolportażem podziemnej prasy, późniejszymi walkami frontowymi itd. Opowiadał chętnie własne i innych przygody, a zachowywał się wtedy tak, jakby mówił sam do siebie, jak gdyby pragnął raz jeszcze przeżyć tamte odległe już chwile, pełne niebezpieczeństw, ale i pełne nadziei, chwały, a przede wszystkim głębokiego poczucia, że jest się potrzebnym i że prowadzi się walkę o dobrą sprawę, o prawdziwą wolność ojezyny. Rozmowa kończyła się zazwyczaj smutnymi refleksjami, bo nie taki wyobrażaliśmy sobie finał naszych zmagani i poświęceń. Potem pan Henryk pogrążał się w zadumie, patrzył nieruchomym wzrokiem ~~na~~ w dal, a ja cicho odchodziłem, pozostawiając go samego ze swymi myślami. Dopiero potem, gdy w 1946 r. wyjechał na stałe z Lublina, dowiedziałem się, że był poważnie chory na gruźlicę i że wkrótce opuścił ten świat. A był to wspaniały Polak, żołnierz, dowódca. I tacy w kwiecie wieku musieli odchodzić bez prawa uzyskania należnej pomocy szpitalnej, medycznej, chyba u lekarzy z tych samych formacji, którzy zresztą nie mieli wtedy większych możliwości skutecznego leczenia. Wielu przebywało od początku za kratami...

W szkołach tymczasem władze usiłowały zacząć wprowadzać nowe

porządki i nowy system wychowawczy, przede wszystkim za pośrednictwem organizacji młodzieżowych, które miały za zadanie czuwać nad czystością ideologiczną wszelkich poczynań szkolnych.

Pewnego dnia dyrekcja zawiadomiła nas, że wieczorem będziemy mieli spotkanie z działaczem młodzieżowym, przysłanym do nas przez czynniki nadrzędne, który pragnie powołać do życia w naszej szkole koło ZM czy ZMW, już dobrze nie pamiętam. Poszedłem. Zebrało się nas wyjątkowo dużo. Nie przypuszczałem nawet, że zebranie ~~tak~~ okaże się tak dalece atrakcyjna. Najobszerniejsza sala w całej szkole z trudem pomieściła wszystkich uczniów. Z twarzy młodego prelegenta widać było wyraźne zadowolenie, gdy stanąwszy za profesorskim stołkiem obrzucił wzrokiem siedzących głowa przy głowie uczniów gimnazjum i liceum. Ciekawy byłem, co będzie do nas mówił? I w jaki sposób? Jako kolega, czy wszechwiedzący mentor? Ponieważ w podobnych zebraniach brałem udział jeszcze na Wołyniu w latach poprzedzających wybuch wojny niemiecko-sowieckiej, przewidywałem raczej charakter dzisiejszego wystąpienia. Ale może nasi ideolodzy czegoś przez ten czas się nauczyli? Zobaczymy.

Okazało się, że pod tym względem czas zatrzymał się gdzieś tam w latach z początków rewolucji rosyjskiej. Wszystko zabrzmiało po staremu. Młody prelegent zaczął od charakteryzowania dzisiejszej rzeczywistości w odróżnieniu od lat międzywojennych, kiedy to panował głód, wyzysk kapitalistyczny, bezrobocie i ~~łód~~ łódź. Dokonawszy owej charakterystyki wrócił znowu do dnia dzisiejszego i zaczął wywody o szczęściu, jakie nas spotkało z rąk Związku Radzieckiego, jedynego źródła pokoju, dobrobytu i sprawiedliwości społecznej. Coraz bardziej gromkim głosem zaczął udowadniać, że prawa historii, że kolejność formacji politycznych i ustrojowych, że jedyny wódz ludzkości - Józef Stalin i jego niezłomna wola, że... itd. itd.

- Nie może zbraknąć młodzieży w tej nieustępliwej walce klasowej - kończył podniecany własnymi słowami młodzieniec. - Tylko postępowe organizacje są w stanie pokierować wychowaniem prawdziwych socjalistów, obrońców pokoju, budowniczych wolnego i sprawiedliwego Państwa Polskiego, Państwa robotników i chłopów, bez krzywdy i pracy najemnej, gospodarza we własnym kraju... I leciał slogan za sloganem, frazes za frazesem, znany z każdej gazety, z każdego przemówienia wiecowego. Tyle tylko, że wtedy na Wołyniu prelegenci kazali raz na zawsze zapomnieć o Polsce, bo przyjaźń Sowieckawo Sojuza z Germanią i jej wodzem Adolfem Hitlerem jest nie do naruszenia, wieczna, trwała. Obecnie już te argumenty poszły

~~przewodnik~~ do lamusa, a stojący przed nami młodzieniec w czerwonym krawacie na pewno nie słyszał, że takowe były w użyciu.

Słuchaliśmy nie przerywając mowy, porozumiewając się tylko od czasu do czasu wzrokiem lub cichym słówkiem. A gdy skończył i usiadł z twarzą triumfatora, posypały się najpierw pytania, potem uwagi i uzupełnienia, lecz nie w duchu, którego pewnie oczekiwał młodzieniec. Starsi uczniowie zaczęli pytać o losy aresztowanych akowców, szczególnie oficerów, o dyskryminacji mądryca i zasłużonych Polaków, a lansowaniu nicrobów, krzykaczy, ludzi bezwartościowych, często po prostu nikczemnych. Rodowici Lublinianie operowali nazwiskami, faktami, jaskrawymi przykładami awansów takich działaczy, którzy niczego nie umieli, nigdzie się nie uczyli i nie pokazali żadnych zasług, a teraz nałożyli czerwone opaski i z tego tytułu otrzymali wysokie stanowiska, choć po ludzku nie potrafią skłecić jednego zdania. Nie pominięto i organizacji młodzieżowych, które poza wygłaszaniem mów i paradowaniem w obowiązujących strojach niczego poza tym nie robią. A w wystąpieniach kopiują jedynie słowa swych partyjnych zwierzchników.

- Gdzie byście byli dziś - pytał jeden z kolegów - gdyby nie ruskie bagnety i czołgi? Kto by was w Polsce, czy tu, w Lublinie uznał, słuchał, tolerował? I czy wy sami mielibyście odwagę publicznie wystąpić, kilku może czy najwyżej kilkunastu, przeciwko tysiącom?

Prelegent próbował początkowo bronić się przy pomocy zwykłych szablonowych argumentów, że walczyły tylko AL i GL, a Armia Krajowa „stała z bronią u nogi”, a nawet pomagała Niemcom, lecz na to odezwały się głosy cytujące liczby, walki AK, jej działalność w latach okupacji i jakieś dalekie echa o istnieniu AL, której poza Rzeczycią i jakąś tam jeszcze miejscowością nikt nie znał i nie widział. Na te głosy prelegent był bezradny.

W końcu jeden z bardzo aktywnych i mądrych uczniów, a jednocześnie mało powściągliwy w słowach odezwał się kategorycznie:

- Najlepiej zrobisz, człowieku, jeżeli pójdziesz sobie skąd przyszedłeś i będziesz tam przekonywał takich, jakis sam. Ty pewnie znasz najnowszą historię z wykładów towarzyszy partyjnych, a my z życia i z prawdziwych źródeł. Daj więc nam spokój i radzimy ci nie pokazywać się tutaj.

Agitator jakby na to tylko czekał:

- Dobrze - powiedział. - Pójdę, bo wasza szkoła jest za mało postępową, ale kiedyś zrozumiecie, że ja miałem rację, bo tylko socjalizm ma przed sobą przyszłość. Zobaczycie! - I zniknął za

drzwiami sali, żegnany pobłażliwymi lub złośliwymi uśmiechami.

Nie widzieliśmy go w szkole więcej. Ani jego, ani jego kolegów. Czuliśmy także, że dyrektor, obecny na zebraniu, jest zadowolony z takiego przebiegu imprezy. Nie zabierał głosu, nie bronił ani nie atakował niefortunnego agitatora, lecz nazajutrz, gdy mieliśmy wolną lekcję, przyszedł na zastępstwo i nauczył nas pieśni "Czerwone maki na Monte Cassino". Byliśmy mu za to bardzo wdzięczni, lecz niedługo potem zakazano ją śpiewać.

Tymczasem po niespełna roku pobytu na Drobnej otrzymaliśmy wiadomość, że internat ma być przeniesiony na Stare Miasto do budynku przy ulicy Grodzkiej. Nasze dotychczasowe pomieszczenia mają być zajęte przez milicję i ma tam powstać szkoła dla funkcjonariuszy porządku publicznego. Żał nam było rozstawać się ze spokojnymi murami internatu. Mieszkaliśmy wprawdzie na peryferiach miasta, do szkoły, kina, sklepu czy teatru było stąd daleko, ale rekompensowała to wszystko cisza, doskonałe warunki do nauki, w lecie bliskość basenu kąpielowego, który znajdował się tuż przed naszym domem i mogliśmy za niewielką opłatą korzystać z niego przez cały sezon. Jeden z naszych kolegów, także żołnierz 27 Dywizji, hartował się tu przez większość miesięcy w roku. Bez względu na pogodę i temperaturę wody codziennie rano odbywał najpierw parokilometryowy bieg po ezechowskich polach, potem przeskakiwał ogrodzenie basenu i zanurzał się w lodowatej wodzie. Podziwialiśmy jego wytrzymałość, odporność na zimno i silną wolę. Zahartował się istotnie, bo nigdy nie chorował, chociaż nie miał zwyczaju ubierać się ciepło i lekceważył sobie nawet najcięższe mrozy. Martwił się więc, że tam, w śródmieściu, nie będzie miał warunków do swych codziennych ćwiczeń sportowych.

Ale i zamieszkanie w nowej siedzibie miało swoje dobre strony i niektórzy z utęsknieniem oczekiwali dnia przeprowadzki. Oprócz skrócenia sobie drogi do szkoły, mieli nadzieję na ożywienie się życia towarzyskiego, częstsze odwiedziny kolegów i koleżanek, bo odległość Drobnej od miasta stała temu na przeszkodzie. Mieliśmy teraz mieć naokoło kościoły, bibliotekę Łopacińskiego pod bokiem, z czytelnią książek i czasopism, łatwiejszą wymianę podręczników itd.

Otrzymane przy Grodzkiej pomieszczenia okazały się nieco ciasniejsze, trzeba było ścieśnić sypialnie, tak że w niektórych łóżko opierało się o łóżko, szczupła była sala świetlicowa, lecz szybko przyzwyczailiśmy się do nowych warunków. Część domu zajmowały sta-

ruszki, mające tu swoje schronisko. Było ich około 15. Obawialiśmy się początkowo, czy takie sąsiedztwo w tej samej klatce schodowej, w sąsiadujących bezpośrednio ze sobą pomieszczeniach zajętych z jednej strony przez młokosów, wesołych i rozbrykanych, z drugiej przez osiwiiałe niewiasty, podpierające się kijkami, w staroświeckich ubraniach nie doprowadzi do scysji i nieporozumień, lecz nasze obawy przysły już po kilku dniach sąsiedztwa. Staruszki okazały się bardzo miłe, odnosiły się do nas przyjaźnie, a kierowała nimi wilnianka, szybko więc ^{związała} ~~związała~~ w naszym kierowniku rodaka, a i w nas, wołyńiakach, bliskich sobie ludzi, wypędzonych ze swych rodzinnych stron i domów. Pozostawialiśmy ze sobą w bliskiej przyjaźni, a nawet kilka razy wspólnie z kierownikiem zajadałem się u kierowniczkę znakomitymi litewskimi kołdunami.

5. Kolonie w Kijanach

Zatrzymam się jeszcze na ciekawszych wydarzeniach 1946 roku. Złożyły się na nie przede wszystkim przyjazd do Lublina biskupa Stefana Wyszyńskiego oraz kolonie letnie dla podopiecznych PMS-u w Kijanach nad Wieprzem.

Najpierw kilka słów o ingresie.

Po śmierci biskupa Leona Fulmana, który wrócił wprawdzie z obozu koncentracyjnego, lecz był tak wyczerpany i schorowany, że wkrótce potem zakończył życie, ordynariuszem lubelskim został mianowany świeżo konsekrowany biskup - Stefan Wyszyński. Jego wjazd do Lublina był nadzwyczaj uroczysty. Całe miasto żyło tym wielkim wydarzeniem. Nie pamiętam już dokładnie, czy osoba nowego ordynariusza była lubelskiemu społeczeństwu tak znana, czy było to jakieś intuicyjne wyczucie, że rządy w diecezji obejmuje człowiek wyjątkowy, opatrnościowy mąż, który w całym polskim Kościele odegra wkrótce wielką rolę, dość że na ulice w dniu ingresu wyległa cała chyba ludność Lublina i okolic. Nawet wojsko, milicja, władze miejskie uczestniczyły w uroczystościach. Dzień 26 maja 1946 roku zapisał się mocno w pamięci każdego mieszkańca grodu. Blasku dodała uroczystościom przepiękna pogoda. Wszystko tonęło w słońcu i mienieni. Ogród Saski i całe Aleje Racławickie pachniały kwieciami i wiosną. Kiedy od warszawskich rogatek ukazał się orszak biskupi, wśród entuzjastycznych śpiewów religijnych rozbrzmiewały okrzyki,

oklaski, chyliły się głowy, niektórzy klękali na jezdni, wszyscy patrzyli na swego nowego pasterza jakby przeczuwając, że witają człowieka, o którym głośno będzie w Polsce i w świecie. A nowy ordynariusz szedł wolno błogosławiąc tłumy znakiem krzyża świętego i uśmiechał się swym charakterystycznym dobrym, pełnym miłości uśmiechem.

Staliśmy długim szeregiem na brzegu jezdni w pobliżu Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, wszyscy wychowankowie naszego internatu. Nie rozumieliśmy jeszcze wielu rzeczy i spraw. Nie wiedzieliśmy nic o tym, którego spotyka tak żywiołowy entuzjazm i uwielbienie. I czuliśmy się szczęśliwi, że uczestniczymy w tej doniosłej ceremonii powitania, że widzieliśmy z bliska dostojnika Kościoła, kroczącego poważnie w stronę katedry, by objąć nad nami opiekę. Nie wiedzieliśmy też, że wkrótce poznamy naszego biskupa niemal osobiście. Wracaliśmy do internatu w uroczystym nastroju, pokrzepieni na duchu, radośni i szczęśliwi, jak zresztą ~~wszyscy~~ wszyscy lublińianie.

Tymczasem rok szkolny przeszedł bardzo szybko i zaczęły się wakacje. Jeszcze przed zakończeniem lekcji zarząd Powiatowego Komitetu Opieki Społecznej zaproponował nam, starszym wychowankom, pracę w charakterze wychowawców na koloniach letnich dla dzieci w Kijanach nad Wieprzem. PKOS prowadził bowiem w Lublinie kilka Domów Dziecka, w których przebywały przede wszystkim sieroty i półsieroty oraz niewielka ilość dzieci mających rodziców, lecz albo bardzo ubogich, albo alkoholików lub cierpiących na inne "choroby" społeczne. Dla nich właśnie postanowiono urządzić pierwsze po wojnie prawdziwe kolonie w miejscowości pięknie położonej po prawej stronie Wieprza, w niewielkim lasku, w absolutnej ciszy i zdrowym klimacie. Naturalnie przyjęliśmy propozycję z ochotą. To znaczy nie cała nasza piątka z Wołynia, lecz tylko ja z kolegą z Dywizji oraz jeszcze jednym starszym, dobrze zapowiadającym się uczniem. Cieszyliśmy się, że zarobimy parę groszy, tak bardzo potrzebnych na codzienne szkolne wydatki, a poza tym będziemy korzystali przez okres wakacji z całodziennego wyżywienia, co w naszych warunkach było rzeczą nie do pogardzenia. Ja osobiście miałem nadzieję uzupełnienia braków w obowiązkowej lekturze z języka polskiego, gdyż w ciągu roku nie było możliwości przeczytać wszystkiego. W następnym roku czekała nas matura. Uradziliśmy, że zaraz po jej zdaniu zapiszemy się na studia. Jak się potem okazało, zapisaliśmy się nawet przed zdaniem egzaminów jako tak zwani "wolni słuchacze", z prawem korzystania ze wszystkich praw przysłu-

gujących studentom. W ten sposób przy dobrych chęciach i możliwościach zdania egzaminów obowiązujących na pierwszym roku po przedłożeniu świadectw dojrzałości stawaliśmy się normalnymi studentami i zyskiwaliśmy pół roku. W drugim półroczu można było nadrobić zaległości z pierwszego i zaliczyć cały rok studiów. Zastosowaliśmy tego rodzaju taktykę, ponieważ nasze egzaminy maturalne przypadały w lutym, nie chcieliśmy więc czekać bezczynnie do października, ale to już dalsza sprawa.

W pierwszych dniach lipca 1948 roku wyjechaliśmy wraz z kierownikiem internatu do Kijan, aby przygotować pomieszczenia dla mających przybyć wkrótce kolonistów. Obiekt należał do szkoły ogrodniczej w Kijanach, ale korzystało z niego dotąd wojsko i pozostawiło go w stanie opłakanym. Trzeba było włożyć niemało pracy, aby przywrócić mu normalny stan. Wszędzie zalegały góry śmieci, słomy, nawozów i wszelkiego rodzaju brudów.

Przyjechało nas kilkunastu. Zabraliśmy się żywo do roboty. Był upalny, bezwietrzny dzień i on to sprawił, że przeżyliśmy w tym dniu tragiczny wypadek.

Po całodzienniej uciążliwej pracy udaliśmy się przed wieczorem do Wieprza, aby się wykapać, umyć, doprowadzić się do porządku, każdy bowiem wyglądał jak kominiarz. Ociekający po ciele pot sprawiał, że kurz chyba milimetrami oblepiał nasze ciała. Przyszliśmy więc na brzeg, odczekaliśmy nieco, żeby ostygnąć ~~się~~, po czym jeden z chłopców skoczył z wysokiego brzegu do rzeki. Woda była dość ciepła i niezbyt głęboka, czysta, nie groziło więc żadne niebezpieczeństwo. Staliśmy na brzegu i patrzyliśmy na kolegę, który uchodził za dobrego pływaka. Ten zanurzył się w wodzie, wyciągnął w przód ręce i płynął z prądem wyprężony jak struna. Niosła go sama woda. Spokojni początkowo zaczęliśmy po chwili spoglądać na siebie z lękiem, gdyż jego nurkowanie za bardzo przedłużało się. Jedni wyrażali podziw dla dzielnego kolegi, lecz większość nie podzielała tego. Upłynęła może minuta. Wtedy jeden z chłopców najbliższej się znajdujących skoczył również do wody i chwycił nurkującego. Ręka ~~chłopaka~~ chłopaka była bezwładna. On też. Wyciągnięty po chwili na brzeg nie dawał znaku życia. Nie pomogło sztuczne oddychanie, wypompowywanie wody. Na naszych oczach chłopak utonął. Potem lekarze orzekli, że śmierć spowodowała nagła zmiana temperatury, a poza tym okazało się, że nasz kolega miał od dawna wadę serca, o czym nikomu z nas nie mówił. Tak więc kolonie rozpoczynały się pod znakiem tragedii.

Kiedy jednak po kilku dniach do gotowych już pomieszczeń przyjechały dzieci, praca wychowawcza okazała się bardzo miła i ciekawa. Wychowankowie byli nadzwyczaj grzeczni, weseli, rozbawieni, jak zwykle dzieci, ale jednocześnie posłuszni, pełni najrozmaitszych ciekawych pomysłów, skłonni do wszelkiego rodzaju zabaw. Każdy z nas otrzymał swoją grupę i prowadził z nią przez cały dzień zajęcia. Odpowiadał też za jej bezpieczeństwo, zdrowie i zachowanie się. Uczyłem więc swych podopiecznych wierszyków, nowych piosenek, chodziliśmy razem na wycieczki, poznawaliśmy nieznane dotąd okolice. Cały personel kolonii składał się również z ludzi przeważnie młodych, zgranych, oddanych sprawom dzieci - sierotom i półsierotom, jak pisałem poprzednio. Niewielki lasek bez przerwy rozbrzmiewał wesołym gwarem, śpiewem, wybuchami dziecięcego beztroskiego śmiechu. Prawie codziennie wieczorem urządzaaliśmy ogniska, na wzór niedawnych harcerskich, kończąc je zawsze modlitwą i śpiewem "Idzie noc", ze splecionymi w braterskim uścisku rękami.

Dwa zdarzenia utkwiły mi szczególnie w pamięci, nie licząc opisanego przed chwilą wypadku utonięcia kolegi. Pierwsze - to moja choroba, pierwszy raz od wielu, wielu lat, bo odznaczałem się zawsze dobrym zdrowiem i nawet w najtrudniejszych chwilach głodu, zimna i tyfusu, kiedy prowadziliśmy walki z Niemcami na Wołyniu i Polesiu ani razu nie zachorowałem nawet na jeden dzień. Teraz niespodziewanie musiałem nawet poleżeć nieco w lubelskim szpitalu. Drugie, o wiele ważniejsze - to odwiedziny kolonii przez biskupa Stefana Wyszyńskiego. Było to prawdziwe wydarzenie w życiu uczestników kolonii. Wiadomość o zamiarze naszego arcybiskupa nadeszła dzień wcześniej. Naturalnie, zaczęły się natychmiast gorączkowe przygotowania, sprzątanina, strojenie pomieszczeń itd., choć przyznać należy, że i tak w całym obiekcie panował ład i porządek utrzymywany na co dzień. Ale w takiej chwili wszystko musiało przybrać odświętny wygląd. A następnego dnia wyczekiwanie od rana na brzegu rzeki. Nie było jeszcze wtedy na Wieprzu w tym miejscu mostu. Podróżni i gospodarze posiadający po drugiej stronie pola, korzystali z promu, kursującego w każdej potrzebie tam i z powrotem. Przy tym więc promie wychowankowie od rana pełnili dyżury, aby w porę zawiadomić o przybyciu dostojnego gościa. Ksiądz biskup pojawił się około południa w towarzystwie dwóch księży i jednego pana w cywilu, chyba prezesa WKOS-u, mec. Stanisława Kalinowskiego. To drugie moje zetknięcie się z ordynariuszem lubelskim zrobiło zupełnie inne na mnie wrażenie. Tam, podczas ingre-

su, widzieliśmy we wchodzącym do Lublina biskupie samo dostojęstwo, królewski niemal blask, tu nagle zjawiał się przed nami człowiek zupełnie inny, bliski, wesoło uśmiechnięty, skromny i tak bezpośredni w obcowaniu ze wszystkimi, jak byśmy znali się od bardzo dawna. W czarnym kapeluszu i takimże lekkim płaszczu, jedynie z dużym krzyżem na piersiach, zawieszonym na długim łańcuchu, niewiele różnił się od towarzyszących mu księży. Z daleka już uśmiechał się do czekających po drugiej stronie rzeki, machał do nas przyjaźnie ręką, a zszedłszy z promu witał się po przyjacielsku ze wszystkimi, nie przestając się uśmiechać i sypać wesołymi żarcikami, pełnymi subtelności i doskonałego poczucia humoru. A potem otoczywszy niezwykłego gościa kołem i trzymając się za ręce, prowadziliśmy księdza biskupa do naszego domu. Tu znowu nie kończące się rozmowy, pytania i odpowiedzi, kwitowane przez dostojnika kościelnego wesołymi uwagami i dowcipnymi powiedzonkami. Później wspólne zdjęcie, rodzinne, jak mówił biskup Wyszynski, wszystkich pracowników, wychowanków i gości. Przechowuję je do dziś jako jedną z najmilszych pamiątek tamtych lat.

W późniejszym czasie wiele razy gościliśmy naszego arcybiskupa w swoim internacie przy ulicy Grodzkiej na różnych uroczystościach, nie zawsze o religijnym charakterze. Zaproszony przychodził do nas chętnie i spędzał wieczory wśród ogólnej radości i wesela. Potem, kiedy spotykał nas na ulicy, zawsze zamienił kilka słów, rzucił jakieś pytanie lub wesołą uwagę. Byliśmy dumni, gdy biskup Wyszynski został Prymasem Polski, ale jednocześnie żalowaliśmy bardzo, wiedząc, że drugiego takiego lubelska diecezja już się pewnie nie doczeka.

Funkcja wychowawcy na koloniach pozwoliła mi poznać bliżej moich przełożonych, z niektórymi po prostu zaprzyjaźnić się, toteż gdy matura była już blisko, otrzymałem propozycję pozostania w internacie w charakterze wychowawcy. Odbyło się to w sposób bardzo demokratyczny, gdyż kierownik, Mieczysław Wołodzki, zwołał zebranie wszystkich wychowanków, a w porządku dziennym zebrania znalazł się także punkt: wybór wychowawcy. Już nie pamiętam, kto podał obok innych także moją kandydaturę. Przy głosowaniu odniosłem zwycięstwo i zostałem w zakładzie na stałe. Czułem się nie tylko usatysfakcjonowany, lecz spadł mi z głowy kłopot poszukiwania pracy, bez której przecież nie byłbym w stanie pozwolić sobie na studia, które wymagały wszak sporo funduszy. A pomocy z domu nie mogłem się spodziewać, ponieważ rodzina w nowym miejscu długo musiała

członków społeczności akademickiej. Zaraz też zaczęliśmy regularnie uczęszczać na zajęcia i z zapałem nadrabiać zaległości minionych miesięcy. Wszystkim udało się obowiązuje egzaminy i kolokwia złożyć w terminie i z wynikami pozytywnymi.

W omawianym okresie zmieniły się moje warunki rodzinne, mianowicie rodzice wyzbyli się gospodarstwa w okolicy Chełma i przenieśli się na Ziemię Odzyskana do województwa koszalińskiego, gdzie osiedlili się wcześniej moi dziadkowie i wujkowie. W ten sposób rodzina scaliła się, połączyła, tylko że ja miałem teraz bardzo daleko do domu. Poczujęm się znowu bardziej samotny. Również Bazyli z żoną opuścili Lublin i wyjechali z kolei w okolice Jeleniej Góry, gdzie przebywali już rodzice Libuszki wraz z jej siostrami i małą córeczką. Lublin jakby pustoszał. Jedyną rekompensatą tego był powrót z wojska mojego brata, który zamieszkał z nami w internacie i zaczął naukę w gimnazjum dla dorosłych przy Ogrodowej, w gmachu liceum im. J. Zamojskiego. No i cała pozostała paczka byłych partyzantów wołyńskich uczyła się dalej w Lublinie na wyższych uczelniach, choć prawdę mówiąc nie wszyscy. Niektórzy po maturze, zdanej o rok później, wyjechali z naszego grodu: do Warszawy, Wrocławia i Dąbłina. Wszyscy pokończyli obronę studia i szkoły i urządzili się zgodnie z zamiłowaniem i aspiracjami. Dziś wszyscy już odpoczywają po pracowitym żywocie na zasłużonej emeryturze.

PIERWSZE LATA UNIWEKSYTECKIE

1. Praca w Pogotowiu Opiekunieczym

Nobila się wiosna 1947 roku. Pracowałem nadal w internacie i uczęszczałem na zajęcia na KUL-u. Nie mogłem wprawdzie uczestniczyć we wszystkich wykładach ze względu na obowiązki zawodowe, ale starałem się wykorzystać wszelkie możliwości, by jak najmniej stracić z ciekawych wykładów znakomitych profesorów, jacy wtedy kierowali katedrami uniwersyteckimi.

Któregoś dnia zupełnie niesoczekiwanie otrzymałem wiadomość, że mam zmienić miejsce pracy. Władze PKOS-u przenoszą mnie na identyczne stanowisko do Pogotowia Opiekunieczego dla Dzieci, mieszczącego się przy ulicy Lubartowskiej 2, mającej wkrótce otrzymać nową nazwę, odpowiadającą tworzącej się nowej rzeczywistości, mianowicie "Stalingradzkiej". Ale wtedy, gdy się tam przeprowadzałem, zach-

wywała jeszcze ~~ona~~ właściwą nazwą. Pożegnałem więc swój internat, który ułatwił mi życie i naukę i przeprowadziłem się do nowej instytucji. Obawiałem się trochę owego Pogotowia, bo sporo o nim słyszałem, okazało się jednak, że nie taki diabeł straszny...

Nowa placówka była bardziej interesująca od poprzedniej. W internacie wszystko było ustabilizowane, uporządkowane. Dzień do dnia podobny był jak dwie przysłowiowe krople wody. Obowiązywał regulamin, którego wychowankowie starali się nie naruszać, nie było więc żadnych niespodzianek, przygód, trudnych sytuacji. Tu natomiast nikt nie był w stanie odgadnąć, co się dziś lub jutro może wydarzyć. A wydarzało się dużo.

Pogotowie Opiekunów było zakładem wychowawczym dla dzieci pozabawionych opieki, niedociągniętych przestępców, ciwytanych na kradzieży, włananiach, ulicznych awanturach. Rekrutowali się głównie z rodzin rozbitych przez wojnę: na przykład ojciec zginął, matka nie była w stanie wychowywać dziecka, chłopak więc jechał w świat "za chlebem" i zdobywał go, jak to tylko było możliwe. Było dużo dzieci zupełnie bez rodziców i bez domu. Kompletne sieroty, ocalałe z pogromów, pacyfikacji, łapanek ulicznych. Przebywały nawet w zakładzie dzieci funkcjonariuszy niemieckich, którzy w popłochu opuścili Lublin, pozostawiając dzieci w domach lub na ulicy. I tymi trzeba się było opiekować. Przyzwyczajone do kradzieży i rozbojów długo nie potrafiły znaleźć się w normalnych warunkach. Ciągnęło je do przestępstw, mimo że miały pełne i dobre wyżywienie, miały ubrania, własne łóżko, czystą pościel i wszystko, co dziecku jest niezbędne, bo personel starał się okazywać jak najwięcej serca bezdomnym sierotom. Często długo trzeba było czekać, stosując najrozsądniejsze zabiegó wychowawcze, zanim dziecko zmieniło tryb swego postępowania. Ale i wtedy widok czegoś, co można sobie bezkarnie przywłaszczyć, budził niepokonowaną chęć skorzystania z okazji. Miałem kilkakrotnie okazje takie przypadki obserwować.

Kierowała Pogotowiem starsza pani, dobra i z otwartym dla dzieci sercem, wywodząca się podobno ze starej szlachty kresowej, gdzieś spod Żytomierza czy Mozyrza, nazwiskiem Ewelina Blaszyńska. Miała dwoje dzieci: starszego Winiejusza i młodszą Danutę, oboje już dorosłe. O ile córka była bardzo do matki przywiązana i zachowywała się kulturalnie, z godnością, to chłopak kroczył swoją własną drogą, uznając za najważniejsze zabawy, wesołe towarzystwo, dogadzanie wszelkim swym zachciankom, bez względu na hamulce moralne, kulturalne czy inne. Rzadko bywał w domu, czas spędzał gdzieś w mieście

w swoim ulubionym środowisku. Matka zapatrzona w jedynaka nie była w stanie zabronić mu czegokolwiek, zresztą na pewno nie znalazłaby u syna posłuchu. Próbowala czasem łagodnymi matczynymi słowami wytłumaczyć chłopcu, by wziął się do książki, by więcej przebywał z nią i siostrą, że byłoby im raźniej i weselej, lecz niewiele to skutkowało. Winek słuchał, przytakiwał matce, a potem szedł i robił to samo co wczoraj. Dopiero później zrozumiał swoje błędy, gdy były już nie do naprawienia. Bardzo wcześnie opuścił ten świat. Córka natomiast wyrosła na porządną i żądrą kobietę i do dziś cieszy się dobrym zdrowiem i szacunkiem otoczenia.

Praca w nowej placówce wkrótce przypadła mi do gustu całkowicie. Dzieciarstwo było niezwykle ciekawe, przywiązywała się szybko do wychowawców, młodociani przestępcy byli wprawdzie trudni, lecz i z nimi powoli zacząłem dawać sobie radę. Niektórzy okazali się później bardzo inteligentnymi ludźmi, zdolnymi uczniami, dobrymi kolegami i odnosiło się wrażenie, że wyrodną na porządnym ludzi. Zdarzali się też chłopcy zepsuci do ena i chyba tylko dom poprawczy lub więzienie mogły stać się dla nich odpowiednim miejscem pobytu, bo żadne środki wychowawcze i najlepsze serce nie odnosiły żadnych skutków. Szczególnie kilku ^{spośród} tych zatwardziały się udało mi się skierować na dobrą drogę, co było najlepszą zapłatą za trud i kłopoty związane z nową pracą.

Skorzystałem w Pogotowiu sporo, zdobyłem wiele doświadczeń w pracy z dziećmi i młodzieżą, która bardzo przydała mi się w późniejszych latach.

3. Profesorowie uniwersyteccy

Przez cały czas musiałem godzić i łączyć pracę ze studiami na Katolickim Uniwersytecie. Wspominałem już o tym. Nie było to rzeczą łatwą, bo profesorowie na egzaminach i kollokwiach nie pytali co kto robi i czym się zajmuje, lecz sprawdzali prawdziwe wiadomości. Nie uznawali taryfy ulgowej. Zresztą chyba i studenci nie czuliby się dobrze, gdyby dostrzegli u swych wykładowców jakąś szczególną pobłażliwość, niezasłużone względy. Dlatego wykorzystywałem każdą wolną chwilę, by przygotować się możliwie najlepiej i stawić się na egzaminie z opanowanymi wiadomościami. Poza tym wykłady i ćwiczenia były tak ciekawe, że nie trzeba było specjalnej zachęty do uczęszczania na nie, a to oznaczało już połowę su-

kcesu w należytych opanowaniu obowiązującego materiału. Staraliśmy się czytać jak najwięcej, wertować podawane na zajęciach pozycje, przygotowywać należycie referaty seminaryjne. Dopiero później niektórzy zwolnili tempa, czego zresztą mocno żalowali, bo wprowadzenie tak zwanej "dyscypliny studiów" spowodowało, że ci, którzy nie mieli "zaliczonych" poszczególnych lat studiów i zdanych egzaminów, odpadli zupełnie, lub potracili dużo. Ale początkowy zapach był imponujący.

W omawianym czasie KUL miał wybitnych wykładowców, przybyłych do Lublina z ziem kresowych, zagarniętych przez Sowiety. Czasem trudno było zdecydować się, na czyj wykład pójść, bo każdy był atrakcyjny, a i samo nazwisko wykładowcy przyciągało jak przysłowiowy magnes.

Ogromnym powodzeniem cieszyły się wtedy wykłady prof. Juliusza Kleinera z uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Zawsze mówił przy wypełnionej po brzegi sali. Umiął zainteresować każdego. Przez kilka miesięcy przedmiotem wykładów uczynił na przykład "Pana Tadeusza", dzieło, zdawałoby się, powszechnie znane. Tymczasem nasz profesor odkrywał przed nami zupełnie nowe światy, znane treści umieszczał na szerokim tle historycznym, obyczajowym czy społecznym epoki, wprowadzał mnóstwo informacji z dziedziny poetyki, składni, a wszystko to robił w sposób przepiękny.

Miał trudności z chodzeniem. Poruszał się przy pomocy laski, drobnymi i wolnymi krokami, kłaniając się swą białą głową z takimże wąsemi pozdrawiającym go studentom. Czasem zatrzymywał się dla odpoczynku, nie przestając się uśmiechać. Przejście przez jeden z korytarzy uniwersyteckich zabierało mu zawsze dobrych kilka minut czasu.

Kierował lubelskim Kołem Pisarzy. Organizował często publiczne dyskusje po premierach w miejsowym teatrze, na które przychodziło zawsze mnóstwo ludzi. Umiął tak stawiać różne zagadnienia i problemy, że wywoływał gorące dyskusje i polemiki, a w najbardziej zognionym momencie odzywał się kilkoma zdaniem i wprowadzał wśród dyskutantów zgodę, bo każdemu przyznawał w jakimś punkcie rację. Młodzi studenci korzystaliśmy z tych dyskusji bardzo wiele. Żalowaliśmy bardzo, gdy prof. Kleiner opuszczał Lublin i odjeżdżał do Krakowa.

Niezwykle ciekawe były wykłady prof. Jana Parandowskiego, wybitnego znawcy historii i kultury starożytnej. Nie należał do porywających mówców, lecz wykłady jego brzmiały tak, jakby się słuchało autentycznych zdarzeń z ust naocznego świadka, nawet wtedy,

gdy mówił o mitach greckich i rzymskich. Potrafił słowami malować krajobraz grecki, uplastyczniać kształty, ozdobić je kolorami w taki sposób, że odnosiło się wrażenie, jakby ktoś pokazywał autentyczny obraz, rzeźbę lub budowlę z jej rozmiarami, kolorystyką i najdrobniejszymi detalami. Miał przy tym twarz zawsze prawie nieruchomą, prawie posagową, rzadko tylko uśmiechał się, tak iż dziwnym później wydawało się, że same słowa wywierały tak wielkie wrażenie na słuchaczach. Być może, że oddziaływało tu i nazwisko głośnego pisarza, autora "Nieba w płomieniach" i tylu znakomitych dzieł.

Ogromnie lubiliśmy wykłady profesora Jana Czekanowskiego, o światowej sławie antropologa. Wysoki, szczupły, lekko pochyłony, nosił się na sposób przedwojenny - w sportowej marynarce i spodniach pumpach pod kolana - samym swym wyglądem zwracał na siebie uwagę. Ubiór, naturalnie, nie raził nas wcale, bo byliśmy pokoleniem, które dobrze pamiętało przedwojenną modę i samo było z nią zżyte. Zresztą wtedy wielu jeszcze panów ubierało się podobnie.

Prof. Czekanowski rzadko siadał na krześle, wykladał zwykle na stojąco, a nawet lubił cały czas poruszać się i żywo gestykulować, pomagając sobie tym sposobem w uplastycznianiu wykładu. Mówił niezwykle zajmująco, sugestywnie, tym bardziej, że opierał się często na wynikach swoich własnych badań, podróżach po krajach pozaeuropejskich. Pamiętam, że niektóre wykłady tego uczonego mogłem po wielu tygodniach, ba - latach - powtórzyć prawie dosłownie, tak mocno zapadały w pamięć słuchaczy. Zajęcia u profesora Czekanowskiego nie obowiązywały moją grupę, lecz kiedy tylko miałem wolną godzinę, siedłem z chęcią posłuchać tego znakomitego uczonego.

Lubiłem wykłady i zajęcia profesora Leona Białkowskiego, mediewisty, choć nie wszyscy podzielali moją o nim opinię. Człowiek ogromnego wzrostu, potężnie zbudowany, barczysty, także nieco pochylony, o wielkiej twarzy i niskim głosie uchodził u nas za wyrocznię we wszelkich sprawach historii średniowiecznej. Miał zawsze pod ręką potrzebne do wykładu dokumenty, fotokopie, odpowiednio opracowania. Rozkładał to wszystko na stoliku i mówił na pół do siebie, na pół do słuchaczy, bez przerwy prawie przekładając swoje pomoce naukowe, raz po raz unosząc w górę poszczególne kartki, nie tylko dla zademonstrowania ich wyglądu, lecz jakby dla pokazania, że takowe rzeczywiście istnieją, że można i trzeba wziąć je do ręki, przeczytać i przekonać się samemu o ich treści.

Umiął prof. Białkowski dziwnie rozdawać swoją jaźń: zdawało się nieraz, że jest zajęty czymś zupełnie różnym niż to, co mówi słuchacz w czasie ćwiczeń i seminariów, co czyta w przygotowanym referacie, a potem jakby zbudzony z zadumy, zaczynał komentować wypowiedziane przed chwilą przez studenta słowa, uzupełniać je, korygować i poprawiać. Zeskakiwał nas tym, bowiem wydawało się nieraz, że referat przejdzie prawie przez profesora nie zauważony, on tymczasem, wpatrzony w okno, albo w swe papiery myślał chyba o czymś bardzo odległym, nie tracąc jednocześnie kontaktu z wygłoszonymi przez słuchacza słowami.

Był wybuchowy, gwałtowny i w takich chwilach lepiej było nie próbować usprawiedliwić się, bronić, tłumaczyć, gdyż to pogorszało tylko sytuację.

Jednego razu zgłosiliśmy się z kolegą do lubelskiego Archiwum Okręgowego, którego nasz profesor był dyrektorem. Sam często nam doradzał, że jeśli będziemy mieli jakieś drobne sprawy do załatwienia, możemy przychodzić do jego archiwalnej kancelarii i tam znajdzie zawsze dla nas chwilę czasu. Przyszliśmy więc prosić o podpis w indeksie do zaliczenia semestru. Profesor wziął spokojnie podane indeksy do ręki, przejrzał uważnie wszystkie kartki, potem podpisał i oddał nam je z uśmiechem, wstając jednocześnie, jakby dawał znak, że sprawa załatwiona i "żegnajcie panowie". Wtedy kolega wyjął z teczki jeszcze jeden indeks i podając go profesorowi, poprosił:

- Może pan profesor zechce podpisać jeszcze indeks kolegi Gutka. Pracuje w Kuratorium i nie mógł przyjść osobiście.

Pan Białkowski wziął do ręki indeks, przejrzał jak zwykle strona po stronie, potem powiedział:

- Niestety, proszę pana, nie podpiszę, ponieważ pan Gutek był u mnie na ćwiczeniach nie więcej niż dwa razy. Niech mu pan to powie.

- Panie profesorze - próbował bronić swego kolegę mój towarzysz. - To chyba pomyłka, bo my zwykle chodzimy razem i wydaje mi się, że nie opuścił więcej niż dwa ćwiczenia.

Profesor wyjął powoli z kieszeni notes, otworzył go i skrupulatnie przejrzał zapisy.

- Nie, proszę pana - odezwał się skończywszy lustrację swych notatek. - Nie myliłem się. Dwa razy na ćwiczeniach w ciągu semestru, to za mało. Nie podpiszę.

Gdyby mój towarzysz na tym poprzestał, byłoby wszystko w porządku, lecz ten nie dawał za wygraną i dalej zaczął bronić właś-

ciciela nieszczęsnego indeksu.

- Panie profesorze, ja bardzo przepraszam, ale to naprawdę musiała być jakaś pomyłka, bo kolega Gutek...

Nie dokończył, bo w tym momencie profesor zerwał się nagle z krzesła i jak huragan przemierzył najpierw długie pomieszczenie kancelaryjne, a potem krzyknął trzęsąc się cały ze zdenerwowania:

- Więc ja kłzę?! Z tego wynika, że ja kłzę! Pan mi śmie zarzucać kłamstwo? Mnie? To pan sądzi, że jestem już pozbawiony pamięci? Albo uczciwości? I nawet moje zapisy nic nie znaczą? Proszę wyjść! Proszę natychmiast stąd wyjść!!

- Panie profesorze, ja bardzo przepraszam... Nie chciałem... - próbował ratować sytuację kolega, lecz profesor nie pozwolił mu dojść do słowa:

- Natychmiast proszę stąd wyjść, bo mnie gotów szlag trafić! Wszystko potrafię znieść, tylko nie posądzanie mnie o mówienie nieprawdy! Już! - I wskazał nam ręką drzwi.

Długo nie mogliśmy ochłonąć po tym przykrym incydencie. Przez większą część powrotnej drogi nie odezwaliliśmy się do siebie ani słowem.

Innym znowu razem przyszedliśmy w godzinach popołudniowych na przypadające w tym dniu ćwiczenia. Była zima. Na dworze padał drobny śnieg i wiał silny, mroźny wiatr. Siedliśmy w długich ławach i czekamy na profesora. Minął kwadrans akademicki, minęło dalszych pięć, dziesięć minut, a profesor nie przychodził. Niektórzy byli zdania, że powinniśmy się rozejść, bo coś musiało się wykładowcy przydarzyć i już na pewno dziś nie przyjdzie. Inni radzili jeszcze nieco poczekać. Zostaliśmy, ponieważ pan Białkowski nie miał zwyczaju opuszczać zajęcia bez uprzedzenia. Wreszcie na kilka minut przed upływem przeznaczanego na zajęcia czasu otworzyły się drzwi i profesor wszedł do sali, cały ośnieżony, z twarzą, w której malowało się coś niezwykłego. Zatrzymał się na chwilę przed swym stolikiem, oparł się o jego blat obiema rękami, pomilezał chwilę, potem odezwał się jakimś nieswoim głosem:

- Nie jestem dziś w stanie prowadzić normalnych zajęć. Może ktoś z państwa ma przygotowany referat, to proszę odczytać, a ja trochę odpocznę. Przedłużymy trochę zajęcia, bo następną godzinę macie państwo wolną, prawda?

Rzeczywiście tak było. Jeden z kolegów zgłosił gotowość wygłoszenia referatu, profesor skinął głową na znak przyzwolenia, potem podszedł do okna, przez chwilę wpatrywał się w dal, następnie zdjął powoli palto, powiesił je na zaszczepecie okna, siadł

przy stoliku i pogrążył się w głębokiej zadumie. Kolega tymczasem czytał. Słuchaliśmy, lecz myślami bardziej byliśmy zajęci tym, co się mogło przytrafić wykładowcy, niż treścią czytanego referatu. Gdy lektor skończył, profesor nie podnosząc głowy i nie zmieniając pozycji, powiedział:

- Jeśli ktoś z państwa ma jakieś uwagi do referatu, to bardzo proszę, ja posłucham.

Odezwał się ten i ów, wniesiono jakieś tam poprawki czy uzupełnienia, ale wszystko to wyglądało raczej na pozorowanie normalnych zajęć niż na rzeczywistą dyskusję.

- Czy nikt z państwa nie ma już nic więcej do powiedzenia? - spytał profesor już nieco spokojniejszym tonem.

Cisza była znakiem, że nikt nie zamierza już podejmować dyskusji. Wtedy pan Białkowski zaczął komentować referat z niezwykłą dokładnością. Gdy sądziliśmy, że nic z jego treści nie dociera do umysłu prowadzącego zajęcia, on tymczasem, zajęty swymi sprawami, z niezwykłą uwagą słuchał jednocześnie wypowiedzi referenta. Mówił dość długo, całkiem spokojnie i rzeczowo. Kiedy skończył, podniósł się z krzesła, popatrzył jeszcze z daleka w okno, potem zaczął mówić najpierw spokojnie, potem coraz to mocniej, gwałtowniej, w końcu przestał całkiem panować nad sobą i swymi nerwami.

- Ja bardzo państwa przepraszam za spóźnienie. Państwo zapewne zauważyli, że nie lubię, gdy się ktoś spóźnia i sam nie lubię, aby na mnie czekano. Ale dziś wynikło to nie z mojej winy. Spotkała mnie wielka przykrość. Może to państwa nie będzie interesowało, ale nie mogę się powstrzymać, żeby o tym państwu nie powiedzieć, choćby dla świadectwa tych okropnych czasów. Proszę państwa! - podniósł nieco głos - Nigdy nie sądziłem, że mnie, starego człowieka, nad grobem stojącego, starego pedagoga i naukowca, spotka coś podobnego! Że lada chłystek! - zaczął mówić coraz gwałtowniej, przechodząc stopniowo w krzyk. - Tak, chłystek! Tylko tak go można nazwać! Bierze mnie na przesłuchanie! Śledztwo!! I co? Zarzuca mi w dodatku kłamstwo!! Kłamstwo, proszę państwa!! Przeszedłem carską niewolę, rozmawiałem z carską policją i żandarmami, ale nigdy w taki sposób, bez odrobiny kultury, tak prostacko, prymitywnie mnie nie traktowano!! Rosyjscy Azjaci, którzy mnie badali w Kąjowie, kiedy byłem jeszcze studentem i należałem do polskiej organizacji, mieli bez porównania więcej taktu niż dziś ten polski półgłówek! Mnie, starego profesora, wykładowcę na uniwersytecie traktować jak pierwszego lepszego ulicznika!? Boże, jakich to czasów dożyliśmy?

Jakże nisko upadł nasz naród! Kto w tym kraju dziś rządzi, kto ma nam zapewnić prawa, kierować nami, gdy tacy ludzie sprawują władzę i nie ma do kogo pójść ze skargą, bo wysłuchiwać by nas musieli także chłystki, analfabeci! Bez odrobiny taktu, kultury! Dziecy i prymitywni ludzie w najgorszym wydaniu!!! Cóż go obchodzi, że ja mam dzisiaj zajęcia na wyższej uczelni? Cóż go obchodzi, że mu raz i drugi z całym spokojem tłumaczę wszystko, o co mnie niezdarne pyta? Boże! Czy uwolnisz nas od takich rządów?...

Zamilkł na dłuższą chwilę, potem odezwał się już znacznie spokojniej:

- Niech mi państwo wybaczą, ale czegoś takiego nigdy nie przeżywałem, nie wyobrażałem sobie nawet, że majestat prawa i władzy może spoczywać w rękach tego typu ludzi. Nie mogę więc ochłonąć i chyba długo nie odzyskam całkowitego spokoju, bo to już w człowieku pozostanie...

Mówił jeszcze jakiś czas, uspokajając się stopniowo, lecz wiadać było z każdego słowa, że przesłuchanie w UB, bo wymienił kilka razy ulicę Krótką, było dla niego prawdziwym ciosem. Odczuliśmy to tym mocniej, że sędziwy profesor wkrótce potem zmarł. Istotnie, człowieka nad grobem, powagę naukową potraktowano w Urzędzie Bezpieczeństwa jak byle jakiego wezwanego na przesłuchanie rzezimieszka.

Dużym autorytetem zarówno wśród studentów jak i wśród swoich współpracowników cieszył się profesor Andrzej Wojtkowski. W czasie moich studiów pełnił funkcję dziekana Wydziału Humanistycznego. Potem został dyrektorem biblioteki uniwersyteckiej, nie przestając jednocześnie wykładać i pracować naukowo. Mówił ciekawie, bardzo uczenie, lecz nie potrafił wzbudzić u studentów szczególnego zainteresowania swoim przedmiotem. Zawsze gdy miało się do wyboru pójść na wykład np. Kleinera albo Wojtkowskiego, wybierało się tego pierwszego. Nie wiem dlaczego studenci bali się pana dziekana. Niektórzy uważali go za "piłę" podczas egzaminów, inni mówili, że jest człowiekiem nieprzystępnym, choć moim zdaniem nie było to prawdą. Zawsze prawie zachowywał uśmiech na twarzy, pozwalał na bardzo swobodną rozmowę, na zacięte nawet dyskusje, gdzie każdy bronił swego zdania. Dopiero kiedy zauważył, że samemu jest się już niezbyt pewnym ~~niekiedy~~ ^{głoszonych} racji, wówczas od razu przerywał rozmowę i przechodził na inny temat.

Pamiętam, że gdy rozpoczynałem przygotowywanie materiałów do pracy magisterskiej, profesor Aleksander Kosowski, u którego pracę pisałem, po którejś kolejnej konsultacji udzielił mi niespo-

dziewanej rady:

- Wie pan co? Niech pan uda się pod jakimś pretekstem do profesora Wojtkowskiego i zasięgnie delikatnie jego opinii co do pańskiego tematu. On będzie przewodniczył Komisji Egzaminacyjnej, niech wie, że taki temat będzie. Zdarzyło się już, że pan Wojtkowski odrzucił gotową już pracę tylko ze względu na to, że nie uznał jej tematu. Tłumaczył, że taki temat jest za trudny, to znowu że jest mało zrozumiały, wieloznaczny itd. Lepiej uniknąć nieprzyjemności i wcześniej się porozumieć. Pretekst pan na pewno znajdzie.

Naturalnie, znalazłem. Udałem się do biblioteki i poprosiłem o wskazanie mi źródeł, podając profesorowi kartkę z tematem. Pan Wojtkowski przeczytał raz i drugi temat, pomyślał chwilę, potem zaczął wyliczać tytuły i autorów, u których będę mógł znaleźć potrzebne informacje. Podziękowałem i udałem się do czytelni. Wymienione pozycje znałem już wcześniej, ale byłem teraz pewny, że mogę spokojnie pracować, bez obawy o przykrą niespodziankę. Zadowolony był również prof. Kossowski.

Profesor Kossowski był opiekunem naszej grupy, naszego roku. Funkcję tę pełnił z ogromnym zaangażowaniem i troskliwością o powierzonych sobie studentów. Przejmował się każdą naszą prośbą, starał się o wszystko w porę nas poinformować, każdą rzecz wyjaśnić, aby nikt nie zaznał żadnych kłopotów. Bardzo już zaawansowany wiekiem, niskiego wzrostu, o dużej głowie i wąskich, skośnych nieco oczach, miał jakieś uszkodzenie jamy ustnej i podniebienia, co bardzo przeszkadzało mu w mówieniu, zniekształcał więc wyrazy, a ponieważ nie wymawiał również głoski "r", jego wykłady budziły początkowo u mniej opanowanych uśmiechy. Dopiero kiedy przyzwyczailiśmy się do jego wymowy, a zwłaszcza gdy poznaliśmy niezwykle dobre serce profesora, zaczęliśmy darzyć go należytym szacunkiem.

Z ogromną sumiennością przygotowywał się prof. Kossowski do każdego wykładu. Wcześniej byłem przekonany, że profesorowie wyższych uczelni tak dalece mają opanowany swój przedmiot, że absolutnie nie muszą uczyć się czegokolwiek, tylko o każdej porze dnia i nocy mogą zaczynać wykład na każdy temat ze swej specjalności. Dopiero od profesora Kossowskiego dowiedziałem się po raz pierwszy, że tak nie jest. Przyszedłem mianowicie podczas pisania pracy dyplomowej z jakąś ważną sprawą do domu profesora, lecz ten nieco zmieszany oświadczył, że dziś nie będzie mógł mi pomóc, ponieważ jutro ma aż dwugodzinny wykład i musi się do niego przygo-

tować. Przeprosiłem przełożonego i wyszedłem dziwiąc się niezmiernie, że człowiek o takiej wiedzy przygotowuje się dodatkowo do wykładu. Dopiero potem, już jako nauczyciel, zrozumiałem dobrze, jak ważne jest staranne przygotowanie się do każdej lekcji.

Bardzo lubiliśmy wykłady ks.prof. Józefa Pastuszki, świetnego psychologa o fenomenalnej wprost pamięci, zwłaszcza jeśli idzie o nazwiska. Jego wykłady cieszyły się nie mniejszą frekwencją niż Kleinerja czy Parandowskiego. Mówił przekonująco, ciekawie, umiał zainteresować swym przedmiotem i choć na egzaminach był bardzo wymagający i dociekliwy, to znaczy musiał dokładnie sprawdzić w jakim stopniu naprawdę student opanował obowiązujący materiał, to do rzadkości należało nie zdanie egzaminu z jego przedmiotu. Również podręcznik ks. Pastuszki pt. "Psychologia" cieszył się wśród czytelników dużą popularnością i to nie tylko ze względu na egzaminy.

Wiedzieliśmy już wcześniej od starszych kolegów, że prof. Pastuszka ma niezwykłą pamięć do nazwisk i twarzy studentów. Potem przekonaliśmy się o tym wielokrotnie. Wystarczyło, że rzucił wzrokiem na indeks i już wiedział, czy właściciel uczęszcza na jego wykłady, czy nie, jak często, nawet gdzie zwykle siada. Ale zafascynował nas, gdy kilka lat temu spotkaliśmy się z ks. prof. Pastuszką na wspólnym oplatku na naszej uczelni. Nie widzieliśmy się od początku lat pięćdziesiątych. Tymczasem prawie 90-letni staruszek, od dawna przebywający na emeryturze, siadłszy pomiędzy nami nie tylko przypomniał sobie nazwisko każdego, lecz jeszcze wszystkim nam powiedział o jakiejś osobistej ciekawostce każdego z czasów studenckich, nie myląc się ani razu. Rozmawiał przy tym z taką swobodą, jakby dopiero wczoraj nas opuścił. Mam nadzieję, że ówczesne życzenia, by w dobrym zdrowiu przekroczył setkę lat, spełnią się co do joty.

Lubiliśmy wykłady prof.prof. Kaliksta Morawskiego, Mariana Plezi, Władysława Araszkiewicza, mniejszą popularnością cieszyli się Maria Dłuska, filozof Harasek, którego zresztą wkrótce zastąpił prof. Stefan Świeżawski, mówiący ciekawie, ale za bardzo uczenie. Nie przepadaliśmy za wykładami prof. Korcika. Bawiły tylko nas stosowane stale przez niego przykłady o Piotrze i Pawle, gdy przeprowadzał swe logiczne wywody. A na egzaminie często rozpoczynał pytaniem: "A czytał pan już Korcika?"

Wspomnieć tu jeszcze trzeba, że jako grupę historyków nie obowiązywały nas ani wykłady prof. Kleinerja, ani Parandowskiego czy Plezi. Chodziliśmy na nie dla samej tylko przyjemności i satysfakcji. Ale nikt tego nie żałuje.

Mam dla tamtych ludzi z KUL-u, z pierwszych lat powojennych, ogromnie dużo uznania i wspominam wszystkich z prawdziwą sympatią. Między studentami a profesorami i pracownikami administracji panowała prawdziwa harmonia i wzajemne zrozumienie. Nie słyszało się o żadnej scysji, skargach, pretensjach. Kancelaria załatwiała każdą sprawę natury formalnej bez jakichkolwiek biurokratycznych zapędów, z życzliwością, chętnie, uprzejmie. Koła naukowe pracowały z ochotą i należytą powagą, pozwalając swym członkom korzystać bardzo wiele. Organizacje młodzieżowe, jak Bratnia Pomoc, śpieszyły zawsze z usługami, ułatwieniami, choć wymagały rzetelności i przestrzegania zasad obowiązujących w każdej sprawie. Bywało, że wynikały z tego zabawne historie, które wspomina się wesoło i które są świadectwem czasów, w jakich żyliśmy.

Oto jedno z takich zdarzeń:

Jednego razu dowiedzieliśmy się z ogłoszenia na tablicy, że kartki do akademickiej stołówki będą wydawane jedynie pod warunkiem, że ubiegający się o nie dostarczy nie mniej niż kilogram makulatury. Taki obowiązek nałożono na uniwersytet, a ten z kolei obarczył podobnym obowiązkiem studentów. Powstał kłopot, skąd wziąć tyle papieru? Sytuację uratował któryś z kolegów, wołając do zebranych na sali:

- Słuchajcie, w księgarni na Krakowskim pod 29 można za grosze kupić dzieła Lenina. Wspaniały papier! Ciężkie! Dwa tony wystarczą na wykonanie planu!

Po zajęciach wszyscy rzucili się do księgarni. Kartki otrzymaliśmy, księgarze zacierali dłonie, bo pozbyli się niechodliwego towaru, a nazajutrz radio zagraniczne obwieściło o wspaniałym dowcipie lubelskich studentów.

Dużym zainteresowaniem cieszyła się młodzieżowa organizacja katolicka "Juventus", której opiekunem był wspaniały kapłan, ojciec Mirewicz. Chłopcy i dziewczęta garnęli się do niej, gdyż znajdowali tam naukę, rozrywkę, prawdziwą przyjaźń i wszystko to, co młodemu człowiekowi jest potrzebne w zakresie życia duchowego. Każdy z radością śpieszył na zebrania Koła i wracał z nich naprawdę zadowolony. Wytworzona wtedy koleżeńska więź trwa wśród nas do dziś. Poza tym wspólne opłatki, zabawy i różne inne ogólne uroczystości przebiegały w atmosferze wyjątkowo serdecznej i przyjacielskiej.

Mocno utkwiała mi w pamięci jedna z uroczystości opłatkowych, kiedy zaszczycił nas swą obecnością biskup Stefan Wyszyński. W przemilej atmosferze upłynął cały wieczór. Rektor ks. Antoni Słom-

kowski, Senat Akademicki, studenci w ogromnej sali, przy długich, w podkowę ustawionych stołach, a wśród nas nasz biskup ordynariusz i zarazem wielki Kanclerz KUL-u. Łamanie się opłatkiem, naprawdę szczere życzenia, w których obok zdrowia, powodzenia i pomysłności przy egzaminach słyszało się raz po raz słowa o prawdziwej, naprawdę polskiej Polsce. Potem przepiękne koledy, wreszcie ciastka, owoce, zakocie. Wielka katolicka rodzina. Kiedy biskup Wyszyński w krótkim gorącym przemówieniu pozdrowił zebranych, złożył wszystkim życzenia świąteczne i noworoczne, a zaraz potem oznajmił, że musi nas zostawić, ponieważ obowiązki nakazują mu śpieszyć już gdzie indziej, odezwały się z całej sali głośne prośby o pozostanie jeszcze chociaż trochę. Wołali studenci, prosili niektórzy młodszy profesorowie, bo starszym chyba nie wypadało. Ksiądz biskup uśmiechał się, rozkładał ręce, czynił bezradne gesty, w końcu wyszedł odprowadzany śpiewem, oklaskami i gorącymi pożegnalnymi słowami akademickiej młodzieży. Niezapomniany, uroczy wieczór!

A potem dziecinna prawie zabawa, ale będąca symbolem serdeczności i prostoty w obcowaniu ze sobą uczonych i dostojnych pedagogów, w dużej mierze w duchownych sutannach oraz studenckiej braci. Oto w pełnym momencie ks. prof. Józef Pastuszka wziął do ręki papierową torebkę po cukierkach i owocach, nadmuchał ją jak balonik i uderzeniem dłoni "wystrzelił" nad uchem siedzącego obok prof. Andrzeja Wojtkowskiego. Tamten podskoczył na ów niespodziewany "wystrzał" i za chwilę zrewanżował się tym samym swemu kole-dze, gdy ten zajęty był czymś innym. Na to hasło rozległy się ze wszystkich stron także "detonacje" z torebek. Istna kanonada. A wszystko to wśród ogólnego śmiechu i młodzieńczej radości także sędziwych profesorów. Drobiazg, a bardzo mile utkwił w pamięci wszystkim uczestnikom opłatkowego wieczoru, świadczył bowiem o pogodzie ducha tamtych ludzi, kiedy wesołość przychodzi z ładu powodu jak na zawołanie. No i nie kończące się koledy. Stare, melodyjne, nastrojowe, śpiewane przez całą salę potężnymi głosami. Przeżyliśmy wzniosłą chwilę, naprawdę wolni, swobodni, jakby w innym świecie, lepszym, naszym, nie tym zza okien...

Ale wkrótce potem nastąpiły pierwsze poważniejsze aresztowania wśród studentów. Poszli najpierw za kraty najaktywniejsi członkowie "Juwentusu". Wiedzieliśmy: szukano pretekstu do rozwiązania organizacji. I znaleziono. Rozwiązano. Po kilku miesiącach zaczęto zwalniać aresztowanych. Pojedynczo, stopniowo, przeważnie bez sądów, bez wyroków, ot, tak sobie, aby każdy czuł, że

mieszka teraz w Polsce Ludowej, w państwie z silną władzą policyjną, której wszystko wolno...

3. Praca w nowym zawodzie

We wrześniu 1948 roku dowiedziałem się od jednego z kolegów, że w pewnej podlubelskiej wsi jest nowa szkoła typu rolniczego, w której poszukują nauczycieli przedmiotów ogólnokształcących i humanistycznych. Informacja ta bardzo mnie zainteresowała. Zawsze tęskniłem do wsi, ponieważ tam się urodziłem i wychowałem. Miasto było tylko swego rodzaju przystankiem na drodze życia. Gdziekolwiek przebywałem, czułem się ciągle dzieckiem wsi i tam pragnąłem wrócić, tam kiedyś pracować wśród młodzieży i całej wiejskiej społeczności, która była mi najbliższą. Po niezbyt długim zastanawianiu się podjąłem decyzję. Udałem się natychmiast do Urzędu Wojewódzkiego - Wydziału Szkolnictwa Rolniczego, załatwiłem sprawę bez trudu, naturalnie po uprzednim skomunikowaniu się z dyrekcją szkoły i na początku drugiej połowy września byłem już pracownikiem nowej placówki.

Przypadła mi do gustu i młodzież szkolna, dobra, posłuszna, pracowita, choć bardzo zaniedbana pod względem wiedzy, ciekawi okazali się współpracownicy, niektórzy bardzo oryginalni, jakich nie spotykałem dotąd, ale łatwi we współżyciu i współpracy, nawet sam obiekt szkolny był niezwykle interesujący. Szkoła, do której przybyłem, mieściła się w okazałym pałacu, niedawnej siedzibie hrabiów Stadnickich, a wcześniej Grabowskich, Kiełczewskich, Gorayskich i Osmólskich, pałac otaczał stary rozległy park z sadzawką i przepływającą obok Bystrzycą z Kosarzewką, na skraju parku huczał dzień i nocą wodny młyn, a w dole całe osiedle czworaków podworskich, zaniedbanych często i opuszczonych. Dowiedziałem się wkrótce od profesora Białkowskiego, że bywał tu częstym gościem, że Stadnicy byli właścicielami bogatej biblioteki, w której znajdowały się także stare bardzo dokumenty, listy dawnych dostojników państwowych, jak Kościuszko, Poniatowski i inni. Dowiedziałem się też, że wszystko to zostało zabrane przez nieznaną cywilów i ruskich oficerów, którzy podjechali jesienią 1944 roku pod pałac i załadowawszy duży ciężarowy samochód owymi skarbami, odjechali w niewiadomym kierunku. Pisałem później o tym w "Kurierze lubelskim", apelowałem do ewentualnych świadków miejsca wyładunku ksiąg

i cennych rękopisów, lecz nie odezwał się ani jeden głos.

W pałacu hr. Stadnickich bywał też w okresie międzywojennym mój późniejszy proboszcz z Zasmyk na Wołyniu, ksiądz Michał Żukowski, zapamiętały wróg alkoholizmu, zwalczający tę społeczną dolegliwość przez całe życie, a o którym, jak pisała w swych pamiętnikach pani Stadnicka, wszyscy mieli tu bardzo dobre zdanie i chętnie widzieli księdza w swych komnatach. Kiedy ks. Żukowski przyjechał do Lublina na uroczystości Pięćdziesięciolecia KUL-u i odwiedził przy okazji nasz dom, musiałem go podwieźć również do Osmolic, by mógł popatrzeć jeszcze raz na pałac, gdzie bywał w latach swej młodości i gdzie odprawiał nabożeństwa w kaplicy pałacowej. Ze wzruszeniem patrzył na stare mury, znajomy park, żałował, że nie może już porozmawiać z dawnymi swymi znajomymi. Nikt z nich już nie żył.

W swych początkowych planach miałem pozostanie w nowej szkole tylko przez okres studiów. Dojazdy do Lublina były dość uciążliwe, zwłaszcza w okresie zimy i wczesnej wiosny, podczas roztopów. Nie było drogi bitej, a do najbliższej stacji kolejowej - Krężnicy Jarrej - odległość wynosiła sześć kilometrów, lecz młodość była w stanie każdą przeszkodę pokonać bez szemrania i utyskiwań. Zżyłem się prędko z kolegami, uczniami, a i z ich strony spotkałem się z sympatią i życzliwością. Przy tym zarabiałem teraz znacznie więcej niż w Lublinie w Pogotowiu Opiekunczym. Nie musiałem już martwić się o byt codzienny, o potrzeby rodzinne i wydatki uniwersyteckie. Lecz w miarę upływu czasu przyzwyczajałem się coraz bardziej do swej szkoły. Skończyłem studia, proponowano mi niezłą pracę w lubelskim archiwum, lecz żał mi było porzucać młodzieży i nauczycielskiego zawodu oraz wsi, w której czułem się dobrze i swojsko. Do dziś pozostałem w Pszczelej Woli-Osmolicach, bo placówka w momencie mojego tu przybycia składała się z dwóch odrębnych szkół: Gimnazjum Hodowlanego w Osmolicach i Liceum Pszczelarskiego w Pszczelej Woli, położonych od siebie o niepełną kilometr drogi. Początkowo były to zupełnie od siebie niezależne szkoły. Kiedy obejmowałem tam pracę, obiemą kierował już ten sam dyrektor, a więc nastąpiło coś w rodzaju unii personalnej. Po dwóch dalszych latach Gimnazjum Hodowlane uległo likwidacji, a z dwóch szkół powstało jedno Technikum Pszczelarskie z siedzibą w Pszczelej Woli. Z osmoliczkiego gmachu utworzono internat dla młodzieży żeńskiej.

W październiku tegoż roku zmieniłem stan cywilny, żeniąc się z koleżanką ze studiów, a wcześniej sanitariuszką w szeregach partyzanckich. Żona mieszkała i pracowała w Lublinie, ja na wsi, a

spotykaliśmy się dwa do trzech razy w tygodniu, kiedy przyjeżdżałem na obowiązkowe ćwiczenia i seminaria na KUL. Żał mi było interesujących i bardzo pożytecznych wykładów, których wiele zmuszony byłem teraz opuszczać, ale nie było na to rady. W szkole znalazłem za to o wiele lepsze warunki do przygotowywania się do egzaminów, co nie było rzeczą bagatelną.

4. Tragiczna prowokacja

Pierwszy rok szkolny w nowej placówce zakończył się 15 czerwca 1949 roku, a w kilka dni później rozstaliśmy się z żoną na długich pięć lat. Została wtrącona do więzienia, bo tak chciały władze ówczesnego państwa. A wszystko to odbyło się według następującego scenariusza.

16 czerwca przypadło święto Bożego Ciała. W przeddzień żona przyjechała do mnie do Osmodia na zakończenie roku i zorganizowane na tę okazję przedstawienie szkolnego amatorskiego teatru. Ranko pojechaliśmy do Lublina, aby wziąć udział w uroczystościach kościelnych, procesji, jak to czyniliśmy co roku. A procesja tego dnia wypadła wyjątkowo okazale. Z kolumną studentów szliśmy od katedry, zatrzymując się przed ołtarzami zbudowanymi wzdłuż ulicy Królewskiej aż do Placu Łokietka. Za baldachimem ciągnęły ogromne tłumy wiernych. Gdy biskup niosący monstrancję zatrzymał się przy ołtarzu znajdującym się na schodach byłego magistratu, zebrani zapelnili głowa przy głowie nie tylko obszerny plac przed Bramą Krakowską, lecz także przyległe ulice: Krakowskie Przedmieście aż do samej Świętoduskiej, Nową, Kozią, Królewską do samej prawie Zamojskiej. Rozpoczęły się obrzędy religijne przed ostatnim ołtarzem. Staliśmy w kolumnie studenckiej na wysokości ulicy Koziej. W pewnym momencie usłyszeliśmy od strony Nowej powtarzający się kilkakrotnie i jakby zniecierpliwiony klakson samochodowy. Jednocześnie tłum zafalował, odezwały się najpierw szmery, potem głosy protestu, trąbienie nie ustawało, a wkrótce ujrzelśmy jak poprzez zbitą masę ludzi przepycha się wojskowy willys z dwoma mężczyznami: kierowcą i pasażerem w cywilnym ubraniu. Pojazd usiłował dostać się na Krakowskie Przedmieście. Ludzie, nie mając gdzie się usunąć, zaczęli wzywać, by się zatrzymał, bo zaraz skończy się nabożeństwo przy ołtarzu, wszyscy odejdą i jadący będą mogli bez przeszkód udać się dokąd zechcą. Ci jednak ani myśleli słuchać rad. Trąbiąc bez przerwy samochód popychał przed sobą ludzi, u-

derzał, roztrzącał, lecz nie rezygnował z pchania się w niemożliwy wprost ścisk. Gdy znalazł się przed kolumną studencką, nie zatrzymał się także mimo głosów perswazji, wymówek i upomnień, w dodatku mocno potrącił jedną z koleżanek. Wtedy bliżej stojący chłopcy nie namyślając się ani chwili, złapali za pojazd i przewrócili go do góry kołami. Stało się to tak szybko, że trudno było uwierzyć własnym oczom. Rozwścieczonemu i grożącemu karami pasażerowi dostało się od kogoś w twarz, a ktoś inny chwycił kawałek cegły spod gmachu magistratu, gdzie akurat gromadzono materiał na odbudowę obiektu i uderzył nią ciskającego się coraz bardziej "podróżnego". Krew poleciała mu z nosa. Krzyknął wtedy dzikim głosem i w tej samej chwili nakoło zgromadzonych rzesz ludzi ukazały się kordony milicji, wyrosłe jakby spod ziemi, a w oknach otaczających plac domów ukazały się migawki aparatów fotograficznych. Stało się jasne, że wszystko było przygotowane z góry, że jest to zwykła prowokacja, że chodziło tylko o wywołanie awantury i znalezienie powodu do aresztowań i procesów "politycznych" przeciwko "wrogom klasowym". Dowiedzieliśmy się wkrótce, że samochodem jechał i został "dotkliwie pobity" nie kto inny, lecz sam szef Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w Lublinie. Poświęcił się dla "dobrej sprawy". Nosił nazwisko Filipeczuk.

Widząc co się dzieje i na co się zanosi, nie czekając ostatecznego zakończenia nabożeństwa, odeszliśmy z żoną na bok, a zaraz potem wróciliśmy do domu. Cały dzień Lublin wrzał i kipiał z oburzenia na sprawców niecnej prowokacji. MO zabrała z placu kilkudziesięciu ludzi i osadziła w areszcie.

Przed wieczorem poszedłem na Plac Łokietka, by popatrzeć na miejsce owej niecodziennej sceny. Na bruku, gdzie wywrócono samochód, widać było trochę śladów oleju, benzyny, nieco miału z kawałka cegły. Przechodnie zatrzymywali się i opowiadali sobie z przejęciem przebieg zajścia oraz wskazywali miejsca, skąd weszła do akcji milicja. Przez kilka dni o niczym innym się nie mówiło, tylko o brutalnym postępku władz, które zamiast czuwać nad porządkiem publicznym, same celowo go naruszają i burzą.

25 czerwca przyjechałem do domu. Był późny wieczór. Żona poszła już spać, ja myłem się po podróży. Wtem zapukano do drzwi. Weszło dwóch panów w cywilu. Zapytali, czy mieszka tu Alicja Karłowicz i zażądali, by natychmiast ubierała się, gdyż musi pójść z nimi celem wyjaśnienia pewnych spraw. Na pytanie o co chodzi, nie próbowali nawet dawać jakichkolwiek odpowiedzi. Podczas gdy żona ubierała się, oni zaczęli rewizję. Przerzucali książki, listy,

zeszyty, oglądali zdjęcia, rzucali wszystko w nieładzie na podłogę, zatrzymali tylko jakąś fotografię oraz małą broszurkę "Kowel i powiat kowelski", kupioną niedawno w antykwariacie. Nie wiem, dlaczego ta ich właśnie zainteresowała. Całe szczęście, że nie sięgnęli po zeszyt z partyzanckim pamiętnikiem, leżącym akurat na oknie, przy którym stanęła ubrana już żona i zasłoniła sobą niebezpieczny zeszyt. Gdyby go znaleźli, poszlibyśmy oboje, a żona otrzymałaby dodatkowe oskarżenie o przynależność do AK. Po zakończeniu rewizji zabrali aresztowaną i znikli w podwórku. Zostaliśmy we dwoje z matką żony jak skamieniali. Do rana nie zaruzyliśmy oka. Raniutko pobiegłem na poszukiwanie. Szedłem od komisariatu do komisariatu, nigdzie o takim nazwisku nie wiadano. Dopiero po południu udałem się do gmachu UB na Krótką. Przed wejściem spotkałem jednego z wczorajszych nocnych gości. Poznał mnie natychmiast. Oznajmił mi, że żona jest tu, lecz nie powiedział, o co jest podejrzana czy oskarżona. Będzie siedziała do wyjaśnienia.

Nastaly okropne dni. Wystawałem pod Urzędem Bezpieczeństwa, błagałem o informacje, o pozwolenie na podanie paczki z żywnością i ciepłym ubraniem. Wszystko na próżno. Śledztwo! Szukaliśmy możliwości dotarcia do urzędników za pośrednictwem różnych znajomych i przyjaciół. Bez skutku. Dopiero po upływie dłuższego czasu idąc uliczką z tyłu gmachu UB zobaczyłem w oknie stojącą żonę. Usłyszałem, że chodzi o Boże Ciało i że jest głodna. Pierwsza informacja uspokoiła mnie nieco, bo wiedziałem, że w niczym nie braliśmy udziału, potrzymane więc jeszcze trochę, wyjaśnią coś tam i wypuszczą. Gorzej było z jedzeniem. Poszedłem natychmiast do dyżurki, gdzie udzielano niektórym informacji. Ani słuchać nie chcieli o podaniu czegokolwiek.

- Po śledztwie - powtarzali z uporem.

A śledztwo tymczasem ciągnęło się i ciągnęło. Złudne okazały się przewidywania, że wszystko potrwa najwyżej kilka tygodni. Minął miesiąc, drugi, trzeci... W końcu prokuratura wojskowa zaczęła raz w miesiącu udzielać informacji o aresztowanych. Niewiele z nich wynikało. Za każdym razem prokurator powtarzał, że śledztwo w toku i niczego powiedzieć nie może.

Najbardziej bolesnym był fakt, że żona spodziewała się dziecka. Pomyślałem raz, że należy w prokuraturze o tym powiedzieć, może spowoduje to warunkowe zwolnienie, a przynajmniej złagodzenie rygorów co do paczek i innych. Kiedy jednak wspomniałem, że chyba są jakieś przepisy dotyczące kobiet ciężarnych, wysoki u-

rzędnik uśmiechnął się złośliwie i powiedział:

- Dla mnie kobieta w ciąży ale zbrodniarka, jest tylko zwykłą przestępczynią.

- Na jakiej podstawie uważa pan żonę za zbrodniarkę? - spytałem.

- To się już niedługo okaże - odpowiedział.

- Dopiero okaże się, a pan już stwierdza fakt?

- Proszę natychmiast opuścić kancelarię! - oburzył się dotknięty pan i władca. Nie wyobrażał sobie pewnie, że ktoś może odważyć się zakwestionować jego zdanie. Obawiałem się, że i następnym razem nie zechce już ze mną rozmawiać, lecz na szczęście przeniesiono go gdzieś, a jego następcę, choć wcale nie taktowniejszy, nie znał mnie jeszcze i traktował jak wszystkich innych.

Kilkan^{ście} miesięcy trwało śledztwo. Czekaliśmy jego zakończenia wierząc, że musi skończyć się pomyślnie, bo przecież niczego nie popełniła moja żona, ale złudne okazały się nasze nadzieje. Szukaliśmy kontaktu z kimś z ubowców. Udało się wreszcie dotrzeć do jakiegoś oficera poprzez pewną znajomą. Powiedziała, że będzie to sporo kosztować, ale najważniejsze było uwolnić niewinną. I prawdopodobnie udałooby się, lecz kiedy ^{oficer} przyszedł do naszego domu, nie zastał mnie, a mama wystraszona munduru nie bardzo chciała z nim rozmawiać. Odszedł i widocznie z ostrożności już się więcej nie pokazał. Ale kto uwinął się dostatecznie sprytnie, a na dodatek dysponował większą gotówką, ten wyciągnął swoich, nawet rzeczywistych uczestników wywracania samochodu. Trochę więc "rząd to śledztwo wynalazł dla zysku...".

Ogłoszono wreszcie termin rozprawy. Wahaliśmy się, czy brać obrońcę. Doradzono nam, że trzeba. Załatwiłem formalności. I wkrótce potem dowiedzieliśmy się rzeczywistej przyczyny aresztowania i procesu. Adwokat, mając dostęp do akt, dowiedział się, że "dowodami" winy są dwa listy napisane przez "oskarżoną" do koleżanki i wspomnianego księdza Żukowskiego. W obu listach żona opisała przebieg zajęcia, wyraziła swoje oburzenie i użyła sformułowania: "nie pozwoliliśmy tym draniom trątować ludzi". To wystarczyło. O naruszeniu tajemnicy korespondencji nawet wspominać nie było wolno, a przejęty na poczcie list stanowił, jak się okazało, wystarczający dowód czynnego uczestnictwa w akcji przeciwko funkcjonariuszowi UB. Oświadczyłem obrońcy, że to przecież oni powinni być oskarżeni za łamanie prawa, lecz adwokat szybko sprowadził mnie na ziemię.

- Nie wie pan gdzie żyjemy? To nie normalny sąd, to sąd "ludowy", "socjalistyczny".

Śledztwo trwało aż 15 miesięcy. Trudno odgadnąć dlaczego tak się ciągnęło. Wszystko było przecież jasne, oczywiste i dla władz, i dla obwinionych oraz całego społeczeństwa. Domyślaliśmy się tylko, że po pierwsze - był to doskonały sposób na dręczenie i ofiar aresztowania i ich rodzin, a po wtóre - usiłowano pewnie stworzyć wrażenie, że dociekania są żmudne, że władza pragnie wyświetlić każdy najdrobniejszy nawet szczegół, że proces o pobicie funkcyjnarusza UB jest naprawdę procesem, a nie szopką. Lecz ludzie kpili sobie z owych praktyk, zlorzeczyli sprawcom prowokacji i ubolewali nad losem aresztowanych. Te dowody ubolewania spotykałem na każdym kroku. Tylko że wszyscy byli bezradni.

Rozprawa odbyła się we wrześniu 1950 roku.

Wojskowy Sąd Rejonowy przeprowadził wszystko zgodnie z praktykowanym wszędzie rytuałem. Były zeznania świadków, była mowa obrońcy, lecz wszystko to stanowiło jedynie oprawę formalną i nie miało żadnego wpływu na ostateczny wyrok. Cóż obchodziło sędziów, że świadkowie określili w szczegółach, gdzie staliśmy w momencie wywracania samochodu, że obrońca wyjaśnił wszelakie okoliczności używania zaimka "my": "my" wygraliśmy mecz, choć wygrała go drużyna z drugiego krańca Polski, "my" wydobywamy węgiel, mimo że nigdy nie widzieliśmy z bliska kopalni, "my" produkujemy takie lub inne przedmioty, chociaż całe życie spędzamy za biurkiem lub za sklepową ladą czy na uniwersyteckiej katedrze. Użycie więc podobnego zwrotu w liście nie może być traktowane jako dowód rzeczowy i postawił wniosek o uniewinnienie. Weześniej jednak w rozmowie prywatnej stwierdził, że należy spodziewać się surowego wyroku.

Tak się też stało. Sąd nie uznał żadnego z argumentów przytoczonych przez obronę. Zasadził żonę na pięć lat pozbawienia wolności. Adwokat tylko ze względów formalnych napisał wniosek odwoławczy, nie wierząc wcale w jego skuteczność. Miał rację. Wyrok zatwierdzono.

Na marginesie dodam, że w tym samym dniu i w tym samym sądzie, tylko w innej sali, toczyła się rozprawa przeciwko harcerzom i harcerkom z Chorągwi Zamojskiej. Oskarżeni byli o to, że ośmielili się prowadzić swe harcerskie zajęcia na wzór przedwojenny. Widziałem jak ich prowadzono do sali rozpraw. Szli młodzi chłopcy, kilkunastoletni, młodzieńskie dziewczęta ze starszych oddziałów szkół podstawowych, bladzi, wynędzniali, ale uśmiechnięci, zupełnie spokojni, bez płaczu, skarg i łez w oczach. Chciało się chwycić każdego i uściskać za tę pogodę, za dzielność i odwa-

gę. Patrzącym przychodziły na myśl sceny z "Dziadów" i tamten pamiętny proces, tyle tylko, że zamojskich harcerzy nie skuwano łańcuchami i nie wsadzano do kibitek, ale za to zamiast rosyjskich policmajstrów prowadzili ich polscy milicjanci z orzełkami u zapek. Maniebną to i bardzo bolesną sceną. Starsi harcerze podostawiali wyroki, młodsi zostali odsunięci od szkół i pozbawieni przez długi czas należnych praw...

Tu przypomnia mi się przebieg jeszcze jednego procesu z wiosny 1948 roku.

Wspominałem już wcześniej o majorze "Kowalu" - Janie Szatowskim, dowódcy zgrupowania "Gromada" w naszej Dywizji. On to po rozbrojeniu pracował w Łukowie, a jednocześnie był członkiem podziemnej organizacji i naszym zwierzchnikiem, gdy z kpt. "Jastrzębim" znaleźliśmy się powtórnie w lesie, o czym również wspominałem. Mjr "Kowal" należał do ludzi o wielkich wartościach moralnych i etycznych. Oprócz tego, że był doskonałym dowódcą, odznaczał się również prawdomównością, stanowczością, odwagą i spokojem nawet w najtrudniejszych sytuacjach, gdy inni po prostu załamywali się. Pozostał też sobą, gdy go aresztowano w roku 1947. Siedział najpierw w więzieniu chyba w Łukowie, potem przewiezony został do Lublina. Tu też po roku śledztwa odbył się jego proces. Dowiedzieliśmy się o tym już nie pamiętam za czym pośrednictwem. Najpierw jako jego byli żołnierze wpadliśmy na pomysł, by odbić swego dowódcę, jak to praktykowało się w czasie okupacji. Ułożyliśmy nawet plan działania, który wydał nam się prosty i chyba niezawodny. Ale przedtem uznaliśmy za stosowne zasięgnąć na ten temat opinii samego zainteresowanego.

Udaliśmy się na proces, bo tylko tam można się było zobaczyć z majorem. O ile sobie przypominam pierwszego dnia nikogo nie wpuszczano na salę. Pozwolono nam wejść dopiero dnia następnego. Odbywało się przesłuchanie oskarżonego, polegające na zadawaniu najrozmaitszych pytań, a przede wszystkim na odczytywaniu dokumentów, rozkazów, meldunków i innych, wydawanych i podpisywanych przez sądownego. I tu poznaliśmy swego dowódcę z innej jeszcze strony, mianowicie jako twardego i nadzwyczaj opanowanego człowieka, który niczym nie da się wytrącić z równowagi.

Oto przykłady:

Sędzia odczytywał jakiś rozkaz, a potem pytał:

- Czy oskarżony przyznaje się do tego, że ten rozkaz wydawał?

Mjr "Kowal" spokojnym głosem odpowiadał twierdząco, albo prosił o podanie sobie czytanego pisma. Oglądał je przez chwilę, potem stwierdzał:

- Nie, to nie jest mój podpis i nie ja ten rozkaz wydawałem.

- Jak to? - Dziwił się sędzia. - Niech oskarżony porówna te podpisy - i podawał czytane dopiero co pismo.

Major bez chwili namysłu odpowiadał:

- Powiedziałem, że to nie mój podpis i w ogóle nie mój rozkaz.

- No to kto to podpisywał?

- To jest podpis sfałszowany. A przez kogo? Nie wiem.

Takie i tym podobne sytuacje powtórzyły się w ciągu dnia kilka razy. Fałszywymi dokumentami próbowano dodatkowo obciążyć naszego dowódcę.

Major "Kowal" często się zacinał. Gdy go poznałem w 1943 roku, było to wyjątkowo rażące. Co któreś słowo zatrzymywał się i z trudem wypowiadał poszczególne wyrazy. Potem trochę się owa wada złagodziła, ale nie ustąpiła całkowicie. Jeszcze nawet w ostatnich czasach zdarzały się zacięcia. Nawet w zwykłych towarzyskich rozmowach. I wtedy w sądzie zdarzyło się kilka razy, że długo nie mógł wymówić słowa - siłąc się, wyrzucając z siebie charakterystyczne dla jękających się dźwięki. Na któreś kolejne zacięcie sędzia zareagował złośliwie:

- Niech się oskarżony nie boi, niech się oskarżony zdobędzie na spokój.

- Ja się nie boję, ja się tylko jękam! - odrzekł z godnością i z jakąś dziwną siłą w głosie mjr "Kowal" obrzucając jednocześnie sędziów i oskarżycieli takim spojrzeniem, którego nie wszyscy umieli wytrzymać. Zaimponował nam tym powiedzeniem i sposobem zachowania się. Więcej już takich uwag z ust sędziego nie słyszeliśmy. Otrzymał należytą odprawę.

W przerwie rozprawy, gdy zostawiono nas samych z majorem i jednym tylko wartownikiem, który zresztą stał daleko przy oknie, tak że mogliśmy z zupełną swobodą rozmawiać, powiedzieliśmy skrycie dowódcy o naszym planie.

- Ani mi się waźcie! - odpowiedział groźnie. - Zabraniam kategorycznie!

- Panie majorze! - próbowaliśmy przekonać zwierzchnika. - Wszystko przemyślane, przygotowane. Mamy lokal pewny, nikogo nie złapią, zresztą niczego się nie spodziewają. Ten jeden, tam pod oknem, nie nie znaczy. Samochód zaraz będzie.

- Powiedziałem, nie pozwalam pod żadnym warunkiem! Nic mi tu nie zrobią. Wytrzymałem tyle, wytrzymam jeszcze więcej. A może tak trzeba, żebym tu był. Niech inni wiedzą, że więzienie wcale

nie jest straszne, kiedy walczy się o dobrą sprawę. Ja się ich ani trochę nie lękam. Poza tym składaliśmy przecież przysięgę, że do ostatniej kropli krwi... Wy macie teraz uczyć się, to wasz główny obowiązek, a nie awantury z UB, które mogłyby się różnie skończyć. Porozmawiajmy lepiej o czym innym. - I zaczął wypytywać nas o szkołę, o warunki materialne, dalsze plany i radził tylko, byśmy pozostali zawsze sobą, nie dali się uwieść obietnicom, łatwej karierze, proponowanym awansom lub atrakcyjnym gazom.

Jak się później okazało, odsiedział siedmioletni wyrok co do dnia, a po wyjściu z więzienia nie przyjął proponowanego wysokiego urzędu, lecz nabył kilka hektarów gruntu i nie mając pojęcia o rolnictwie, przystąpił do gospodarowania. Opowiadał mi potem, jak męczyła się początkowo, harował, dokładał, nawet cierpiał zwykły głód i niedostatek, lecz gdy nabrał doświadczenia i koniecznej wiedzy, okazał się świetnym rolnikiem i przyjmował u siebie nawet wycieczki fachowców, bo nikt nie mógł dorównać mu w osiągniętych zbiorach. Rozstał się z gospodarką rolną, gdy miał już 78 lat i zdrowie przestało mu służyć. Na moje pytanie dlaczego nie przyjeżdżał do Lublina, gdzie też po odsiedzeniu więzienia mieszkało kilku jego kolegów - oficerów 27 Wołyńskiej Dywizji, odpowiedział, że miał surowy zakaz pokazywania się w tym mieście. Odważył się przyjechać dopiero około połowy lat sześćdziesiątych. Później bywał już u nas częstym gościem. Nic nie stracił z dawnej swojej postawy dobrego Polaka, żołnierza, odważnego człowieka i ceniącego przede wszystkim prawdę. Odnosił się do nas wszystkich nie jako wysoki oficer, lecz starszy kolega, a ze wszystkimi bliskimi podwładnymi przeszedł na ty i kazał sobie mówić po imieniu. Darzyliśmy go zawsze należnym szacunkiem i widzieliśmy w nim wzór do naśladowania. Zmarł we wrześniu 1988 r. w Janowcu Wielkopolskim, gdzie spędził wszystkie lata po wyjściu z więzienia. Żegnało go kilkudziesięciu byłych żołnierzy Dywizji.

Opowiadał mi dwa lata temu o propozycji wysuniętej przez władze wojskowe, mianowicie zweryfikowania mu posiadanego stopnia, dalszego awansu oraz przyznania renty wojennej, był bowiem kilka razy ranny i kontuzjowany - w kampanii wrześniowej i później, podczas działań partyzanckich. Nie zgodził się jednak na wyjazd do Warszawy celem załatwienia powyższej kwestii. Wtedy jesienią 1986 roku przyjechała do niego delegacja oficerów, by na miejscu zebrać potrzebne dane i nadać sprawie bieg. Potrzeb-

ny był przede wszystkim jego wojskowy życiorys. Zaczął więc dyktować im, a oni pisali. Gdy doszedł do momentu rozbrojenia Dywizji i gdy zanotowano zasadnicze dane, oświadczył, że na tym należy ów życiorys zakończyć.

- No, a co robił pan później, po rozbrojeniu? - spytał prowadzący rozmowę.

- Potem? Potem walczyłem z Polską Ludową.

- Co pan powiedział? - wszyscy niemal podawali się z miejsc.

- Powiedziałem, że walczyłem z Polską Ludową, to znaczy - byłem w podziemiu.

- I mówi pan o tym tak spokojnie? - dziwił się zaskoczony oficer.

- A co wy zrobilibyście na moim miejscu? - wybuchnął nasz major. - Gdyby wam odebrano siłą broń, broń zdobytą w ciężkich walkach ze wspólnym wrogiem, gdyby was potem oszkalowano najbardziej niewybrednymi kłamstwami? Nie bronilibyście swego honoru, a głównie sprawy, o którą słusznie walczyliście? A którą zaprzepaścili wasi poprzednicy, wspierani obcymi bagnetami? Przyjęlibyście z pokorą takie krzywdy? Nie miałem innego wyjścia i nie żałuję tego, choć z góry skazałem się na przegraną.

Zapadła długa cisza. Potem odezwał się najstarszy rangą:

- Może ma pan i rację, ale zostawmy to.

Przeszli do innych kwestii. Wkrótce otrzymał "Kowal" dość wysoką rentę, nie przyjął natomiast proponowanych odznaczeń, twierdząc, że wystarczą mu już posiadane. A był dwukrotnie odznaczony krzyżem *Virtuti Militari* i trzykrotnie Krzyżem *Walecznych*.

W lutym 1950 roku, na przeszło pół roku przed rozprawą sądową mojej żony, urodził nam się w więziennym szpitalu syn. Otrzymał imię Tadeusz. Po raz pierwszy od chwili aresztowania zobaczyłem się wtedy z żoną, mimo zakazu, a może pilnujący strażnik tylko udął, że nie zauważył treści odnośnego pisma. Krótkie to było widzenie, ale po tylu miesiącach cieszyliśmy się i z tego, choć serce bolało...

Po półtorarocznym pobycie z matką w więziennej celi zabraliśmy syna do domu. Ciężkie było rozstanie żony z dzieckiem, lecz nie mieliśmy innego wyjścia, gdyż w przeciwnym razie władze więzienne oddawały małeństwo do swego żłobka, a następnie do ochronki. Można się było domyślać, jaka by tam była opieka oraz jaki kierunek wychowawczy. Do dziś i syn i jego matka odczuwają skutki tamtych lat. Oboje są słabi, mało odporni na wszelkie epidemie,

przeziębienia itp. Ale nie na to poradzić nie można.

Syn od paru lat jest pracownikiem KUL.

Żona po pięciu latach więzienia - dwu na lubelskim Zanku i trzech w Grudziądzu, przede wszystkim zniszczyła sobie nerwy. Odczuwa ciągle jeszcze utrzymujące się lęki, gwałtownie reaguje na wszelkie wydarzenia, nawet niespodziewane stuknięcia, głośne odzwania się, trzaśnięcie drzwiami. Poza tym jest niezwykle wrażliwa na chłód, cierpi od lat na owrzodzenie dwunastnicy, na chore zatoki i inne. Pięć lat zrobiło swoje, nie przeszło bez echa.

W kilka lat później, już po procesie i odsiedzeniu kary, dowiedziałem się, że i na mnie Urząd Bezpieczeństwa usiłował zarzucić swe sieci i jego funkcjonariusze wielokrotnie nachodzili władze administracyjne gminy, w której znajdowała się szkoła, by wynalazły przeciwko mnie jakieś zarzuty, pozwalające na zwolnienie z pracy, a jeszcze lepiej - na aresztowanie. Opowiadał mi wójt gminy, naturalnie wtedy, gdy już przestał pełnić ten urząd, jak przyjeżdżali do niego panowie z UB, jak grozili mu odpowiedzialnością za trzymanie na swoim terenie mnie - reakcjonistę, wroga klasowego, wychowanka klerykalnej uczelni, człowieka szkodliwego w placówce wychowującej młodzież. Nie podsuwali tylko żadnych określonych pomysłów, które należałoby względem mnie zastosować.

- Wójt - twierdzili podobno - sam powinien o każdym nauczycielu wszystko wiedzieć i informować władze:

Liczyli pewnie na to, że wystraszony urzędnik spróbuje wynaleźć podstawy do aresztowania. Jakoś nie wynalazł.

Dowiedziałem się także, że wzywano do gminy na przesłuchanie moich uczniów i wmawiano w nich, że zamiast zwyczajnych lekcji uprawiam "wrogą propagandę", że uczę, jak mają walczyć z ludową władzą, której jestem zaciętym wrogiem itd. Kazano pokazywać sobie zeszyty przedmiotowe, czytano notatki i ćwiczenia, szukano treści potwierdzające stawiane zarzuty i choć podobno nie wszystko, co znaleźli w zapisach uczniowskich, odpowiadało ich wyobrażeniom, to jednak nie dawało widocznie podstawy do oficjalnego oskarżenia. Zresztą i uczniowie wytrzymali próbę nerwów oraz presję panów z UB i wystawili mi podobno dobrą opinię. Dzięki temu ocalałem. Na szczęście nie przyszło im do głowy poszukać informacji o mojej przynależności parzyzanckiej, bo to byłoby na pewno znacznie łatwiejsze.

Można by wiele jeszcze pisać o więziennych przeżyciach żony,

o traktowaniu aresztowanych, o tłumach wyczekujących pod Zamkiem na widzenia z najbliższymi lub możliwość podania paczki, co połączone było często z nadzwyczajnymi kłopotami, o najazdach i szykanach innych moich znajomych, o przeżyciach naszych uwięzionych oficerów dywizyjnych i ich późniejszych losach, lecz są to rzeczy na ogół znane, powtarzały się bowiem w każdym mieście, wsi, osiedlu. Dzięki Bożej opiece przeżyliśmy wszystko i na szczęście nie pozwoliliśmy wydrzeć sobie tego, co dla człowieka jest najcenniejsze - wiary, własnej osobowości, honoru i niezależnego spojrzenia na ludzi, rzeczy i zjawiska.

Pszczela Wola, sierpień - grudzień 1988 .